



DARIA ORLICZ

**DRAPIEŹCY**

**DARIA ORLICZ**

**DRAPIEŻCY**

# 1

Obudził ją jakiś hałas. Wyrwana ze snu usiadła na łóżku. W pierwszej chwili chciała zapalić nocną lampkę, ale zdecydowała, że lepiej pozostać w ciemności. O parapet rąbnęło coś, co mogło być niewielkim kamieniem. Podkuliła nogi pod brodę i zerknęła w stronę sypialnianych drzwi. Spała na piętrze, w dawnym pokoju dziadka. Parter, pusty i ciemny, czaił się w nocnych ciemnościach i nagle wyobraziła sobie, jak coś wypełza z mroku. Łup! Kolejny kamień rąbnął o parapet, chwilę później ktoś omiótł okna srebrnym snopem światła latarki.

Wyjęła spod poduszki tłuczek do kotletów. Trzymała go tam od miesiący, odkąd odszedł dziadek, jakby każda noc w starym domu pod lasem była rozpaczliwą walką o przetrwanie.

Ktoś wszedł na ganek. Wyraźnie słyszała tupot stóp na starych wółprzegniłych deskach i wiedziała już, że sobie tego nie wyobraziła. Intruz kręcił się przy domu. A może było ich więcej? Powinnam wezwać policję, pomyślała, tkwiąc w bezruchu namierzonej przez drapieżnika ofiary. Wyślizgnąć się z łóżka, bosy zejść na dół i wybrać numer, czy może przeczekać wszystko tutaj, bezpieczna w swoim łóżku? Przecież nie pierwszy raz straszili ją w środku nocy miejscowi smarkacze, których tak cholernie bawiło nękanie samotnej, zdanej na siebie dziewczyny. Wiedziała, że

przyciąga ich znamię - zalewająca lewą połowę twarzy szkarłatna plama, z którą przyszła na świat i która zniszczyła jej życie. Dziewczyna z blizną, czerwonoskóra, córka czarownicy - miejscowi mieli dla niej wiele wyzwisk, które z czasem oswoiła, chociaż bywało, że nadal bolały...

Sięgnęła do włącznika nocnej lampki i jednak zapaliła światło. To powinno ich odstraszyć, pomyślała, przygryzając wargi. Ale napastnicy nie ustępowali. Sądząc po tupocie stóp na werandzie i omiatających okna snopach świateł z latarek, było ich kilku, i dziewczyna poczuła podchodzący do gardła strach. Czego chcą? Boże, czego znowu chcą?! Głośny brzęk tłuczonego szkła sprawił, że stężała, sparaliżowana narastającą paniką. Weszli do środka? - przeraziła się. Nie zrobiliby tego, nie mieli prawa! Obrzucanie domu jajkami, rysowanie na ścianach obscenicznych obrazków i kręcenie się wokół posesji to jedno, ale włamanie?! Odrzuciła na bok kołdrę i usiadła bokiem na łóżku, opuszczając bose stopy na zimną podłogę.

Na dole trzasnęły drzwi - i nagle napastnicy ruszyli biegiem po schodach na piętro.

Drżąc ze strachu, młoda kobieta dopadła szafy, w której się zamknęła, ale oni byli już na górze...

- Nie ma jej! - usłyszała męski głos zaraz po tym, jak złowieszczo zaskrzypiały sypialniane drzwi.

- Sprawdź pod łóżkiem - rozkazał drugi głos i ktoś sapnął, najpewniej klękając obok pościania.

Starła się nawet nie oddychać, chociaż wiedziała, że lada moment uchylą drzwi olbrzymiej drewnianej szafy i wywloką

ją na zewnątrz.

- Tutaj! - Ten, który kazał szukać pod łóżkiem, zdążył ją już zlokalizować.

Zmrużyła oczy, kiedy przyświecił jej w twarz latarką, a tłuczek wypadł z ręki.

- Wynoście się stąd! - krzyknęła, a mężczyźni urągliwie się roześmiali.

- Bo co nam zrobisz? - zakpił jeden z nich, wyciągając po nią łapy.

Usiłowała go ugryźć, ale złapał ją za włosy i wywłókł z szafy. Skuliła się na podłodze, nagle bezwolna, potulna, cicha. Może sobie pójdą? Może chcą ją tylko nastraszyć, zabawić się jej kosztem? - pocieszyła się w duchu. Stali nad nią, otoczyli ją. Trzy postawne ciemne sylwetki w bursztynowym świetle nocnej lampki. Wszyscy w czarnych bluzach z narzuconymi na głowy kapturami.

Nie dostrzegła, który kopnął ją pierwszy, bo zbyt mocno zaciskała powieki, żeby cokolwiek widzieć. Cios między zebra odebrał jej oddech, ale też zmobilizował do działania. Rusz się albo te bydlaki cię zabiją! - nakazała sobie i zerwała się gwałtownie. Nie spodziewali się po niej takiej zwinności. Udało jej się odepchnąć jednego z nich, dopaść drzwi i zbiec na półpiętro, ale na tym jej fart się skończył.

- Śpieszysz się gdzieś, dziwko?! - Chyba dorwał ją ten, który pierwszy wszedł do sypialni, chociaż nie miała pewności. - Dopiero z tobą zaczęliśmy - warknął.

- Proszę... - szepnęła.

- Prosisz? A o co? Może o dobre rżnięcie? - roześmiał się.

Jego kumple zeszli ze schodów, drewniane stopnie złowieszczo skrzypiały pod ich ciężkimi skórzanymi buciorami na grubych podszwach. Ten, który ją trzymał, owinał sobie jej długie włosy wokół nadgarstka, odchylił jej głowę w tył i polizał ją po policzku. Wzdrygnęła się z obrzydzenia. Jego oddech cuchnął cebulą i piwem, był ciepły, obcy, obrzydliwy. Pomyślała o Hassanie. Gdyby tylko tu był... Ale tej nocy na pewno jej nie uratuje...

- Masz ochotę na trochę zabawy? - zapytał.

- Nie - powiedziała cicho, ledwie słyszalnie.

- Nie?! Zła odpowiedź, suko!

Jednym szarpnięciem zdarł z niej obrębioną koronką białą nocną koszulę, i w tym samym momencie zdała sobie sprawę, że jeden z nich nagrywa wszystko komórką. Osłoniła rękoma nagi biust, ale zwyrodnialec pchnął ją na ścianę i złapał ją za ręce, które przyszpilił jej nad głową.

- Proszę, proszę. Gęba kurewsko szkaradna, ale cycki pierwsza klasa! - roześmiał się, brutalnie miętoląc jej piersi.

Zaczęła krzyczeć, ale jego pocałunki zdławiły jej głos. Kiedy rozsunął jej zaciśnięte uda i wsadził w nią palce, zaskamlała jak ranne zwierzę.

- Ej, nie przeginaj, co? Mieliśmy ją tylko nastraszyć - odezwał się ten drugi.

- Zamknij ryj i rób swoje! - odwarknął ten, który się nad nią pastwił, a jednak na moment odpuścił wymuszone „pieszczoty” i tylko jej się przyglądał.

Jakimś cudem, mimo że na nią napierał, udało jej się unieść nogę i kopnąć go w krocze. Wrzasnął i zgiął się w pół,

a ta cenna chwila, którą zyskała, starczyła, żeby wystrzeliła w przód i pognąła schodami w dół. Dwóch jego koleśki było tuż za nią, ale zwierzęcy strach dodał jej sił. Zbiegła na dół, dopadła otwartych na oścież frontowych drzwi i wybiegła na dwór.

Marcowa noc była przenikliwie zimna i wilgotna. Był dwudziesty ósmy, urodziny mamy, ale nie o tym myślała, kiedy boso pędziła w stronę pobliskiego zagajnika. Światło latarek, które trzymali w dłoniach napastnicy, tańczyło gdzieś nad jej głową, ich ochryple krzyki dodawały jej skrzydeł. Ucieknie im albo zginie – w końcu dotarło do niej. To już nie była zabawa rozkapryszonych miejscowych dzieciaków, które przyszły pod jej dom, żeby się z niej ponabijać. Ci chcieli jej krwi, widziała to w oczach tego, który przyparł ją do ściany i zaczął całować. Na myśl o jego palcach w jej wnętrzu zrobiło jej się niedobrze, ale szybko odegnała złe wspomnienie. Muszę się skupić, muszę biec! – nakazywała sobie. Ale czy drobna, mierząca sto pięćdziesiąt kilka centymetrów dziewczyna, miała szansę z trzema roslými mężczyznami?

Dopadli ją na skraju lasu, nieopodal niewielkiego jeziora, i zaciągnęli na drewniany pomost.

- Nagrywasz to? - upewnił się ten, którego zaczęła w myślach nazywać hersztem bandy zwyrodnialców.

- Tak, wyluzuj. Ale wiele na tym filmie nie zobaczysz - bąknął ten z telefonem w dłoni.

Pchnęli ją na zimne, oślizgłe od wilgoci deski na wpeł spróchniałego pomostu, na którym latem lubiła siadać

z książką w ręku.

- Kto pierwszy, ten lepszy! - Najwyższy z mężczyzn splunął gdzieś obok jej głowy i sięgnął do paska swoich spodni.

Zaczęła się czołgać, ale złapał ją za kostki, zwałił się na nią i brutalnie wbił się w nią. Krzyczała, dopóki nie zasłonił jej ust dłonią. Palący ból w podbrzuszu był tak silny, że przez chwilę była pewna, że zemdleje. A jednak nie zemdląca, a czas jakby nagle się rozciągnął, spowolnił, potęgując jej katusze. Każde pchnięcie odbierało jej resztkę godności, miażdżyło duszę, rozszarpało ją na miliony poharatanych kawałków. To, jak dyszał gdzieś przy jej twarzy, przyprawiało ją o mdłości, z trudem panowała nad żołądkiem. W końcu przeciągle jęknął i spuścił się w nią, ostatecznie kałając jej ciało, które już nigdy nie będzie należeć tylko do niej. Na myśl o ciepłej, oślizgłej spermie, którą w niej zostawił, znowu ją zemdliło, a po policzkach płynęły łzy.

Zapinając spodnie, gwałciciel skinął na tego z telefonem.

- Twoja kolej - rzucił, biorąc od niego smartfona.

- Nie chcę, ja...

- Nie pierdol, tylko bierz tę sukę!

- Mieliśmy ją tylko nastraszyć, ja...

- Bierz ją albo pożałujesz! - warknął gwałciciel i młody mężczyzna posłusznie wykonał rozkaz.

Kiedy zabrał się za nią ten trzeci, zdołała umknąć myślami gdzieś w głąb swojej świadomości, na moment porzucając zmaltretowane ciało na pastwę zwyrodnialców.

Ocknęła się, kiedy wrzucili ją do jeziora. Zachłysnęła się lodowatą wodą, spanikowała, udało jej się jednak wydostać.



- Starczy! - krzyknął ten, który od początku chciał z tym skończyć, ale wyższy kazał mu zamknąć mordę.

- Dopiero się rozkręcam! - dodał ze śmiechem.

Wyszła na brzeg, grzęznąc stopami w błotnistej mazi, zlodowaciała z zimna, zszokowana i oszołomiona. Złapali ją za mokre włosy i pchnęli w sitowie. Pierwszy cios w twarz sprawił, że upadła na kolana i zakrztusiła się, bo krew z rozbitego nosa spływała do gardła. Zaczęli ją kopać, opluwać, wyzywać i okładać po głowie znalezionym na brzegu wiosłem, a kiedy ten, który zgwałcił ją jako pierwszy, zacisnął dłonie na jej szyi, ostatni raz zdobyła się na walkę o życie, ale mężczyzna był silniejszy.

I nagle ziąb nie był już taki przeraźliwy, a otaczające ją głosy zaczęły się rozmywać. Tracąc przytomność, pomyślała jeszcze o Hassanie. Zniknął z dnia na dzień, nawet się z nią nie pożegnał. A przecież mówił, że ją kocha, że chciałby z nią być. Był i nagle go nie było. Jedyne mężczyzna, jakiemu pokazała się nago, nie licząc tych, którzy tej nocy wzięli ją siłą. Jeden z nielicznych na tym świecie, któremu ufała. A może jednak nie powinna mu ufać? Ostatnio zachowywał się przecież dziwnie, wręcz zagadkowo. Nie odbierał telefonów, nie chciał z nią rozmawiać. Zrobiła coś złego? A może znalazł sobie inną? Zobaczyła jego twarz i był to ostatni obraz, który pojawił się pod powiekami, zanim odeszła.

- Ona nie żyje?! - krzyknął ten, który nagrywał wszystko komórką. - Kurwa, ochujałeś?! Zabiłeś ją?!

- Stul się, mięczaku! - usłyszał, zanim dostał w twarz. -

I trzymaj język za zębami, słyszysz?!

- Złapią nas, człowieku! Odjebało ci?! Po chuja mnie w to wszystko wpierdoliłeś?!

- A co? Nie chciałeś się zabawić? Pomóż mi, trzeba ją wrzucić do wody!

- Nie! - krzyknął niższy z mężczyzn, zanim zwymiotował na ziemię.

- Świetnie! Idę o zakład, że z twoich rzygowin gliny wyciągną jakieś wnioski - warknął zabójca.

Kilka minut później zdecydowali, że jednak nie zostawią jej w jeziorze, i we trójkę przenieśli ciało do należącego do niej starego domu na odludziu. Tam porzucili je w pełnej pajęczyn piwnicy, na wpół ukryte za workami z kartoflami.

- Szybko jej nie znajdą. Nie miała wielu przyjaciół - powiedział ten, który zgwałcił ją pierwszy.

- A ten czarnuch? Podobno pieprzyła się z jakimś Senegalczykiem - odezwał się trzeci z mężczyzn.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Zbieramy się, panowie!

- Może powinniśmy zetrzeć nasze odciski? Albo podpalić dom, żeby...

- A po chuj? Jesteś gdzieś notowany?

- Nie.

- Sam widzisz. Gliny mogą nas szukać do usranej śmierci, a ogień tylko przyciągnąłby uwagę.

- Nie chciałem jej zabijać - zaczął najniższy.

- I nie zabiłeś. Od czarnej roboty jestem ja - ze śmiechem podsumował ten, który godzinę wcześniej wybił szybę w oknie na parterze i pierwszy wszedł do zaniedbanego

domu.

Kiedy wracali w stronę miasteczka, dochodziła czwarta nad ranem. Idąc pieszo wzdłuż pustej drogi, milczeli, każdy zatopiony w swoich myślach. Telefon, który zarejestrował morderstwo, niemal wypalał jednemu z nich dziurę w kieszeni, zdawał się płonąć z racji swojej mrocznej zawartości. Zabiliśmy ją, pomyślał i znowu zachciało mu się rzygać. On ją zabił, a ja nie zrobiłem nic, żeby jej pomóc...

## 2

Klara zaparkowała żółtego mini coopera na dużym wylanym betonem placu przy rybackim porcie i wysiadła na mżawkę. Miała wolny dzień i powinna złapać nieco snu, bo w nocy prawie nie zmrużyła oka, a jednak znowu przyjechała do tego zapyziałego nadmorskiego miasteczka, chociaż miała sobie darować bawienie się w prywatnego detektywa amatora. Do tej pory robiła głównie reportaże ze światka lokalnej mody i urody. Otwarcia salonów ze ślubnymi sukniami, relacje z imprez w drogich SPA, tego typu klimaty. I nagle zachciało jej się czegoś więcej, a materiał o brutalnie zamordowanym gliniarzu byłby dla niej przepustką do awansu, może nawet do zmiany stacji.

Niewielka prywatna telewizja, dla której pracowała, płaciła jej żenująco niewiele i bynajmniej nie była prestiżowym miejscem dla kogoś tak ambitnego jak ona. Ale gdyby udało jej się rozgryźć tajemniczą śmierć policjanta, mogłaby podyktować własne warunki, chociażby w telewizji Szczecin. Czasem kłamała, że tam pracuje, chciała poczuć, jak to jest, marzyła na jawie. Prawda była nieco inna, ale o tym wiedzieli tylko jej najbliżsi przyjaciele.

O zabójstwie młodszego aspiranta Krzysztofa Bugaja dowiedziała się przypadkiem, i chociaż spędziła z nim tylko jedną spontaniczną noc w podupadłym pensjonacie Mewa, ponure wieści mocno nią wstrząsnęły. Nie znała go. Połączył

ich seks, krótka, banalna pogawędka przygodnych kochanków i emocje związane z nocnym pożarem w Mewie. A jednak pomimo maski cynicznego macho, jaką Bugaj miał zwyczaj zakładać, wyczuła w nim ciepłego i wartościowego faceta, w którym warto mieć przyjaciela. Tyle że ona już się z nim nie zaprzyjaźni...

Bugaj nie żył od kilku miesięcy, a policja dreptała w miejscu, nie mając pojęcia, co tak naprawdę wydarzyło się tamtej mroźnej późnolistopadowej nocy. Ciało znalazł partner i przyjaciel Krzysztofa, starszy sierżant Wojciech Kiciński, jednak osoba sprawcy - bądź sprawców - wciąż była zagadką. Ślady wskazywały na obecność dwóch napastników, ale dlaczego zabili? Jednego złapano, ale uparcie milczy, odmawiając zeznań, a śledczy nadal nie znają motywu zbrodni. Oczywiście w sprawę włączyli się policjanci z komendy wojewódzkiej, a jednak wciąż niewiele było wiadomo. Dwa strzały, w tym jeden śmiertelny. Egzekucja, zaplanowana i wykonana z iście diaboliczną precyzją. Zero wahania, żadnej szansy na ocalenie. Bugaj zginął, bo ktoś postanowił odebrać mu życie. O miłosierdziu nie mogło być mowy, pomyślała Klara, zamykając samochód.

Kawę wypija samotnie. Planowała co prawda spotkać się ze starszym sierżantem Wojciechem Kicińskim, ale wyraźnie zaczął jej unikać.

- Nie znoszę dziennikarzy. Węszycie, nie mając pojęcia o sprawie, i wypłaszacie nam świadków - powiedział jej ostatnio.

Nikt inny z tutejszego komisariatu również nie chciał z nią

rozmawiać. Mieszkańcy miasteczka bywali nieco bardziej rozmowni, ale nie dowiedziała się niczego ponad to, że Bugaj był dobrym gliną, przyzwoitym człowiekiem i najprawdopodobniej seksoholikiem uwikłanym w skomplikowane relacje z żoną i kilkoma innymi kobietami.

- Może tort dnia? - zapytała młoda kelnerka, stawiając przed nią kawę. - Proponuję orzechowy, ewentualnie czekoladowy. Jest też ciasto marchewkowe - wyrecytowała.

Klara była głodna, ale podziękowała. Tego ranka i tak pozwoliła sobie na zbyt wiele z pudełkiem kokosowych ciastek w dłoni...

Dopijała kawę, kiedy w torebce odezwała się komórka.

- To jak? Wciąż chce pani pogadać? Za parę stówek będzie się pani mogła rozejrzeć i porobić zdjęcia - usłyszała w słuchawce głos Zenona Jurczyka, właściciela pobliskiego złomowiska. - Halo? Jest pani tam?

- Jestem. Będę u pana za jakieś pół godziny - odparła, zerkając na niewielki zegarek na wąskiej złotej bransoletce, maturalny prezent od rodziców, który wciąż jeszcze od czasu do czasu zakładała.

Płacąc za kawę, pomyślała, że to bez sensu. Kręciła się wokół własnych śladów, a teraz zapewne wywali w błoto kilkaset złotych, żeby pogadać z właścicielem auto złomu i nakręcić krótki materiał. A jednak nie potrafiła odmówić, skoro już się umówiła. Chciała odkryć, dlaczego zabito Bugaja, nie tylko dlatego, że marzył jej się dobry reportaż. Czowała, że w pewien sposób jest mu to winna. Polubiła go, nawet jeśli dzień po ich wspólnej nocy odjechała bez

pożegnania. Ale przecież planowała wrócić, była pewna, że jeszcze się zobaczą. Los zdecydował jednak inaczej, zadrwił z niej, oszukał...

Na złomowisko dotarła nieco przed czasem. Zanim wysiadła z samochodu, zebrała w kucyk długie, kasztanoworude włosy, przeciągnęła usta szminką w koralowym odcieniu i wyjęła ze schowka paczkę marlboro. Dopalała papierosa, kiedy ktoś zastukał w szybę od strony pasażera. Wzdrygnęła się wyrwana z zadumy i zdusiła niedopałek w samochodowej zapalniczce.

- Przepraszam, nie chciałem pani wystraszyć - powiedział postawny szpakowaty mężczyzna, kiedy opuściła szybę. - Zobaczyłem, że pani przyjechała. Ładne auto, chociaż cholernie snobistyczne. I te kosmiczne ceny części...

- To już chyba mój problem - odpowiedziała mało sympatycznym tonem, chwilę później dodając, że auto kupił jej ojciec.

- A, skoro szanowny tatko płaci, to zupełnie inna historia - skwitował Zenon Jurczyk dość kąśliwym tonem.

Skrzywiła się. Miała na karku trzydziestkę i jak dotąd nie udało jej się uwolnić od etykiетки rozkapryszonej córeczki tatusia, która żyje wygodnie tylko dzięki jego pieniądзом. Nawet matka i siostra uważały, że praca Klary to bardziej hobby niż poważne zajęcie, a bardziej złośliwi przyjaciele za plecami nazywali ją księżniczką. Ale może kiedyś to się w końcu zmieni? - pocieszyła się, sięgając po torebkę.

Jurczyk stał obok auta, gapiąc się na pustą drogę wiodącą do złomowiska. Wysiadła i podała mu rękę.

- Klara Maj, telewizja Szczecin - skłamała tak gładko, że nawet ją to zaskoczyło.

Kiedy wyjmowała z samochodu kamerę, zapytał, czy jest dziennikarką śledczą i czy nie męczy jej ta praca.

- Młoda kobieta nie powinna oglądać trupów - podsumował.

- No wiem, wiem. Pewnie dzieci powinnam rodzić i mieszać drewnianą łyżką w garze z bigosem, co? - mruknęła.

- Tego nie powiedziałem, chociaż dobry bigos tobym sobie zjadł. Odkąd żona odeszła... Szkoda gadać. - Podrapał się po głowie i ruszył w stronę metalowej bramy grodzącej olbrzymi plac pełen zezłomowanych i wciąż jeszcze całych samochodów.

Poukładane jedna na drugiej strupieszale karoserie wznosiły się wysoko nad ich głowami i Klara pomyślała, że jest w tym widoku coś upiornego - cmentarzysko porzuconych i zapomnianych aut, nad którymi nikt nie zapłaci... Przyglądając się stojącemu nieopodal staremu fordowi, zastanawiała się, kto nim jeździł i jak wiele światła zobaczył dzięki niemu.

- To co? Na kawę zapraszam, w baraku cieplej. - Jurczyk odwrócił się w jej stronę i posłał zachęcający uśmiech.

- Kawę już piłam, ale stanie na mżawce to faktycznie marny pomysł. - Ruszyła za Jurczykiem przez pełen sprasowanych pojazdów plac.

- Tędy, trzymać się lewej. Tam lepiej nie podchodzić - pouczył ją.



Spojrzała na zakończoną olbrzymimi metalowymi szczypcami maszynę, która podnosiła właśnie stare wiśniowe volvo, i przystanęła, przyglądając się smutnemu końcowi wrzuczonego do olbrzymiej prasowarki wozu. Kiedy maszyna bezlitośnie ugniotła karoserię, a boczna szyba rozprysła się pod jej naciskiem na tysiąc drobnych kawałków, Klara lekko się wzdrygnęła i odwróciła wzrok.

- Moja żona zawsze mówiła, że zasmuca ją ten widok. Nie rozumiem, czemu? Sprzątamy po to, by świat był bardziej znośny. Żeby pani widziała, jakie czasem auta przywożą nam do kasacji... Pięcioletnie audi, raz nawet porsche mi się trafiło. Odkupiłem je od właściciela i dałem synowi, do dziś nim jeździ.

- A samochód Krzysztofa Bugaja? Czemu zgłosił pan to policji? - zapytała, kiedy szukał w kieszeni kluczy.

- Zgłosiłem, bo Krzyśka znałem i lubiłem. I chociaż bałem się, że te typy będą chciały się zemścić, zrozumiałem, że tak trzeba.

- Mogę ich zobaczyć? Podobno nagrał pan tę rozmowę?

- Nagrałem, ale policja zabrała taśmy z monitoringu.

- Czyli nie ma pan tego zapisu? - zapytała Klara, wchodząc za Jurczykiem do niewielkiego baraku.

- No nie mam, mówię przecież. - Jurczyk podsunął jej krzesło, a sam oparł się o stół i ściągnął granatową watowaną kamizelkę, pod którą miał stary zmechacony golf w kolorze mokrego piasku.

- Jak się pan zorientował, że przywieźli do kasacji samochód Bugaja? - zainteresowała się Klara.

- Po tej durnej focie poznałem. Pluszowa, wisiała pod lusterkiem. Krzysiek dostał ją kilka lat temu od syna i nigdy nie ściągnął.

- Takie foki są popularne, prawda? W Trójmieście i na Helu są całe stragany z tym chińskim badziewiem, w Kołobrzegu i Świnoujściu też ich nie brakuje. Nie ma chyba nadmorskiego miasteczka bez kramów z tą tandetą - zauważyła Klara, a Jurczyk wzruszył ramionami.

- Foka to jedno, ale i wygląd wozu mi się zgadzał, a miejscowa rejestracja wskazywała na to, że auto mogłoby być Krzyśka. Jak mówię, znaliśmy się od lat, lubiłem go. Nie mieściło mi się w głowie, że ktoś z zimną krwią pozbawił go życia. Przecież on miał syna, to jeszcze dzieciak. Zadzwoiłem do Wojtka Kicińskiego, powiedziałem co i jak... Że auto, które chcą skasować jacyś kolesie, jest chyba Krzyśka, a mnie się udało zaciągnąć ich do baraku i złapać kamerą te parszywe mordy. Tego jednego dorwali dzień później, ale drugi nawiał. Interpol ponoć od lat go szuka, koleś ma niezłą kartotekę. Narkotyki, przestępczość zorganizowana, tego typu rzeczy.

- Nie boi się pan, że się zorientują?

- Że się połapią, że to ja podkablowałem? A pewnie, że się boję. Przecież ja mam córkę w gimnazjum i dwudziestoczteroletniego syna. Ale przymknąć oczu nie mogłem, kiedy skurwiele zabili człowieka. Krzysiek raz mi pomógł, kiedy myślałem, że się nie wykaraskam z długów. Pożyczył kasę od brata, pozalałtował inwestorów, miał wielu znajomych, i tak w ogóle życzliwy był gość. Zawsze z każdym

pogadał, podał rękę, wysłuchał. To kawy pani nie chce? – Jurczyk nalał wody do niewielkiego elektronicznego czajnika i włączył go, pogwizdując.

– Nie chcę, dziękuję. Kiedy tu przyjechali, mówili coś? – zapytała Klara.

– No że auto do kasacji i tyle.

– Nie pytał pan, czyje?

– Podali mi papiery, dopiero później się zorientowałem, że musiały być fałszywe.

– Papiery?

– Umowę o kupnie wozu, zawsze się to sprawdza.

– I tyle?

– A czego się pani spodziewała? To nie salon ferrari, żebyśmy klienta szampanem witali.

– Mogę nakręcić krótki materiał? Powiedzieć, że to pan połączył fakty i znalazł auto Krzysztofa?

– W sumie to jednak nie – odparł Jurczyk, zerkając na cicho szumiący czajnik, jakby chciał go ponaglić. – Bo właśnie sobie zdałem sprawę, że przecież to pójdzie w świat, ludzie zobaczą... Przepraszam, że na darmo tu panią ściągnąłem, ale jednak się wycofam.

– Mówiłam panu, że jestem dziennikarką.

– Mówiła pani. A o tym, że auto Krzyśka znalazłem, jak się pani dowiedziała?

– Mam swoje sposoby. – Uśmiechnęła się samymi kącikami ust i spojrzała Jurczykowi prosto w oczy. – Nie bał się pan zadzwonić na policję, kiedy zostawili panu audi należące do zabitego gliniarza, a boi się pan teraz?

- Tak, boję się. Nie o siebie. O dzieci. To nie są jakieś złamasy spod budki z piwem, to są prawdziwe bandziory. Bóg jeden wie, co zrobią, kiedy mnie dorwą.

- Jeden już siedzi.

- Płotka! - zachnął się Jurczyk. - Złapali cieniasa, który robił jakieś lokalne przekręty, a ten drugi nawiał! Jego złapcie, to o wszystkim opowiem przed kamerą! Póki co, nie chcę się w to mieszać. Wojtek Kiciński obiecał mi dyskrecję, ale widać, że ktoś już miele ozorem. Inaczej pani by o wszystkim nie wiedziała.

- Jestem dziennikarką, mam swoje sposoby...

- Mniejsza z tym. Proszę już iść. - Jurczyk nagle stał się szorstki, nieprzyjazny. - Odprowadzę panią - dodał, ale zapewne nie chodziło mu o kurtuazję, a o to, żeby przypadkiem nie włączyła kamery.

- Gdyby zmienił pan zdanie... - Klara wyjęła z torebki notes, wyrwała kartkę i zapisała swój numer. - Proszę dzwonić o każdej porze - dodała.

- Jasne - mruknął właściciel złomowiska i ruszył za nią w stronę bramy.

- Do widzenia. - Uśmiechnęła się, wkładając w to całą kokieterię, na jaką tego dżdżystego dnia było ją stać.

Ale Zenon Jurczyk nawet na nią nie patrzył. Krzyknął coś do młodego pracownika, kręcącego się przy jednej z maszyn, i bez słowa zamknął za nią bramę.

- Kurwa mać! - wysyczała Klara, wsiadając do mini coopera. Pół dnia z głowy, a ona wciąż wiedziała tyle co każdy podrzędny gliniarz w tej nadmorskiej dziurze, czyli

w sumie nic...

### 3

Dzwonek odezwał się, gdy Wojtek Kiciński kroił wyjętą z piekarnika tartę.

- Otworzysz? - poprosiła go Gośka, więc zdjął kuchenny fartuch i ruszył w stronę przedpokoju.

Nina Morawska stała w progu. Była przemoknięta i zziębnięta, w kusym płaszczu i drogich butach, które zakładała tylko od wielkiego dzwonu.

- Pani prokurator, witam. - Wojciech uchylił frontowe drzwi i wpuścił ją do środka.

- Daruj sobie te formalności, Kiciuś. - Nina podała mu butelkę czerwonego wina, poprawiła przed lustrem obcięte na krótko włosy i zdjęła płaszcz. - Dawno tak nie lało - mruknęła, zrzucając eleganckie czarne szpilki. - Miałam ambitny plan, żeby przesiedzieć w nich cały wieczór, ale już chyba starczy tego dobrego. Masz może dla mnie jakieś kapcie?

- Cieszę się, że jesteś - powiedział, biorąc od niej wierzchnie okrycie. - Proszę bardzo, bambosze mojej Gochy. - Podał jej puchate różowe pantofle.

Z ulgą wsunęła w nie stopy, skinęła głową w podziękowaniu i ruszyła za nim w stronę salonu.

- Wojtek, gdzie są woreczki do lodu?! - krzyknęła z głębi domu Małgośka.

- Nie wiem, szukaj! - odkrzyknął.

W salonie panował półmrok rozświetlony jedynie światłem płonących w szklanych osłonach grubych zapachowych świec.

Nina podeszła do Agnieszki, żony miejscowego patomorfologa Marcina Stefańczyka, i pocałowała ją w policzki.

- Wieki cię nie widziałam - powiedziała z uśmiechem.

- Cześć, Mora. - Marcin objął ją i przez dłuższą chwilę trzymał w ramionach. - Wszystko okay? Marnie wyglądasz... mimo tej bombowej kiecki. - Mrugnął do niej.

- Kto jeszcze mówi bombowa? - parsknął śmiechem Kiciuś, stawiając na stole paterę ze skrojoną tartą. - Czestujcie się, póki ciepła.

- Anny nie ma? - Nina rozejrzała się po pokoju, ale nie zauważyła wdowy po Krzyśku Bugaju.

- Miała przyjść, ale w ostatnim momencie zadzwoniła, że źle się czuje - powiedziała Gosia, siadając na sofie.

- Może powinniśmy do niej pojechać? Sprawdzić, czy wszystko z nią okay, pogadać - zasugerowała Agnieszka.

- Wątpię, czy to dobry pomysł. Wiecie, jaka jest Anna. Zawsze taka była, zamknięta w sobie, nieufna...

- Znamy się od lat, czemu miałyby nam nie ufać? - obruszyła się żona Stefańczyka.

- Może i tak, ale nigdy nie zbliżyliśmy się do siebie, nie zaprzyjaźniliśmy - powiedział Kiciuś. - Krzysiek był dla mnie jak starszy brat, ale ona... Zawsze miałem wrażenie, że z trudem mnie toleruje. Kręciła się gdzieś w tle, mijaliśmy się...

- Nie tylko ty. Chyba wszyscy mieliśmy wrażenie, że ona z trudem nas toleruje - wtrąciła Gośka nieco złośliwym tonem i rozlała gościom wina. - Za żywych i umarłych - rzuciła, na co Kiciuś się zachnął.

- Gocha, bez błazenady - mruknął, a ona tylko wzruszyła ramionami.

- Krzysiek miał poczucie humoru, raczej by się nie obraził - skwitowała Nina, siadając obok Agnieszki. - Zdrowie Bugiego, gdziekolwiek jest.

Po toaście zabrali się za jedzenie i atmosfera w niewielkim salonie nagle zgęstniała.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć, że już nigdy z nim nie pogadam, nie wypiję piwa, nie będę się nabijał z jego wałków tłuszczu w pasie. - Kiciński zaśmiał się nerwowo, kiedy zdał sobie sprawę, że łamie mu się głos.

- Bez przesady, gruby nie był - mruknęła Gośka, nakładając na talerz kawałek tarty z kozim serem.

- A ja zawsze miałem ochotę go zapytać, co takiego widzi w opalaniu się nago - uśmiechnął się Marcin Stefańczyk.

- Ty też wiedziałeś, że jeździł na plażę nudystów? - zdziwił się Kiciuś.

- Daj spokój, wszyscy wiedzieli, tylko Bugi wierzył, że to jeden z jego mrocznych, głęboko ukrytych sekretów - podsumowała Nina.

- Brakuje mi go - powiedziała Gośka, odkładając na bok talerz. - I chociaż minęły już prawie cztery miesiące, wciąż nie potrafię wykasować jego numeru z telefonu.

- Ja też nie - przyznał Wojciech.



- A pamiętacie, jak Krzysiek wywalił się na schodach przed komendą i ukruszył sobie zęba? Przez cały tydzień wyglądał tak komicznie - parsknęła śmiechem Gośka, ale w jej oczach błysnęły łzy. - Czemu takie rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom? Był porządnym facetem, prawdziwym przyjacielem... - Rozpłakała się.

Wojciech wstał z krzesła, usiadł obok niej na sofie i objął ramieniem.

- Wszyscy kiedyś umrzemy - powiedział.

- No to mnie, kurwa, pocieszyles! - parsknęła Gośka, a wszyscy obecni wybuchli nerwowym śmiechem.

- Wiecie już coś nowego? - zapytała cicho Agnieszka.

- Nie. Wiemy jedynie, że najprawdopodobniej zastrzelił go poszukiwany przez Interpol bandzior. Motywu wciąż nie znamy. Jego kumpla zgarnęliśmy, ale koleś nadal milczy.

- Myślisz, że Bugaj był w coś umoczony? W coś, o czym nie mamy pojęcia? - trochę niepewnie spytała Nina.

- Bugi? Nigdy w życiu! Za kogo, jak za kogo, ale za niego rękę bym sobie dał uciąć - zarzekł się Kiciński.

- Ludzie miewają sekrety - powiedziała Agnieszka.

- Nie Krzysiek. Powiedziałby mi, Aga. Nawet gdyby wpieprzył się w jakieś szambo, toby mi powiedział!

- A jednak ktoś go zabił. Nie przypadkiem, nie w wyniku bójki, ale z premedytacją. Wszystko wskazuje na to, że to była dobrze zaplanowana, brutalna i bezduszna egzekucja, Kiciuś - wtrącił milczący dotąd Stefańczyk.

- To nie znaczy, że Krzysiek był w coś wplątany! Może chodziło o prywatne sprawy albo...

- Zmieńmy temat, proszę. - Gośka położyła Wojtkowi dłoń na ramieniu i zapytała, komu jeszcze wina. - Nie chcę mówić o tym, jak zginął. Chcę pamiętać go żywego. Pamiętacie, jak się upił i zjechał na sankach do jeziora?

- A tafla lodu przy samym brzegu załamała się pod nim i umoczył dupsko w lodowatej wodzie. Trzeba go było wyciągać razem z tymi cholernymi sankami - zaśmiał się Kiciuś. - Wszyscy mieliśmy nieźle w czubie, w końcu awans trzeba oblać.

- Anna strasznie się wtedy na niego wkurzyła - powiedziała Gośka.

- Ona zawsze była wkurzona. Wściekła albo spięta - mruknął Kiciuś.

- Nie bądź wredny - poprosiła Agnieszka.

- Czemu? O zmarłych źle się nie mówi, ale wdów to chyba nie dotyczy? Nie lubiła mnie i nigdy tego nie ukrywała. Było mi z tego powodu przykro, w końcu to żona najlepszego kumpla.

- Ojejku, było ci przykro? Napij się, biedaku. - Gośka dołała Kiciusiowi kolejną porcję wina i usiadła mu na kolanach.

- A ja zawsze miałam wrażenie, że ona coś ukrywa. Jakiś mroczny, ponury sekret, coś naprawdę grubego - odezwała się Nina.

- Powiedziała prokuratorka. - Stefańczyk parsknął śmiechem i atmosfera w salonie lekko się rozluźniła.

- Cieszę się, że jesteście - powiedziała Gosia. - Pomyśleliśmy z Wojtkiem, że powinniśmy się częściej

spotykać. Przez ostatnie lata wciąż się rozmijaliśmy. Zawsze gdzieś w biegu, zalatani. A życie jest jednak cholernie krótkie...

- Mnie to mówisz? - Marcin krzywo się uśmiechnął i jednym haustem dopił resztkę wina.

Rozmawiali do północy, w końcu Nina zaczęła się zbierać.

- Wybaczcie, jutro rano muszę być w sądzie.

- My też już pójdziemy. Nasz Igor śpi dziś co prawda u mojej siostry, ale jutro powinniśmy być w miarę przytomni

- powiedziała Agnieszka. - Bierzemy wspólną taryfę?

- Jasne - zgodziła się Nina.

- Coraz wcześniej zdychają te nasze imprezy. Gdzie te czasy, kiedy piliśmy do rana? - z uśmiechem skomentowała Gośka, odprowadzając gości do przedpokoju.

- Ze mną nigdy nie piliście do rana. - Nina mrugnęła do niej.

- Bo ciebie, Smoczyco, zawsze się baliśmy - wyszczerzył się Kiciuś. - Na przykład ja dopiero niedawno odkryłem, że fajna z ciebie babka.

- Lepiej późno niż wcale. - Uśmiechnęła się do niego. - Dzięki za kaptcie - dodała, zakładając szpilki.

- Trzymajcie się. - Agnieszka pocałowała Gośkę w policzek i przytuliła Kiciusia. - Jesteśmy w kontakcie.

- Może rzeczywiście powinniśmy sprawdzić, co u Anny? - zapytała Gośka, kiedy zamknęła drzwi za gośćmi i przeszła do salonu. - Pomóż mi z tymi talerzami - dodała.

- Myślisz?

- Mówiła przecież, że dziś przyjdzie, a później się

wycofała...

- Jej strata...

- Wojtek, wiem, że za nią nie przepadasz, ale Krzysiek pewnie by chciał, żebyś się nią zaopiekował.

- Gdyby Bugi chciał, żebym się opiekował jego kobietami, musiałbym wziąć pod swoje skrzydła z pół miasteczka... i spory kawałek powiatu.

- To było podłe! - zachnęła się Gośka.

- Taka była prawda, Gocha. Krzysiek był świetnym kumplem i fajnym facetem, ale jego relacje z laskami bywały, delikatnie mówiąc, pochrzanione. Przecież wiesz, że stale miał jakieś romanse, chociaż zawsze się ich wypierał.

- Nie mówię o jego romansach! Mówię o wdowie, która być może nie daje sobie z tym wszystkim rady... Też za nią nie przepadam, ale wypadałoby...

- Mam gdzieś to, co wypada, Gośka! Zrobiliśmy tę kolację z myślą o Krzyśku. Chcieliśmy powspominać, pogadać o nim, spotkać się. Zaprosiłem ją i nie przyszła. Co jeszcze mam zrobić? - zapytał Kiciński, zbierając z ławy talerze po tarcie i sałatce.

- Jest załamana, dziwisz się jej?

- Nie w tym rzecz, jasne, że jej ciężko. Ale dziwi mnie to, że odcina się od świata. Nie da się przeżyć w izolacji, życie jest na to zbyt podłe.

- Może chce, żebyśmy o nią walczyli? Żebyśmy...

- Gośka, wybaczone, ale nie mam ochoty na rozmowę o Annie. Chcesz, to jutro do niej zajrzyj. Ja nie będę się narzucać.

- Jak wolisz. - Dopija resztę wina i podeszła do Wojtka. -

Nie chcę się kłócić – powiedziała, a on pocałował ją w usta.

- Nie kłóćmy się, kocie. Wymieniamy spostrzeżenia. -  
Mrugnął do niej.

- Wariat. - Roześmiała się i odłożyła trzymane w ręku talerze. - Chrzanić ten bajzel, chodźmy do łóżka.

- Racja, chodźmy do łóżka, bo jutra może nie być -  
skwitował Kiciuś, gładząc ją po opiętych kusą kiecką pośladkach.

- I kto teraz błąźnie? - rzuciła z uśmiechem.

## 4

Kacper siedział przy rodzinnym stole, mając nieprzyjemne wrażenie odrealnienia; wydawało mu się, że wszystko wokół jest jedynie teatralną scenerią. Matka nakładająca ojcu klopsiki, ojciec - starannie ogolony, w błękitnej koszuli z podwiniętymi rękawami - i babcia - siwa, okrągłutka na twarzy, zadowolona z życia, podzwaniająca zdobięcymi przeguby szczupłych rąk srebrnymi bransoletkami. Konrad wygodnie tkwił na swoim miejscu i jak gdyby nigdy nic z apetytem jadł niedzielny obiad. Na jego twarzy malowała się obojętność, sprawiał wrażenie kogoś, kto nie ma niczego złego na sumieniu, nawet ubicia muchy.

- Wyglądasz, jakby nic się nie stało. Nie myślisz o niej? - zapytał go Kacper, kiedy już zjedli i przenieśli się na górę do swojego pokoju.

- Jasne, że o niej myślę. - Konrad wulgarnym gestem złapał się za krocze i parsknął śmiechem. - Co? Tylko mi nie mów, że masz wyrzuty! Zabawiliśmy się, coś wymknęło się spod kontroli, zdarza się. Laska była upośledzona, nikomu nie będzie jej brakować. - Wzruszył ramionami.

- Nie była upośledzona. Miała znamię na twarzy i tyle - syknął Kacper.

- Chłopcy, zjecie deser?! - krzyknęła z dołu matka.

- Ja poproszę! - odkrzyknął Konrad, posyłając młodszemu bratu rozbawione spojrzenie. - Wiedziałem, że jesteś

mięczakiem! Zwykłą cipą, która robi w gacie na myśl o konsekwencjach – dodał ciszej.

– A ty niby się nie boisz? Któregoś dnia ją znajdą, przecież wiesz! Nie będzie do końca pieprzonego świata leżeć za workami z kartoflami. Znajdą ją i pójdziemy siedzieć.

– Ja pójdę, jeśli już. Ty nie masz nawet szesnastu lat, szczyłu jebany – zarechotał Konrad.

– Chłopcy, chodźcie!

– Słyszałeś? Mama nas woła. – Konrad uśmiechnął się krzywo i pchnął brata w kierunku drzwi. – Trzymaj japę na kłódkę, jasne? Piśniesz komukolwiek słowo, to wszyscy jesteśmy udupieni!

– O czym mówicie? – Ojciec wyrósł jak spod ziemi i musiał coś usłyszeć, bo na jego twarzy pojawiło się zaniepokojenie.

– O szkole – odparł Konrad lekkim tonem. – Takie tam, nic ważnego.

– Jak dla mnie zabrzmiało to poważnie. O czym ma nie mówić twój brat?

– Tato, wyluzuj. Wszystko jest okay – zapewnił go Konrad.

– Skoro tak twierdzisz... – Ojciec wbił w synów uważne spojrzenie, ale zawołany przez swoją matkę, w końcu stracił nimi zainteresowanie.

– Japa na kłódkę – syknął jeszcze Konrad, zanim weszli do salonu.

– Twój ulubiony. – Matka postawiła przed Kacprem deser na bazie mascarpone, ale chociaż uwielbiał polewę toffi i banany, tym razem ledwo przełknął trzy łyżeczki.

– Jesteś chory? – zainteresowała się matka, przykładając

mu dłoń do czoła.

Spojrzał jej w oczy. Były jasne, szczere, piękne. Mamo, ja nie chciałem. To nie tak miało być, pomyślał, zanim zdał sobie sprawę, że... płacze.

- Kacper, co się dziś z tobą dzieje, do cholery?! - zapytał ojciec ostrym tonem, jakby żenujące łzy u nastoletniego syna uraziły jego męskie ego.

- Buuuu, panienska się popłakała? - rzucił Konrad szyderczo, ale jego oczy były lodowate. - Beczy, bo dokuczają mu w szkole, nic wielkiego - skłamał.

- To prawda? Kto ci dokucza? - zapytał ojciec, ale Kacper już nie słuchał.

Zerwał się zza stołu i pobiegł na górę, gdzie zamknął się u siebie.

- Otwórz, chcę pogadać! - chwilę później ojciec załomotał pięściami w drzwi, wyraźnie nie mając zamiaru porzucić tematu. - Kacper, otwieraj!

Matka zjawiała się na piętrze tuż po nim.

- Synku, otwórz - poprosiła.

Wstał z łóżka, podszedł do drzwi i przekręcił klucz.

Rodzice weszli do środka i usiedli na jego łóżku.

- Wiesz, że zawsze możesz z nami porozmawiać, prawda? Cokolwiek się dzieje - zaczął ojciec.

Do ich wspólnej sypialni wszedł Konrad i stanął w drzwiach oparty o framugę. Kacper spojrzał na starszego brata, który przejechał palcem po gardle, wymownym gestem oznajmiając: powiedz słowo, a nie żyjesz!

- Synku? - Mama przyciągnęła go do siebie i pogłaskała po



plecach.

Pachniała perfumami, na które złożyli się z Konradem na Gwiazdkę, i pomyślał, że to pewnie ostatnia rzecz, jaką od nich dostała. Nagle poczuł złość, nienawiść do starszego brata rosła mu w gardle, pęczniała z każdym oddechem, pulsowała. To wszystko przez niego! Przez tego psychopatę, to on jest winien! – myślał, zaciskając ręce w pięści.

Matka pogłaskała go po głowie, ale szarpnął się, jakby nie życzył sobie jej dotyku.

– Kto ci dokucza w szkole? Chłopcy z twojej klasy? – zapytał ojciec.

– Nikt! Nikt mi nie dokucza! – Kacper zerwał się z łóżka i wybiegł z pokoju.

Na półpiętrze wpadł na babcię, ale nawet szok na jej twarzy go nie zatrzymał.

– Wracaj tutaj, chcę pogadać! – wrzasnęła ojciec, ale on był już na zewnątrz.

– Kacper, gdzie ty idziesz?! Załóż chociaż kurtkę, jest osiem stopni! – zawołała matka z okna na piętrze, ale chłopak gnał przed siebie, głuchy na cały otaczający go świat.

Był w lesie, przy starych bunkrach, kiedy odezwała się jego komórka.

– Wracaj do chaty, dupku, bo oprócz tego, że złapiesz katar, do reszty wkurwisz starego. Sprzedałem im właśnie bajeczkę, że znęcają się nad tobą chłopacy z twojej klasy, i tego masz się trzymać, słyszysz? – wycedził Konrad.

– Odpierdol się ode mnie, psycholu! Zawsze było z tobą coś

nie tak! – krzyknął Kacper.

Zanim się rozłączył, usłyszał jeszcze w słuchawce urągliwy śmiech brata.

W lesie było ciemnawo i wilgotno, zapach poszycia, ptasie głosy i cichy szelest ściółki pod stopami przypomniały mu dzieciństwo i dziadka, z którym kochał zbierać grzyby. Ale dziadka już nie było, a on zrobił coś, czego nigdy nie uda mu się wymazać z pamięci...

Dzwoniąc zębami z zimna, usiadł na jednym z pni i ukrył twarz w dłoniach. Po głowie pałętały mu się nieproszone wspomnienia z tamtej nocy – zwierzęcy strach w rozszerzonych z przerażenia oczach dziewczyny, jej siłą rozchylone nagie blade uda, kępa gęstych jasnych włosów w dole brzucha, drobne, ale jędrne piersi, na których zaczęły wykwitnąć pierwsze zasinienia. Gwałcili ją, a on omiatał całą scenę snopem światła z latarki, nie potrafiąc oderwać wzroku od rozgrywającego się przed jego oczyma horroru. Więcej, kręcił to wszystko komórką! A kiedy sam w nią wchodził dopingowany gwizdami i chamskimi uwagami brata i jego kumpla, pomyślał, że już nigdy nie będzie kimś normalnym, wartym czyjejs miłości. Bo przecież on też ją splugawił, chociaż wcale tego nie chciał. Bo patrzył, kiedy ją maltretują, milczał, nie walczył w jej obronie...

Presja ze strony brata była olbrzymia, a on zawsze jej się poddawał. Za każdym razem, kiedy ładowali się w coś zakazanego, to Konrad bywał prowodyrem i inicjatorem. A on biernie ulegał, wiedząc, że jeśli wymięknie, brat zamieni jego życie w piekło. Tym razem też na ślepo za nim

polazł, ale przecież miało być inaczej... Konrad powiedział mu, że tylko ją nastraszą, zabawią się. Miało być rzucanie kamieniami w okna, może jakieś pohukiwania pod sypialnią, trochę śmiechu.

Dopiero kiedy Konrad wywlókł ją z szafy i kopnął, Kacper zrozumiał, że na tym się nie skończy. Jego brat zawsze był dobrym aktorem. W szkole świetny uczeń, ulubieniec pań nauczycielek, szarmancki, dowcipny i przystojny. Mroczne oblicze pokazywał tylko nielicznym, w tym jemu... Bo to on miał pecha zostać jego powiernikiem, widzem mrocznych spektakli, które Konrad urządzał nocami, kiedy wymykali się z domu, żeby zaszaleć na mieście lub plaży.

Komórka odezwała się chwilę później, tym razem dzwoniła matka. Wyrwany z zamyślenia Kacper spojrzał na telefon, jakby widział go pierwszy raz w życiu, i odrzucił połączenie. Ziąb wślizgnął się pod bluzę, lizał plecy lodowatym oddechem marcowego popołudnia, uczepił się go i nie odpuszczał.

Gdy mama zrozumiała, że nie odbierze, wysłała mu esemesa:

*Wróć do domu, syneczku! Babcia się martwi!*

Wyjął z kieszeni scyzoryk, który lata temu dostał od dziadka, i przyłożył zimne ostrze do skóry, gdzie dłoń przechodziła w nadgarstek z sinymi żyłami pod delikatną bladą skórą. Będzie bolało? - zastanawiał się przez chwilę, niepewnie trzymając w ręku nóż. Pierwsze cięcie ledwo go skaleczyło, dopiero przy drugim krew pociekła bardziej żwawym strumieniem.

- O kurwa - szepnął i pociemniało mu przed oczyma.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się skapującej na leśną ściółkę posoce, w końcu przełożył nóż do lewej ręki i naciął prawy nadgarstek. Teraz już trząsał się tak, że z trudem udawało mu się utrzymać scyzoryk, jednak napierał ostrzem na skórę, by jak najgłębiej ją rozciąć.

Znajomy głos usłyszał, kiedy z niezdrową fascynacją przyglądał się sączącej z nadgarstków krwi. Zaniepokojony ojciec musiał wyruszyć na poszukiwania wzburzonego syna, który wyszedł z domu bez kurtki.

- Kacper!

- Tutaj! - krzyknął, bo nagle zapragnął wtulić się w ojca i wyznać mu całą prawdę.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że tylko tak mu się wydawało, że tylko chciał usłyszeć ojca, a las jest pusty... Krew spływała powoli, ale nieubłaganie. Rano bolała go głowa i zażył dwie aspiryny. Czy to przyspieszy sprawę? Myśl o śmierci przerażała go, jednak jeszcze bardziej przerażała go wizja powrotu do domu. Jeśli ją znajdą... Kiedy ją znajdą, nic już nie będzie takie jak dawniej. Co oni sobie w ogóle myśleli tamtej nocy? Że ujdzie im to na sucho? Boże, kurwa, niech już będzie po wszystkim, pomyślał. Żył w pachwinie lewej nogi naciął chwilę później - zsunął spodnie i zrobił jeszcze jedno głębokie cięcie. Zanim stracił przytomność, wczołgał się do głębokiej jamy pod drzewem i z policzkiem wtulonym w nadgniłą ściółkę myślał o Ewie. Kochał się w niej od dawna, ale już nigdy jej nie pocałuje. Zawsze sobie wyobrażał, że to z nią przeżyje swój pierwszy raz i stanie się

mężczyzną, a wyszło na to, że rozprawiczył się, gwałcąc przerażoną i zaszczutą dziewczynę...

## 5

Jeremi przeczesał palcami gęste czarne włosy, założył pikowaną ciemnogrnatową kurtkę i ostatni raz obrzucił wzrokiem wynajmowane przez ostatnie cztery lata szczecińskie mieszkanie, które teraz już puste, pozbawione jego rzeczy, wyglądało na znacznie większe i dziwnie obce.

- Żegnajcie, cztery ściany - mruknął, łapiąc za rączkę niewielkiej walizki.

Resztę rzeczy miała przewieźć firma kurierska, ze sobą brał jedynie laptopa i niewielki bagaż, w którym trzymał dokumenty, zdjęcia i trochę ciuchów.

Czekając na windę, zerknął przez brudne okienko na klatce; w dole, dziesięć pięter niżej, zachodziło właśnie słońce.

W drodze do samochodu pomyślał o Anecie; sposób, w jaki go zostawiła, wciąż sprawiał, że z wściekłości palił go żołądek. Trzy i pół roku razem i nagle to jej bezduszne, podłe stwierdzenie, że nie jest z nim szczęśliwa. Że chce mieć dom i normalnego faceta, a nie gliniarza pracoholika, który znika na całe noce i opuszcza ją w weekendy i święta, skazując na wieczną samotność.

- Chcę mieć dom, słyszysz?! Mam dość tego szpetnego wynajętego mieszkania, w którym czuję się jak w poczekalni, i twojej ciągłej nieobecności! Chcę mieć w końcu dziecko, poczucie bezpieczeństwa i prawdziwą rodzinę, a nie romans

z facetem, dla którego najbardziej liczy się praca! - wykrzyczała mu w twarz, pakując się.

Ironią losu było to, że naprawdę ją kochał. Wcześniej do żadnej innej kobiety nie czuł tego co do niej. Ale ona już go skreśliła. Nie nadawał się na ojca dla jej dzieci, nie rokował dobrze na świetlaną przyszłość, szach-mat... Kiedy wyjmowała z szafy kwiecistą sukienkę, którą miała na sobie podczas ich pierwszej randki, objął ją od tyłu i pocałował w szyję.

- Nie wygłupiaj się, Aneta. Przecież nieźle nam się układa - powiedział.

Odwróciła się i roześmiała mu się w nos.

- Nieźle? Chyba tobie! Ja utknęłam w związku bez przyszłości! - syknęła i wyslizgnęła się z jego objęć. - Puść. O osiemnastej podjeżdża po mnie Dorota, muszę ogarnąć te bety.

- Gdzie się zatrzymasz? - zapytał.

- O to nie musisz się martwić - rzuciła przez zęby.

- Czemu jesteś na mnie wściekła? Skąd ten dziwny chłód? Wszystko szło między nami całkiem nieźle i nagle się pakujesz?

- Nagle?! Jeremi, to się nie stało nagle! Zsumuj sobie wszystkie kolacje, z którymi na ciebie czekałam, święta, podczas których siedziałeś na komendzie, trupy, które jechałeś oglądać w środku nocy!

- Trupy mam liczyć? - wycedził.

- To taka przenośnia.

- No nie wiem. Na moje oko skrupulatnie przeliczyłaś je

wszystkie. Może jeszcze uznałaś, że zostali zaciukani specjalnie po to, żeby zrobić ci na złość, co? – parsknął, ale nie dała się sprowokować.

Z zasznurowanymi ustami wcisnęła do walizki pękatą kraciatą kosmetyczkę, w pośpiechu zdjęła z wieszaków resztę swoich ciuchów i upchnęła do niewielkiej podręcznej torby w sowy.

Kiedy wyszła, z impetem zatrzaskując za sobą frontowe drzwi, wybiegł za nią przed blok. I chociaż nienawidził siebie za to, jak się przed nią płaszczył, jeszcze raz poprosił, żeby dała mu ostatnią szansę.

– Przykro mi, ale podjęłam już decyzję. – Pogłaskała go po nieogolonym policzku i nie oglądając się, pociągnęła za sobą dużą bordową walizkę, która z furkotem przetoczyła się przez brukowany chodnik przed budynkiem.

Chwilę później wsiadła do ubłoconego opla swojej najlepszej przyjaciółki Doroty... i tyle ją widział.

Przez kilka dni w mieszkaniu unosiła się jeszcze intensywnie kwiatowa woń jej perfum, w końcu zapach się ulotnił, a Jeremi wracał do pustych czterech ścian, robił sobie na kolację parówki, które przegryzał suchą bułką, bo nie chciało mu się kupić masła, i zastanawiał się, w którym momencie jego najtrwalszy i najlepszy związek z kobietą zaczął zmierzać ku końcowi?

Przez pierwszy miesiąc łudził się, że ona jeszcze wróci. Że za nim zatęskni, zrozumie, co straciła, odezwie się. Ale jego telefon uparcie i bezlitośnie milczał. Zadzwoił więc do właściciela mieszkania i oznajmił, że w ciągu najbliższych



tygodni chce się wyprowadzić, a później na własną prośbę dostał przeniesienie do niewielkiego komisariatu w zalesionym nadmorskim miasteczku.

Szczecin opuszczał bez większego żalu, bo wszystko tutaj kojarzyło mu się z Anetą. Może w nowym miejscu poczuje się lepiej i zdoła na tyle ochłonąć, żeby skupić się na pracy, zamiast myśleć o tym, co stracił?

Na miejsce dotarł wczesnym wieczorem i chociaż wiedział, że czeka na niego właścicielka mieszkania, by podpisać umowę i wydać klucze, zamiast na Klonową skierował się w stronę plaży. Morze kochał od dziecka. Jego ojciec i starszy brat byli oficerami nawigacyjnymi na zbiornikowcach, on sam, będąc nastoletnim szczyłem, również przez jakiś czas myślał o tej drodze, jednak w końcu zdecydował się na szkołę policyjną.

Na plaży było pusto, a od wody szła mgła. Jeremi podciągnął wyżej kołnierz pikowanej kurtki i grzęznąc w mokrym piachu, ruszył w stronę brzegu. Szum morza zawsze go relaksował, wyciszał. Choć było mu zimno, przez kwadrans patrzył na ciemne fale i migoczące w oddali światła dużego statku, aż wreszcie ruszył w stronę swojego subaru.

Był kilkanaście metrów od auta, kiedy odezwała się komórka.

- Zgubił się pan? - usłyszał w słuchawce głos właścicielki mieszkania.

- Nie, zaraz będę - obiecał.

- Dobrze, w takim razie czekam.

Upierdliwa jakaś, pomyślał, zapinając pasy.

Na Klonową dotarł kilka minut później. Monika Wiśniewska czekała na niego na werandzie, w ręku trzymała kubek z herbatą.

- Przepraszam, zajechałem jeszcze na plażę - powiedział, podając jej rękę. - Jeremi Jaromirski.

- Monika Wiśniewska, miło mi. - Młoda kobieta kokieteryjnie się uśmiechnęła, odstawiła kubek z niedopitą herbatą na jedno ze stojących na werandzie wiklinowych krzeseł i zadzwoniła trzymanymi w ręku kluczami. - Zapraszam. Mam nadzieję, że mieszkanie się panu spodoba.

Kiedy weszli do środka, rozejrzał się po zadbanym, pomalowanym na pomarańczowo przedpokoju. Mosiężna figurka sowy na komodzie, fantazyjny kuty wieszak na płaszcze, obity szarą tkaniną fotel uszak w kącie - widać było, że właścicielka ma dobry gust i dba o dom.

- Schody trochę trzeszczą, mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza? Budynek jest w końcu z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego. - Gospodyni przystanęła na półpiętrze i puściła do niego oczko. - Póki co, będziemy tutaj sami, ale jeśli uda mi się wykończyć przed sezonem drugie mieszkanie na piętrze, za ścianą będzie pan miał sąsiadów.

- Mogę je zobaczyć? - zapytał.

- Co? - zdziwiła się.

- Mieszkanie, które pani wykańcza.

- Nie ja. Ekipa z nieocenionym panem Włodkiem na czele. I z góry przepraszam, jeśli od czasu do czasu usłyszysz pan jakiś łomot bądź wiertarkę.

- Przeżyję. Zresztą i tak zazwyczaj mnie nie ma - mruknął Jeremi, kiedy wyszli na piętro, a Wiśniewska otworzyła drzwi po lewej i zapaliła światło w pełnym budowlanych materiałów pustym mieszkaniu.

Jeremi wszedł za nią do środka i od razu zauważył tkwiącego w kącie imponująco tłustego pająka, którego ona raczej nie dostrzegła - podejrzewał, że na ten widok już tak szeroko by się nie uśmiechała.

- Jak pan widzi, póki co mamy tu kompletny chaos. - Wiśniewska potknęła się o jedną z desek, spojrzała w górę i... - Jezus Maria! - pisnęła, uskakując w bok. - Zabije go pan? Błagam, niech go pan zabije!

- No nie wiem... Sumienie nie pozwala mi mordować zwierząt. - Puścił do niej oczko, ale na widok malującej się na jej twarzy paniki przestał błaznować.

Sięgnął po jedną z leżących na podłodze tekturek i podsunął ją krzyżakowi, który wolno i majestatycznie na nią wszedł.

- O, balkon - mruknął, otwierając przeszkłone drzwi.

Po chwili krzyżak opuścił się w noc, a on wrócił do środka.

- Przepraszam, zrobiłam z siebie idiotkę, ale ten pająk...

- Niech się pani nie przejmuje. Moja była też za nimi nie przepadała, więc jestem w temacie.

- Dobrze, to przejdźmy do pana lokum. - Zerknęła na zegarek i stłumiła ziewanie. - Przepraszam, mam za sobą nocny dyżur.

- Jest pani lekarką?

- Pielęgniarką - odparła, otwierając drzwi naprzeciwko.

„Jego” mieszkanie było znacznie mniejsze, ale zadbane. Grafitowo szare ściany, meble z jasnego drewna, do tego wyglądająca na wygodną sofa, duży stół w kuchni i kilka niewielkich kaktusów w kolorowych doniczkach na parapecie tworzyły całkiem klimatyczne lokum dla mało wymagającego samotnego mężczyzny.

Z uśmiechem podążyła za jego wzrokiem i stwierdziła:

- Jeśli pan ich nie lubi, zabiorę je do siebie.

- Nie, czemu? Proszę je zostawić. Zakładam, że ich nie zasuszę - powiedział Jeremi, zanim zajrzał do niewielkiej i skromnie urządzonej sypialni, w której poza dużym podwójnym łóżkiem mieściły się jedynie szafa i niewielka nocna szafka z Ikei.

- Czyli podpisujemy umowę na rok z możliwością przedłużenia, tak? - Wiśniewska usiadła za kuchennym stołem i rozłożyła na jego blacie wyjęte z plastikowej koszulki papiery.

- Oczywiście, tak jak się umawialiśmy.

- Proszę sobie poczytać, ja zejść na dół, po komórkę - powiedziała Wiśniewska.

Kiedy wyszła, przejrzał umowę i bez wahania podpisał oba egzemplarze, dla niej i dla siebie.

- Może pan coś zje? Mam lazanie - spytała z uśmiechem, kiedy wróciła na górę.

Zauważył, że podczas tej krótkiej chwili zdążyła poprawić jasne, przycięte na pazia włosy, które teraz wydawały się bardziej napuszone, przeciągnąć usta błyszczącym i zarzucić na ramiona efektowną kolorową chustę, w której

wyglądała całkiem apetycznie.

- Chyba że chce pan wstąpić na lampkę wina? - zapytała kokieteryjnym tonem.

- Nie, dziękuję. Rzadko piję.

- Szkoda. - Uśmiechnęła się lekko, ale nawet jeśli ją uraził, w żaden sposób tego nie okazała, tylko dodała przyjaznym tonem: - Ma pan bardzo egzotyczną urodę. Te ciemne oczy, wysokie kości policzkowe, kruczoczarne włosy...

- Moja mama była Wietnamką. Tato poznał ją na statku i przywiózł ze sobą do Polski - wyjaśnił.

- Była?

- Nie żyje od ponad dziesięciu lat.

- Przykro mi. Moja zmarła półtora roku temu, zupełnie niespodziewanie. - w oczach Moniki Wiśniewskiej zalśniły łzy.

- Nie lubię o tym mówić. - Choć było oczywiste, że chętnie by z nim pogawędziła, Jeremi wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie jest w nastroju na rozmowę o przeszłości, zmarłej matce i wszystkich bolesnych wspomnieniach, które wciąż do niego wracały.

Kiedy Wiśniewska w końcu wyszła, zabierając swój egzemplarz umowy, zgasił światło, otworzył na oścież okno i wciągnął do płuc kilka haustów świeżego nadmorskiego powietrza. Pachniało żywicznie, zapewne za sprawą rosnących przed domem iglaków. Cieszył się jego rzeźkością przez dłuższą chwilę, w końcu zamknął okno, zapalił lampę nad stołem, wyjął z torby laptopa i wszedł na facebookowy profil Anety. Dwa nowe posty, obydwie z Barcelony.

Powiększył jedno ze zdjęć, na którym jego roześmiana była dziewczyna z rozwianymi przez wiatr włosami pozowała na tle fasady jednej z barcelońskich kamienic.

*Na tej samej ulicy mieszkał bohater „Cienia wiatru” Daniel Sempere!* – podpisała fotkę, która zebrała ponad sto lajków.

Sam wciąż miał ją w znajomych, jednak nie reagował na jej wpisy, nie komentował ich i robił wszystko, żeby dać jej do zrozumienia, że przestała dla niego istnieć. A jednak kiedy tylko zmienił hasło do wifi, nawet tutaj, w nowym mieszkaniu, od razu wszedł na jej profil...

Na drugim zdjęciu miała w ręku piwo. Zauważył, że podcięła i nieco rozjaśniła włosy.

*Barcelona nigdy nie śpi!* – podpisała je.

Przebiegł wzrokiem wpisy, szukając znajomych twarzy, ale zdjęcie skomentowały tylko jakieś trzy laski, których kompletnie nie kojarzył. Dziwka! – zbluzgał ją w duchu. Podobno szuka stałego związku, a włóczy się gdzieś po Europie. Chyba że się łudzi, że któryś z tych napalonych hiszpańskich samców, z którymi pewnie tańczy w skąpanych w migoczącym świetle stroboskopu nocnych klubach, nada się na ojca dla jej pierwszego dziecka, pomyślał, zanim wylogował się z Facebooka.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Łóżko z pikowanym zagłówkiem było wygodne, a w starym domu panowała niczym niezmacona cisza, mimo to bezsennie tkwił w pachnącej jaśminem pościeli i przewracał się z boku na bok, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji. Wiedział, że najbliższe dni nie będą łatwe. Wciąż był psychicznie

rozwalony po nagłym rozstaniu z Anetą, w dodatku, jak nieoficjalnie dowiedział się od starego kumpla, w nowej pracy dostanie pokój i biurko po brutalnie zamordowanym i bardzo cenionym gliniarzu, co z pewnością nie przysporzy mu sympatii nowych kolegów. Przynajmniej nie z początku.

Rano zdał sobie sprawę, że ma mleko i kawę, ale nie ma cukru, zszedł więc na dół z nadzieją, że pożyczyc kilka łyżeczek od właścicielki mieszkania. Był w korytarzu, kiedy dotarło do niego, że Wiśniewska rozmawia przez telefon. W tle cicho grało radio i pomimo skrzypiących schodów nie mogła go usłyszeć.

- Tak, chyba tak. Sprawia wrażenie kogoś, z kim dobrze mi się będzie mieszkało... Nie, no co ty... Mówi, że nie pije... No, chciałybyś... Jasne, że przystojny... Możesz wierzyć lub nie, ale wygląda jak Keanu Reeves... Kaśka, mówię poważnie! Ta sama egzotyczna uroda, podobny jak cholera... No, chciałybyś... - Wiśniewska parsknęła urywanym śmiechem.

Rozbawiony Jeremi przygryzł wargi, żeby jej nie zawtórować, i na palcach wycofał się spod drzwi salonu mieszkania gospodyni. Nie pierwsza kobieta skomentowała jego faktycznie dość zauważalne podobieństwo do znanego hollywoodzkiego aktora, jednak za każdym razem go to bawiło. Keanu Reeves, niezły pomysł... zwłaszcza finansowo byłoby ciekawie. Uśmiechnął się krzywo, wchodząc na schody, a jeden ze stopni przeciągle zaskrzypiał pod jego ciężarem. Cholera! - zaklął w duchu, jednak Wiśniewska nadal go nie słyszała. Zaśmiewając się do łez, opowiadała przyjaciółce o spotkaniu z jakimś dawnym znajomym i Jeremi

niezauważony wślizgnął się do siebie.



## 6

Anna Bugaj układała talerze w zmywarce, kiedy na górze trzasnęły drzwi i na schodach rozległ się tupot synowskich stóp.

- Arek, chodź tu na moment! - Odłożyła miskę i przeszła do przedpokoju, ale syn już zakładał buty.

- Sorry, śpieszę się.

- Gdzie idziesz? Jest prawie dwudziesta.

- Do Dominiki. A dwudziesta to dopiero wczesny wieczór.

- Jesteś pewny, że nie za późno na wizytę? Wiesz przecież, co ta dziewczyna niedawno przeszła...

- Mamo, odczep się, dobra?! - Zerwał z wieszaka kurtkę i nie żegnając się, wybiegł na mżawkę.

- I już... Odczep się i spadaj - szepnęła Anna, samotnie wracając do kuchni.

Kiedyś miałam rodzinę, dwóch moich chłopaków, którzy codziennie siadali za stołem i jedli to, co dla nich ugotowałam. Teraz Krzysztof nie żyje, a mój syn ledwo ze mną rozmawia, pomyślała bliska łez. I chociaż tyle razy obiecywała sobie, że już nie będzie płakać, znowu się rozkleiła. Arek ostatnio tak się zmienił. Dawniej czuł i troskliwy, dzisiaj odburkiwał coś w odpowiedzi na jej pytania i wściekał się, kiedy próbowała z niego cokolwiek wyciągnąć. Wiedziała, że jest w trudnym wieku, a tragiczna i nagła śmierć ojca odcisnęła na nim piętno, ale i tak ją to

bolało...

List od Filipa Czaplickiego leżał na stole, gdzie zostawiła go rano po wyjęciu ze skrzynki. To już siódmy, który do niej napisał, ale chociaż każdy przeczytała po kilka razy, nie zamierzała odpisywać. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej zastanawiała się, czy nie jest w nim zakochana, wreszcie jednak zrozumiała, że nigdy nie był mężczyzną, jakiego chciała w nim widzieć. Morderca z dwudziestopięcioletnim wyrokiem... Wzdrygnęła się, obracając w dłoniach beżową kopertę. Co w niej takiego było, że przyciągała tego typu ludzi? Najpierw Kornatowicz, który zniszczył jej życie już na starcie, a później Filip...

A jednak rozerwała kopertę i wyjęła złożoną na cztery kartkę z kratkowanego papieru i zaczęła czytać:

*Myślę o Tobie. Myślę, wspominam każdą naszą rozmowę i zastanawiam się, czy jeszcze któregoś dnia i Ty pomyślisz o mnie ciepło. Sporo nas przecież łączyło, pamiętasz? Nasze spacerunki po lesie, rozmowy o życiu, wątpliwości. Wiem, że w Twoich oczach zrobiłem coś niewybaczalnego, ale miałem swoje powody, w które wierzyłem...*

Anna odłożyła list na stół, przymknęła oczy i nakazała sobie: Nie! Nie będzie tego czytać! Nie pozwoli dłużej robić sobie wody z mózgu! Filip Czaplicki jest mordercą, a ona kochała jedynie swoje wyobrażenie o nim, nie jego!

I chociaż jakaś część jej duszy chciała przeczytać każde słowo, które do niej napisał, zgmiotła list w kulkę i wyrzuciła do śmieci.

- Jestem! - Arek wrócił, kiedy robiła sobie herbatę.

- Dominiki nie ma?

- Nie. Podobno pojechała z ojcem do lekarza i jeszcze nie wrócili. Zrobisz mi kanapkę? - Zdjął buty, cisnął na ławę kurtkę i zasiadł za stołem.

- Jak sobie radzi? - zapytała Anna.

- Kto? - Arkadiusz, który tkwił za stołem zapatrzony w wyświetlacz telefonu, ledwo kontaktował.

- Dominika, a niby o kim rozmawiamy? - parsknęła Anna poirytowana zachowaniem syna, który otwarcie ją ignorował.

- Spoko - mruknął chłopak. - Tylko stary nie daje jej żyć, kontroluje ją, ma jakąś obsesję.

- A dziwisz mu się? Po tym, co się stało...

- No, ale to chyba nie do końca jej wina, co? Jej starzy też nieźle sobie nagrabili. - Wzruszył ramionami.

- Ona też nie jest święta i dobrze wiesz, o czym mówię. - Anna przekroiła bagietkę i posmarowała ją masłem.

- Tylko obierz mi pomidora, bo nie lubię ze skórą - pouczył ją syn.

Rozpieszczam go, pomyślała. W jego wieku od dawna powinien sam robić sobie kolację. Z drugiej jednak strony poza nim nie miała nikogo, o kogo mogłaby dbać...

- Podaj ser - poprosiła.

Chłopak niechętnie uniósł się z krzesła.

- Tato mi się śnił - powiedział, na co Anna znieruchomiała z nożem w dłoni. - Powiedział, że zabił go ktoś, komu zrobił krzywdę.

- To tylko sen.

- Może. Ale i tak to sobie zapisałem, kiedy tylko się

obudziłem.

- To tylko sen, synku. - Podeszła do niego i pocałowała go w czoło.

- Może gdyby od nas nie odszedł to wciąż by żył?

- Może tak, może nie...

- Nie tęsknisz za nim?

- Oczywiście, że za nim tęsknię! Choć tyle razy mnie zranił.

- A ja nie! Był dupkiem, który myślał tylko o sobie! - Arek cisnął na kuchenny blat napoczęte opakowanie żółtego sera i wyszedł z kuchni.

- A kanapka?! - rzuciła za nim matka.

I usłyszała w odpowiedzi:

- Nie jestem już głodny.

Po chwili trzasnęły łazienkowe drzwi i w domu zapadła cisza. On cierpi, pomyślała Anna. Gdzieś za tą pełną wściekłości pozą urażonego smarkacza kryje się kochający syn, który wie, że już nigdy nie spotka ojca.

Kiedy przed ich domem ktoś zaparkował i przez jedną sekundę była pewna, że to Krzysiek zostawił przy furtce swoje audi, zdała sobie sprawę, że znowu płacze. Zanim zginął, odszedł do innej kobiety, a jednak wciąż myślała o nim jak o swoim mężu. Była naiwna? A może po prostu nie da się przekreślić tylu wspólnych lat, które razem przeżyliśmy? - zastanawiała się, samotnie skubiąc kawałek bagietki.

Komórka syna odezwała się chwilę później, gdyż wzburzony Arek wybiegając z kuchni, zapomniał ją zabrać.

Anna zerknęła na wyświetlacz i odczytała esemesa od

jakiegoś Konrada:

*Melduj się, chcę pogadać!*

- Przyszedł esemes czy się przesłyszałem? - Arek wynurzył się z łazienki i jednym susem dopadł do telefonu.

- Przyszedł.

- Cholera, muszę jeszcze gdzieś wyskoczyć. - Zerknął na komórkę, w locie złapał za kawałek bagietki i w pośpiechu ruszył w stronę przedpokoju.

- Od kiedy zacząłeś po prostu wychodzić, nie pytając mnie o pozwolenie? - zainteresowała się Anna.

- Nie jestem dzieckiem, mam prawo do własnego życia - burknął, zawiązując adidasy.

- Wróć przed dwudziestą drugą, słyszysz?

- Zobaczymy. - Zdjął z wieszaka kurtkę i dał nura w czającą się za progiem ciemność.

Zamykając za nim drzwi, Anna pomyślała, że nie ma już na niego żadnego wpływu, i ta myśl sprawiła, że poczuła się bezsilna. Kiedy jeszcze mieszkał z nimi Krzysztof, Arek bywał krnąbrny, ale nie bardziej niż każdy nastoletni dzieciak w jego wieku. Teraz stał się jednak arogancki, opryskliwy, zamknięty w sobie i zgorzkniały. Zwłaszcza to ostatnie ją bolało. Jest za młody na zgorzknienie, pomyślała ze smutkiem, kiedy włączała zmywarkę.

Kolejne dwie godziny spędziła przed telewizorem, bez większego zainteresowania przełączając kanały. W końcu poszła pod prysznic, umyła i ułożyła włosy, ogarnęła łazienkę i nastawiła pralkę, a syna wciąż nie było. Przed dwudziestą trzecią trzydzieści wybrała jego numer, ale Arek nie odebrał.

*Wracaj do domu! Chcę iść spać, a nie zasnę, dopóki się nie zjawisz* – napisała, ale na esemesy też nie odpowiadała.

Zjawił się przed drugą nad ranem, kiedy już odchodziła od zmysłów i krążąc od okna do okna, wypatrywała powrotu syna.

- Wiesz, która jest godzina?! – naskoczyła na niego.

- Późna – burknął.

- Ile razy cię prosiłam, żebyś nie wykręcał mi takich numerów?! Chcesz mnie wykończyć, no powiedz! Mało ostatnio przeszliśmy?! – krzyknęła.

- Sorry, byłem u kumpla. Jego brat właśnie się zabił – rzucił Arek lekkim tonem, który przyprawił ją o ciarki.

- Co? Co ty mówisz, synu?

- Mówię, że byłem u kumpla, bo jego brat się zabił! Teraz słyszysz?! – podniósł głos.

- Jezu Chryste, ale przecież...

- Mamo, idę spać, okay? A ty przestań lamentować, takie jest życie – rzucił filozoficznym tonem, zanim zaszył się u siebie.

Anna usiadła w ciemnej kuchni i zapatrzyła się w zalane deszczem okno. O kim on mówił? Kim był Konrad, który nagle zaczął do niego wydzwaniać, i jak to możliwe, że samobójstwo jego brata zrobiło na jej synu tak niewielkie wrażenie? Otepiał z bólu po śmierci ojca? A jeśli to coś więcej? Lub po prostu nie chciał się przed nią otworzyć, więc grał twardziela? Może przy kimś innym potrafił pokazać emocje, tylko nie przy niej. Pomyślała o Dominice. Lubiła tę dziewczynę, nawet wiedząc o tym, co zrobiła zeszłego lata.

A jednak na myśl, że dla syna ta rozkapryszona smarkula była kimś bliższym niż ona, coś zakłuło ją w sercu.

Rano Arek wymknął się do szkoły bez śniadania i znowu nie miała okazji z nim porozmawiać. Obiecała sobie jednak, że będzie uważniej mu się przyglądać, mieć na niego oko. Straciła już męża. Nie, syna stracić nie mogę! – pomyślała, samotnie siedząc w kuchni.

A po jakimś czasie wyjęła z kosza na śmieci zmięty list od Filipa Czaplickiego i przeczytała go trzy razy, chłonąc każde skreślone przez niego słowo. I chociaż wiedziała, że to tylko szopka, którą odgrywał z za więziennych krat, żeby odzyskać jej zaufanie, przez jedną krótką chwilę łudziła się, że jest w jej życiu ktoś, komu naprawdę na niej zależy.

## 7

Ostatniego dnia marca spadło kilkanaście centymetrów śniegu. Zaczęło sypać nad ranem, a kiedy Klara wstała i wyjrzała przez okno, świat przypominał otuloną kłębami waty bajkową krainę.

- Ja pierdolę, tylko tego brakowało - zaklęła pod nosem i sięgnęła po papierosy.

Nienawidziła zimy! Gdyby mogła, najchętniej by ją przespała. Niestety tak dobrze nie było... Pijąc kawę, usiłowała zaplanować dzień, w końcu jednak zdecydowała, że po prostu pokrąży po miasteczku i być może znajdzie kogoś, kto powie jej coś więcej, niż dotąd wiedziała. Biorąc prysznic, trzęsła się z zimna, bo pani Alina, właścicielka Mewy, miała irytujący zwyczaj wyłączania ogrzewania. Klara sama nie wiedziała, czemu zatrzymała się właśnie tu, w tym zaniedbanym pensjonacie na obrzeżach miasteczka. Bo tu spotkała Krzysztofa i wciąż chciała czuć klimat tamtej wspólnej nocy? A może po prostu zdecydowała, że tak będzie najtaniej? Ojciec przelał jej co prawda niedawno grubszą sumkę, sama też zarobiła kilkaset złotych na pisaniu sponsorowanych artykułów dla zaprzyjaźnionych redakcji, ale i tak powinna ostrożniej szafować oszczędnościami...

Kiedy suszyła włosy, właścicielka zapukała do pokoju i spytała:

- Pani Klaro, zje pani coś?



Wyłączyła suszarkę i odłożyła ją na komodę.

- Pani Klaro?!

- Idę! - krzyknęła, bosy przemierzając wyłożoną tanią wykładziną podłogę.

- Zje pani coś? - powtórzyła pytanie pani Alina, kiedy Klara otworzyła drzwi od pokoju.

- Myślałam, że poza sezonem nie serwuje pani śniadań dla gości.

- No niby nie, ale dziś mogę coś przygotować. Za dwanaście złotych, tanio.

- Dobrze, zejdę za kwadrans.

Stara kiwnęła głową i szurając nogami, ruszyła w stronę schodów. Jak zwykle na grzbiecie miała podniszczony szlafrok, a na głowie wałki. Klara pomyślała, że czuje się tak, jakby przeniosła się do innej epoki. Kto jeszcze nakłada wałki? Parsknęła śmiechem, spryskując włosy ułatwiającym rozczesywanie olejkiem.

Śniadanie okazało się mało ciekawe, ale w końcu po pani Alinie nie spodziewała się niczego więcej. Bułka posmarowana tanią pastą serową, na to kilka pasków grubo skrojonej zielonej papryki i kawa z mlekiem o wątpliwych dla kubków smakowych walorach.

- Dziękuję. - Klara położyła na stole dwanaście złotych, chociaż to, co właśnie jej zaserwowano w tym lokalu, nie było warte nawet połowy.

Dopiła kawę i w pośpiechu ruszyła do wyjścia.

- Miłego dnia! Dziś ślizgawica, jechać trzeba ostrożnie! - krzyknęła za nią pani Alina.

Co ty powiesz? - Klara uśmiechnęła się krzywo.

Do pokoju wpadła, żeby zabrać torebkę i założyć zamszowe botki, które w żaden sposób nie nadawały się na śnieg, i zbiegła na parter, podzwaniając trzymanymi w rękę kluczykami.

Na zewnątrz było chłodniej, niż się spodziewała, i szybko rozdzwoniły jej się zęby w zbyt cienkim, bordowym płaszczu.

Na komendę dotarła kilka minut przed jedenastą. Widok dużego ściennego zegara sprawił, że poczuła wyrzuty. Powinnam wstawać wcześniej, przeszło jej przez myśl.

- Chciałam rozmawiać ze starszym sierżantem Wojciechem Kicińskim - powiedziała do dyżurnego, który zmierzył ją zaciekawionym spojrzeniem i burknął, że go nie ma.

- Poczekam - zdecydowała, rozcierając przemarznięte dłonie.

- Ale ja nie wiem, kiedy pan sierżant wróci...

- Zobaczymy. - Klara usiadła na jednym z plastikowych krzeseł i wyjęła z torebki komórkę.

Zastanawiała się, do kogo mogłaby zadzwonić, żeby cokolwiek ugrać, kiedy przez oszklone drzwi komisariatu wszedł Kiciński.

- Ma pani szczęście - wyszczerzył się dyżurny, ale Wojciech wyminął ją bez słowa.

- Proszę poczekać, chcę porozmawiać. - Wstała i podbiegła, by go dogonić, zanim zamknie się w swoim gabinecie.

Nie odpowiedział, tylko podszedł do dystrybutora i nalał sobie wody, a później z plastikowym kubkiem w rękę zniknął

w jednym z pokojów.

- Ignoruje mnie pan w sposób, który można by już nazwać chamstwem! - wyrzuciła z siebie, pakując się do środka.

Zły początek, zły jak cholera, pomyślała, wściekła na siebie. Babskie sztuczki, dziewczyno! Odrobina kobiecego czaru zawsze lepiej działa niż jędzowate pyskówki.

Kiciuś upił kilka łyków wody i usiadł za biurkiem.

- Ignoruję panią, bo nie mam pani nic do powiedzenia - odparł niezbyt przyjaznym tonem.

- Myślałam, że to wam powinno zależeć najbardziej. Ktoś zamordował pana przyjaciela, do cholery! - znów podniosła głos.

- A pani uważa, że mi nie zależy, tak?! - Bliski wybuchu pochylił się w jej stronę. - Robimy wszystko, żeby dorwać tego bydlaka! Tyle że pani zainteresowanie sprawą w niczym nie pomaga! I jeszcze jedno, skoro już tak szczerze sobie rozmawiamy. - Przyszpilił ją wzrokiem. - Nie pracuje pani w telewizji Szczecin, sprawdziłem.

Klara lekko się zaczerwieniła.

- Jestem wolnym strzelcem. Robię materiał, który będę chciała...

- Nie interesuje mnie, co pani robi! Nie wykorzystaj pani tragedii Krzyśka do własnych celów!

- Jeśli będziemy współpracować, może czegoś się dowiem! Czegoś, co wam umknęło albo...

- Żegnam. - Kiciński wstał i ruszył w stronę drzwi, które gwałtownym ruchem otworzył. - I proszę więcej się tu nie kręcić!

Klara wstała i spojrzała mu w oczy.

- Spałam z nim - powiedziała cicho.

- Słucham? - wykrztusił Kiciuś.

Wyglądał na kompletnie zaskoczonego, co dawało jej moment przewagi.

- Powiedziałam, że z nim spałam. Wpadliśmy na siebie w pensjonacie Mewa i zaiskrzyło między nami. Ma pan rację, zależy mi na dobrym materiale, ale zależy mi również na tym, żeby te bandziory poniosły karę. Krzysztof był fajnym facetem, polubiłam go...

Kiciński przez dłuższą chwilę milczał, w końcu wrócił za biurko i wyjął grubą tekturową teczkę, której jednak nie otworzył. Położył jedynie na niej ręce, jakby tym gestem chciał okazać własną bezradność wobec braku postępów w śledztwie.

- Nie wiem, czego pani ode mnie oczekuje, bo niczego nowego nie wiemy.

- Niczego? Żadnych nowych świadków, dowodów, nic?

- Przecież mówię! - znów podniósł głos.

- Myślisz, że mamy szansę na sukces? Że uda się ich dopaść? - zapytała, spontanicznie skracając dystans i przechodząc na ty.

- Chciałbym... - Ciężkim gestem potarł twarz. - Idź już - dodał po chwili.

- Zadzwoń do mnie, jeśli czegoś się dowiesz? - Klara pochyliła się nad blatem biurka, żeby jak najlepiej wyeksponować głęboki dekolt wyciętej bluzki, i wyrwała z leżącego obok notesu kartkę, na której zapisała swój

numer. - Zadzwoń, bardzo mi na tym zależy.

- Nie obiecuję - burknął Kiciuś, a jednak schował jej namiary do szuflady i posłał coś na kształt uśmiechu. - Nie wiedziałem, że znalazście się tak blisko - dodał, kiedy wstała.

- To była tylko jedna noc - powiedziała cicho Klara, czując, że znowu się czerwieni.

- Krzysztof był ekspertem od jednorazowych przygód, to jedno mogę ci dziś zdradzić. - Mrugnął do niej.

- To akurat nie moja sprawa. - Wzruszyła ramionami, chociaż sposób, w jaki Kiciński skomentował jej wyznanie, nieco ją ubódl.

A może jestem przewrażliwiona? - pomyślała. Nikt nie lubi być jednym z wielu, zwłaszcza kobiety. Ale nad czym ja się użalam? Jakże to ma znaczenie, szczególnie w tym momencie?

Kiedy wyszła z pokoju, niemal wpadła na idącego wąskim korytarzem bruneta. Spojrzał na nią przelotnie i z powrotem wbił wzrok w wyświetlacz komórki, ale Klara zdążyła całkiem nieźle mu się przyjrzeć. Ciekawa uroda, pomyślała. Kruczoczarne włosy opadające na ciemne oczy przydługą grzywką, wysokie kości policzkowe i coś orientalnego w twarzy... Lubiła ten typ, zdarzało jej się tracić dla takich mężczyzn głowę. Nie był szczególnie wysoki, nie miał chyba nawet metra osiemdziesięciu, ale szerokie ramiona i mocny, pewny chód w połączeniu z nieco egzotyczną urodą sprawiały, że było na kim oko zawiesić.

Następnego dnia wpadła na niego w niewielkich delikatesach przy porcie. Nie zauważył jej, ale Klara miała

okazję, żeby uważniej mu się przyjrzeć. Gliniarz? – zastanawiała się, kiedy wkładał do koszyka razowy makaron. Później wziął trzy podwójnie pakowane paczki żółtego sera, kilka razy parówki, masło, tostowy chleb i cztery puszki tuńczyka. Nie umie gotować, jada byle co, pomyślała. Albo zrobił większe zakupy gdzie indziej, a tu wpadł tylko po jakieś drobiazgi.

Podchodził do kasy, kiedy zagadnęła go ładna, obcięta na pazia trzydziestokilkuletnia kobieta, i Klara poczuła zaskakującą, palącą wręcz zazdrość. Przecież nawet go nie zna! Co się z nią, do cholery, dzieje?! A jednak nie potrafiła przestać się na niego gapić... Jest wolny? – zastanawiała się, usiłując dostrzec prawą dłoń. Bingo! Nie ma obrączki, ucieszyła się. Kobietę, z którą przez krótki moment rozmawiał, delikatnie splawił. Sprawiała wrażenie kogoś, kto chciał pogadać, ale dał jej do zrozumienia, że się śpieszy, co chwilę zerkając na zegarek. Niegrzeczny chłopiec... Klara uśmiechnęła się krzywo i posłała mu jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie, którego nie mógł zauważyć, bo stał do niej tyłem. Wychodząc z delikatesów, złapał jeszcze leżącą przy drzwiach promocyjną gazetkę i zamknął za sobą drzwi. Przez brudne panoramiczne okno wychodzące na niewielki parking zauważyła, że wsiadł do ciemnoszafirowego subaru imprezy – auta, o którym marzył ponoć przynajmniej co drugi młody chłopak. Pasuje do niego ten wóz, pomyślała, dorzucając do koszyka solone orzeszki.

Dzień później zdała sobie sprawę, że nie potrafi wyrzucić z głowy wspomnienia ciemnych oczu, opadającej na nie

grzywki i ładnie wykrojonych warg.

- Tylko się nie zakochaj - mruknęła do siebie. - Tego by brakowało...

## 8

Kiedy Kiciński wszedł do niewielkiej sali konferencyjnej, w której odbywały się poranne odprawy, większość kolegów siedziała już na miejscach i z kubkami kawy w dłoniach, tłumiąc ziewanie, wgapiała się w korkową tablicę, na której ktoś zawiesił zdjęcie szeroko uśmiechniętego nastolatka Kacpra Chojnackiego, a obok kilka pośmiertnych fotek obrazujących kąt ułożenia zwłok i cięte rany na obu nadgarstkach. Wojciech wzdrygnął się na myśl o śmierci, która dopadła tego dzieciaka. Ciekawe, zastanawiał się Kiciński, czy zanim ten chłopak złapał za scyzoryk, miał świadomość, że przy naruszeniu mniejszej tętnicy lub żyły człowiek może się wykrwawiać całymi godzinami. Ostatnio czytał o kilku etapach wstrząsu krwotocznego, i ta lektura mocno go poruszyła. Zawsze myślał, że człowiek po prostu podcina sobie żyły i kilka minut później już nie żyje. Okazało się jednak, że nie jest to takie proste...

- Cześć, Kiciuś. - Sierżant Hanna Piasecka usiadła na krześle obok i szturchnęła go łokciem. - Coś taki zamyślony?

- Żal dzieciaka - mruknął.

- Żal... - W zadumie pokiwała głową.

- Dobra, ludzie! Zaczynamy! - Szef komisariatu, podkomisarz Marian Oziębłowicz, wdrapał się na podwyższenie, na którym stał niewielki stół, i postukał długopisem w blat. - Kacper Chojnacki to obecnie nasz



absolutny priorytet. Raporty z sekcji nie pozostawiają cienia wątpliwości. Dzieciak popełnił samobójstwo i nikt mu w tym nie pomógł. Na scyzoryku są tylko jego odciski, krew na ściółce również należy do niego, dookoła, nie licząc śladów sąsiada, tylko jego odciski butów, żadnych śladów walki czy obcego naskórka za paznokciami. Kąt, pod jakim zrobił nacięcia na skórze, również wskazuje na to, że działał sam. Pytanie: czemu? Dzieciak nie miał jeszcze szesnastu lat, do tej pory nie sprawiał żadnych większych problemów wychowawczych. Tak zwana dobra rodzina, ojciec technik elektryk, matka anglistka. Nic nie wskazywało na to, że coś złego się dzieje, i nagle bum! Hanka, pojedziesz do szkoły, pogadasz z klasą i nauczycielami. Technicy przeglądają właśnie jego komputer. Kiciuś, jedziesz pogadać z rodziną. Przepytasz matkę, ojca, brata, wyciągniesz z nich, co się da. Nie muszę mówić, że całe miasteczko patrzy nam na ręce. Samobójstwa to zawsze delikatna sprawa, a kiedy w grę wchodzi znaleziony w leśnej jamie dzieciak, to robi się gorąco. I oczywiście nikt nie gada z prasą, to chyba jasne?

- Jak słońce, szefie - mruknął siedzący przed Kicińskim młody gliniarz i przez salę odpraw przeszedł szmer rozmów.

- Cisza! - Oziębłowicz ponownie walnął w stół i dodał, że każdy ma się trzymać własnego planu.

- Jedziesz ze mną? - zapytała Kiciusia sierżant Piasecka. - Możemy wziąć twoje auto, szkoła jest jakieś trzysta metrów od domu Chojnackich. Później możemy wstąpić na szybką kawę, okay?

- Kuisz - mruknął Wojciech.

- Może trochę, ale bardziej oszczędzam na benzynie - skwitowała z uśmiechem. - A tak serio, coś mi dziwnie klekocze pod maską i boję się nawet pomyśleć, ile znowu zedrze ze mnie mechanik.

- Chcesz, to zajrzę - zaoferował Kiciński.

- Znasz się na tym? - ucieszyła się.

- Ten podziw w twoich oczętach... - Puścił do niej oko, kiedy wychodzili z sali.

- Spadaj - mruknęła, ale oczy jej się śmiały.

Przed szkołą wysadził Hanke, a sam zajechał na Tartaczną pod dom pogrążonej w żałobie rodziny.

Drzwi otworzyła mu na oko czterdziestokilkuletnia ładna blondynka w czarnej wełnianej sukience. Kiciński otrzepał z butów śnieg i wszedł do niewielkiego starego budynku.

- Proszę przyjąć moje kondolencje - wymamrotał jak zawsze niepewny i zażenowany w obliczu cudzej tragedii.

Kobieta, matka nieżyjącego chłopca, jak się domyślił, skinęła głową i zaprowadziła go do niewielkiego salonu, w którym siedziała skulona starsza kobieta i dobrze zbudowany jasnowłosy nastolatek.

- Dzień dobry. Starszy sierżant Wojciech Kiciński, chciałbym państwu zadać kilka pytań.

- A co to pomoże? - rozpląkała się staruszka.

- Mamo, proszę - syknęła młodsza, po czym podeszła do niej i położyła jej rękę na ramieniu. - Prowadzą śledztwo, to przecież dobrze - szepnęła.

- Śledztwo! Mój wnuk nie żyje, ot i cała filozofia! - Wzburzona staruszka wstała i podreptała w stronę wyjścia

z pokoju.

- Babciu, wróć - poprosił jasnowłosy chłopak, zapewne brat denata, a ona przystanęła w progu, żeby po chwili wrócić na niewielką ciemnoszarą sofę.

- Proszę mi opowiedzieć o tamtym dniu - zaczął Kiciuś. - Zauważyli państwo coś niecodziennego? Syn zachowywał się inaczej niż zwykle? Coś go gryzło?

- Popłakał się przy obiedzie - powiedziała matka ze łzami w oczach.

- Popłakał się? - Kiciuś nie potrafił ukryć zaskoczenia, bo myśl o płaczącym przy stole nastoletnim chłopaku wydała mu się co najmniej dziwna.

- Dokuczali mu w szkole, parę razy zerwał niewielki łomot i pewnie miał gorszy dzień - wtrącił milczący dotąd chłopak.

- Jesteś jego bratem?

- Tak.

- Ile masz lat?

- Niedawno skończyłem osiemnaście - odparł Konrad, a jego babcia z dumą dodała, że w tym roku będzie zdawał maturę.

- Gratuluję - mruknął Kiciuś.

- Jeszcze nie ma czego. - Chłopak wyszczerzył się w uśmiechu, ale szybko spoważniał. - Znajdziecie ich, prawda? Tych, którzy się nad nim znęcali? - zapytał.

- Nie wiesz może, o kogo chodzi? Podobno mieliście wspólny pokój.

- Ale innych znajomych. Szczyl czasem za mną łąził, ale zazwyczaj przebywaliśmy w różnych towarzystwach.

- Konradku, co ty mówisz? Miałeś dobry kontakt z bratem! Stale gdzieś razem znikaliście, a te wasze późnowieczorne eskapady... - Babcia wyglądała na wzburzoną słowami wnuka.

Konrad wzruszył ramionami i powiedział:

- Bez przesady, miałem własnych przyjaciół. Ale od czasu do czasu wymykaliśmy się do garażu na fajkę. - Mrugnął do matki, która zrobiła zde gustowaną minę i sięgnęła po chusteczki.

- Nie wygaduj głupot. Nie dzisiaj - powiedziała cicho.

- O jakich późnowieczornych eskapadach mówimy? - zainteresował się Kiciuś.

- Włóczyliśmy się czasem po porcie i lesie, nic wielkiego. Czasem paliliśmy ogniska na plaży. - Konrad ponownie wzruszył ramionami i skrzywił się, kiedy naderwał skórę przy kciuku.

- Przepraszam panie za tę uwagę, ale nie wyglądasz mi na zbyt przejętego. Twój młodszy brat nie żyje, dociera to do ciebie? - zapytał Wojciech, a na twarzy chłopaka wykwitł rumieniec złości.

- Ma mnie pan za idiotę?! Jasne, że to do mnie dociera! Tyle że facet nie ma tego komfortu co baba. Ja się tu łzami zalewać nie będę! - warknął chłopak.

- Nie chodzi o łzy. Sprawiasz wrażenie kogoś, kto...

- Dość tego! Nie pozwolę, żeby w takich okolicznościach obrażał pan mojego syna! - krzyknęła matka.

- Gdzie jest pani mąż? - zwrócił się do niej Kiciński.

- W pracy. Robi wykończeniówkę w nowo wybudowanej

galerii handlowej w Szczecinie, a szef nie dał mu wolnego.

- Nie dał mu wolnego? W takich okolicznościach?

- Pieniądz rządzi - skwitowała kwaśnym tonem.

- Przykre - powiedział Kiciński i w salonie na dłuższą chwilę zapadła cisza. - Kto go znalazł? - zapytał po chwili.

Wiedział, że sąsiad, ale chciał to usłyszeć od nich.

- Andrzej Kamiński, mieszka dwie ulice stąd. Koło północy wyszedł z psem i...

- Czemu tak późno? Nie szukali go państwo wcześniej? Podobno wybiegł z domu tuż po obiedzie i był w samej bluzie i spodniach przy ośmiu stopniach na plusie.

- Chciałam! Myśli pan, że nie chciałam?! Chciałam za nim pobiec, zawołać go do domu, dać mu chociaż kurtkę, ale mąż mi nie pozwolił. - Matka rozplakała się.

- Nie pozwolił? Czemu? - zdziwił się Kicius.

- Mówił, że nie możemy robić z niego mięczaka i biegać za nim jak za dzieckiem. Dostaje manto w szkole, bo jest za słaby, tak to ujął i kazał mi zostać w domu. Wieczorem, koło dwudziestej, chciałam wyjść, żeby go poszukać, ale mąż był pewny, że Kacper zaszył się u jakiegoś kumpla, gdzie zostanie na noc, by dać nam nauczkę. No to znalazłam jakiś nieprzeczytany kryminał i czytałam do północy, później poszłam pod prysznic. Suszyłam włosy, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

- Kto?

- Sąsiad. Andrzej Kamiński. Był bardzo wzburzony, blady jak śmierć. Powiedział, że jego pies znalazł... Że... Boże, przepraszam, nie potrafię o tym mówić... To się nie dzieje

naprawdę, nie może się dziać! - Chojnacka ukryła twarz w dłoniach i rozszłochała się.

Konrad wstał i narzucił jej na ramiona pled, chociaż w salonie wcale nie było chłodno, i Kicius pomyślał, że chłopak odstawia przed nim pokazową scenkę, by wyjść na troskliwego, kochającego syna. Jednak doświadczony glina nie potrafił mu zaufać, czuł, że coś ukrywa.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania? - odezwała się babcia zaskakująco mocnym głosem. - Jeśli nie, chcielibyśmy zostać sami.

- Chciałbym wiedzieć, czy podejrzewacie, kto się znęcał nad Kacprem w szkole.

- Nie mamy pojęcia - powiedziała cicho Chojnacka. - Nigdy wcześniej na nic takiego się nie skarżył.

- Nigdy nie wracał do domu pobity, posiniaczony, wystraszony?

- Nigdy, zauważyłabym.

- Dobrze, na razie to tyle. Dziękuję za rozmowę i jeszcze raz proszę przyjąć wyrazy współczucia - powiedział Kiciński.

Nikt mu nie odpowiedział.

Chojnacka odprowadziła go do drzwi i zatrzęsnęła je za nim, jakby chciała jak najszybciej zakończyć tę wizytę. W sumie jej się nie dziwił, przecież przyszedł do nich po to, by brutalnie rozdrapać świeże rany, podczas gdy oni nie zdążyli jeszcze nawet dzieciaka pochować - ciało jeszcze nie zostało im wydane.

## 9

Sierżant Hanna Piasecka pchnęła oszklone drzwi i weszła do liceum. Trwały akurat lekcje i pomalowany na ciemny beż szkolny korytarz był cichy i pusty. Pokój nauczycielski był na piętrze, tego dowiedziała się od postawnego wąsatego woźnego, który najwyraźniej chciał ją wciągnąć w pogawędkę.

- Dzięki - wyminęła go, ignorując jego zaczepki, i wbiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie.

W pokoju pedagogów zastała siwiejącą na skroniach kobietę w ciemnej sukience i jedzącego jabłko, na oko trzydziestopięcioletniego bruneta z zakolami. Na jej widok nauczycielka uniosła brew i mało sympatycznym tonem zapytała, kim jest i o co chodzi.

- Sierżant Hanna Piasecka, chciałam porozmawiać. Czy ktoś z państwa uczył Kacpra Chojnackiego?

- Ja. - Mężczyzna odłożył na bok kartkówki i zdjął okulary.  
- Miał ze mną niemiecki. Dziś właśnie się dowiedzieliśmy...  
Straszna historia...

- Szkoda chłopaka, tyle życia miał przed sobą - dodała starsza kobieta, a w jej błękitnych oczach błysnęły łzy.

- Pani również go uczyła?

- Nie, ja nie, ale wszyscy jesteśmy wstrząśnięci.

- Jak pan ocenia Kacpra? - zapytała Hanna.

- Jako ucznia?

- Ogólnie.
- W porządku. Na pewno był cichszy od starszego brata, chwilami wręcz zamknięty w sobie, wrażliwy. Lubił pracować sam, odkąd go znam, siedział z tym samym chłopcem.
- Z kim? - zainteresowała się Piasecka.
- Z Maćkiem Ratajem. Przyjaźnili się.
- Będę chciała z nim porozmawiać.
- Nie ma go dziś. Choruje. Grypa - sprecyzował.
- Okay, wróćmy do pana. Coś jeszcze?
- W sensie? Nie bardzo wiem, czego pani ode mnie oczekuje. - Germanista ponownie założył okulary i ciężko westchnął. - Uczę ich niemieckiej gramatyki i kładę im do głów słówka. Nie mam z nimi większego kontaktu, jeśli o to pani pyta. Kacpra oceniam bardzo pozytywnie, ale przecież wiem o nim tyle, co widzę podczas lekcji. Powinna pani porozmawiać z jego polonistką, Danką Lachowicz.
- Jest dzisiaj w szkole?
- Tak, me lekcję w sali numer osiem - wtrąciła starsza nauczycielka. - Ale jeśli poczeka pani kilka minut do końca lekcji, akurat będzie miała okienko. Wiem, bo czekam na nią, żeby pogadać o lekarce, którą mi polecała.
- Poczekał w takim razie. Rozumiem, że przyjdzie tu po lekcji?
- Tak, pewnie tak. Jeśli nie, to po nią zadzwonię.
- Brat Kacpra twierdzi, że chłopaka ktoś prześladował. Że znęcali się nad nim koledzy z klasy - powiedziała Hanna chwilę później.
- Nad Kacprem? Pierwszy raz słyszę - zdziwił się



germanista. – Ale jak już mówiłem, wiem o nim niewiele...

– Jak wszyscy – mruknęła Hanna, notując coś w niewielkim notesie.

Profesor Danuta Lachowicz okazała się młodsza, niż policjantka się spodziewała, i bardzo atrakcyjna. Ciemnowłosa i ciemnooka trzydziestolatka ubrana w kolorową tunikę w etniczne wzory, czarne getry i sięgające kolan skórzane oficerki, roztaczała wokół siebie mocną woń orientalnych perfum i coś, co się zwie czarem osobistym.

– Pani z policji chce z tobą pomówić o Kacprze – powiedziała cicho starsza nauczycielka.

– Dowiedziałam się dziś rano i nie mogę przestać o tym myśleć. To był taki miły chłopak. – Lachowicz momentalnie posmutniała.

– Miał jakieś problemy?

– Kacper? Nic na to nie wskazywało.

– Podobno ktoś się nad nim znęcał. Ktoś z klasy.

– Kto tak twierdzi? – zdziwiła się nauczycielka.

– Jego brat.

– No tak, złoty chłopiec – rzuciła Lachowicz ledwie słyszalnym szeptem.

– Konrada też pani uczy?

– Owszem, jest w klasie maturalnej, mam tam wychowawstwo. I proszę wybaczyć szczerłość, ale nie dzielam ogólnych zachwyty nad jego osobą. Pod ugrzecznioną maską miłego chłopaka z sąsiedztwa kryje się coś mrocznego, jestem tego pewna.

– Danka, nie przeginaj. Mówisz o uczniu – upomniała ją

starsza nauczycielka.

Lachowicz wzruszyła ramionami i odparła:

- Jestem po prostu szczerą, chyba mam prawo?
- Potrzebuję adresu Maćka Rataja - powiedziała Piasecka.
- Nie wiem, czy powinnam... - zaczęła Lachowicz.
- Prędzej czy później go zdobędę - weszła jej w słowo.
- Okay, Ratajowie mieszkają niedaleko pubu Kapitan, w wolno stojącym szarym domu. Róg Marynarzy i Okrętowej, brązowa brama.

- Dziękuję. - Hanna wstała i skinęła głową, zegnając siedzących za stołem nauczycieli.

Kiedy wyszła na zewnątrz, sypało. Gęsty śnieg oblepiał jej rzęsy, wirował wokół głowy, otulał świat bielą. Przytupując dla rozgrzewki, wybrała numer Kiciusia.

- Gdzie jesteś? Podjedziesz po mnie?
- Wyszedłem od Chojnackich, właśnie miałem do ciebie dzwonić.
- Przyjedź pod szkołę, muszę jeszcze gdzieś jechać.
- Teraz? Myślałem, że skoczymy na kawę.
- Teraz, Kiciuś.
- Okay, będę za pięć minut.

Czekając na niego, przyglądała się budynkowi liceum. Był stary i zapuszczony, sprawiał przygnębiające wrażenie. Zabazgrane sprayem ściany, pęknięcia w murze, brudne okna.

Kiciuś podjechał przed budynek i dwa razy zatrąbił.

- Idę, idę - mruknęła Hanna, zeskakując z oparcia ławki pod niewielkim zadaszeniem, na którym przysiadła.

- Dowiedziałaś się czegoś ciekawego? - zapytał, kiedy już była w wozie.

- Niewiele. Porządny spokojny chłopak, nikt nie zauważył niczego niepokojącego. Dowiedziałam się za to, że jego starszy brat nie był takim aniołkiem, za jakiego chciałby uchodzić. Jego wychowawczyni z przekąsem nazwała go złotym chłopcem. Brzmiało to naprawdę kąśliwie.

- Konrad Chojnacki? A wiesz, że odniosłem takie samo wrażenie. Jest w nim coś diabolicznego.

- Aż tak? - zdziwiła się Hanna.

- Owszem.

- Skręć w stronę portu. Chcę pogadać z chłopakiem, z którym siedział Kacper. Podobno ma grypę.

- Teraz chcesz tam jechać? To nieletni, rodzice mogą mieć nam za złe rozmowę z synem bez ich obecności, a o tej porze są pewnie w pracy.

- Wiesz, gdzie to mam? - Piasecka uśmiechnęła się krzywo.

- Hanka, możemy mieć nieprzyjemności.

- Dygasz się, Kiciuś?

- Dobra, nic nie mówię. - Zawrócił na wąskiej, świeżo odśnieżonej drodze i ruszył w stronę portu. - Zerknę ci pod tę maskę, tylko mi o tym przypomnij.

- Dzięki, masz u mnie piwo.

- Za piwo wszystko - mruknął Kiciński, zjeżdżając w stronę nabrzeża. - Lubiliśmy się tu spotykać z Bugim, to była nasza miejscówka.

- Brakuje mi go - powiedziała cicho Hanna. - Czasem naprawdę mnie wkurwiał, a jednak zawsze go lubiłam.

- Każdego czasem wkurwiał, taki już był jego urok. - Zaparkował na pustym parkingu przed pubem Kapitan, zapiął kurtkę i wyszedł na mróz. - Chodźmy. Zobaczymy, co robi szczył na zwolnieniu. Obstawiam podkradzione ojcu piwo i maraton komputerowych gier.

- Szesnastolatek? Ja stawiam na wódkę, dopalacze i dziwki - zażartowała Hanna, ale żadne z nich się nie roześmiało.

- To chyba tu? - Hanna przystanęła przed piętrowym szarym budynkiem z brązową bramą i wcisnęła dzwonek.

Jednak choć dzwoniła cztery razy, nikt im nie otworzył.

- Widziałaś? W oknie na piętrze poruszyła się firanka - zauważył Kiciuś.

- Szczył najwyraźniej jest w domu, ale nie chce mu się zwlec dupy na dół i otworzyć drzwi? To gnojek! Pewnie przeszkadzamy mu w zabawie - syknęła Piasecka.

- Pornole.

- Co pornole? - zdziwiła się Hanna.

- Zapomnieliśmy o najważniejszej opcji. Gnojek pewnie ogląda pornole.

- Nie obchodzi mnie, co ten smark robi! Chcę z nim pogadać i nie ruszę się stąd, dopóki mi nie otworzy! - Piasecka ponownie wcisnęła dzwonek i po dłuższej chwili otworzyły się w końcu frontowe drzwi.

- Tak? - Chłopak miał zarzuconą na piżamę kurtkę i śmieszna czapkę z futrzanymi uszami na głowie.

- Otwórz, policja! Chcemy pogadać o Kacprze! - krzyknęła Piasecka.

- Teraz?

- Tak, teraz! I pośpiesz się, zanim odmarzną nam tyłki! - warknął Kiciński.

- Muszą państwo mocniej pchnąć, furka jest otwarta, ale się zacina.

- Pchaj, Kiciuś. - Hanna uśmiechnęła się krzywo i chuchnęła w zlodowaciałe dłonie. - Że też zawsze zapomnę rękawiczek...

Kiciński otworzył bramkę i przepuścił koleżankę przodem.

- Właż - mruknął.

- Sierżant Piasecka i starszy sierżant Kiciński - przedstawiła ich Hanna, kiedy weszli do środka.

- Skąd mam wiedzieć, że serio jesteście glinami? - zapytał chłopak zadziornym tonem. - W telewizji różne typy mają sfałszowane legitymacje.

- Synu, jeśli masz wątpliwości, zawsze możemy pogadać na komendzie - mruknął Kiciński, otrzepując buty ze śniegu.

- Hm... muszą je państwo zdjąć. Mama ma obsesję na punkcie parkietu - powiedział chłopak z niepewną miną.

- Parkiet rzecz święta. - Hanna schyliła się, rozsznurowała glany i w prążkowanych skarpetkach przeszła za chłopakiem do dużego pokoju.

- Proszę siadać. - Dzieciak zrzucił z sofy kilkanaście magazynów motoryzacyjnych, kichnął, wysiąkał podrażniony od ciągłego smarkania nos i usiadł naprzeciwko. - Mam grypę, więc jeśli boją się państwo wirusa, to ja...

- W dupę z wirusami! Nie masz większych problemów? - syknęła Hanna. - Podobno przyjaźniłeś się z Kacprem.

- Tak, od przedszkola. A co, narozrabiał coś, że węszą

wokół niego gliny? – zapytał Maciek Rataj.

– To ty nic nie wiesz? – zdziwił się Kiciński.

– Ale o czym? Bo ja jestem chory i nie byłem w szkole, w dodatku mam awarię neta i nie mogę nawet wejść na fejsa. Coś się stało?

– Stało się, owszem. Kacper nie żyje – powiedziała Hanna.

– Co?! – Chłopak parsknął nerwowym śmiechem i dosłownie zaniemówił.

– Zabił się, podciął sobie żyły.

– Ale jak... Nie ma opcji, to niemożliwe! Kacper nigdy by nie...

– Maćku, on nie żyje. Przykro mi, że dowiadujesz się w taki sposób – weszła mu w słowo Piasecka. – Jeśli chcesz zadzwonić do rodziców albo z kimś porozmawiać...

– A co ja mam dziesięć lat? – zachnął się chłopak, ale po chwili jego szczupłymi ramionami wstrząsnął szloch. – Kurwa... Przepraszam... Ja pierdolę, przecież to niemożliwe...

– Przykro nam, naprawdę. – Hanna wstała, podeszła do fotela, w którym siedział chłopak, i położyła mu rękę na ramieniu. – Wiem, że się przyjaźniliście.

– Od zawsze.

– Podejrzewasz, co mogło być przyczyną tak desperackiego kroku?

– Nie.

– Nic? Żadnych problemów, czegoś, co go przerosło, jakichś błędów, które popełnił? Nie zwierzył ci się ostatnio z czegoś niepokojącego?

- Nie, ale ostatnio niewiele gadaliśmy. Kacper wpadał do mnie, żeby w coś pograć albo obejrzeć mecz.

- I nie podejrzewasz, czemu odebrał sobie życie?

- Nie.

- Wspomniano nam, że ostatnio ktoś mógł się nad nim znęcać - powiedział Kiciński, nie spuszczać z chłopaka wzroku.

- Nad Kacprem? Kto?

- Ktoś ze szkoły.

- Ze szkoły? Nie, bardzo wątpię. Ale w sumie jest ktoś... - Maciek kichnął, wysiąkał nos i jeszcze raz kichnął. - Przepraszam. Wykończy mnie ten katar... Ze szkoły raczej nikt, ale jest ktoś, kogo Kacper się bał.

- Bał się? - zdziwiła się Hanna. - Ojca?

- Nie. Jego stary zawsze był w porządku. Mówię o Konradzie.

- Jego bracie?

- Tak, o tym dupku. Kacper się go bał, nazywał go psycholem. Ostatnio starał się go unikać, ale Konrad lubił wyciągać go na te swoje debilne nocne eskapady. Chciał mieć świadka.

- Co razem robili? - zapytała Piasecka.

- Różne takie... - Maciek wzruszył ramionami i znów się rozkaszał.

- Na przykład?

- Na przykład Konrad podpalił kiedyś starą szopę na narzędzia przy jednym z pensjonatów. Czasem urywał autom lusterka, przebijał opony, zaczepiał bezdomnych, upijał się.

Bratu też czasem dawał wódkę, ale Kacper nie lubił pić.

- Coś jeszcze?

- Koty.

- Co koty? - zdziwiła się Hanna.

- Konrad nienawidzi kotów i znęcał się nad nimi. Raz nakręcił filmik, jak zabija takiego czarnego. Kacper musiał na to patrzeć, inaczej brat zaczynał zatruwać mu życie. Sprawdźcie komputer tego psychola, na pewno znajdziecie ciekawe rzeczy.

- Myślisz, że Konrad mógł być jakoś zamieszany w śmierć twojego przyjaciela? - zapytała cicho Hanna.

- Szczerze? Nie zdziwiłbym się. Konrad uwielbiał znęcać się nad nim psychicznie. Zastraszał go, poniżał, poszturchiwał, wyśmiewał. Oczywiście kiedy nikt nie widział. W domu, przed rodzicami, udawał kochającego starszego brata. Kacper od jakiegoś czasu przymierzał się, żeby pogadać z ojcem, ale się bał. Wiedział, że Konrad znalazłby sposób, żeby mu dojechać. To znaczy dowalić... To chyba tyle, co mogę powiedzieć. Mam nadzieję, że pomogłem?

- Owszem. - Kiciuś wstał, klepnął chłopaka w ramię i ruszył w stronę drzwi.

- Przepraszam, że tak długo nie otwierałem. Mam gorączkę i nie chciało mi się wyłazić na mróz. Miałem nadzieję, że sobie pójdziecie. - Maciek Rataj uśmiechnął się blado i przekręcił zamek we frontowych drzwiach.

- Poradzisz sobie, chłopie? - zainteresował się Kiciński.

- Tak, jasne - zapewnił go chłopak, po czym trzy razy kichnął, wywrócił oczyma i sięgnął do kieszeni piżamy po



wymiętoloną chusteczkę.

- No popatrz, i nagle mamy typowy obraz klasycznego psychopaty - skomentował Kiciuś, kiedy szli w stronę samochodu.

- Polonistka Kacpra miała rację. Złoty chłopak skrywa drugie, mroczniejsze oblicze - zgodziła się z nim Hanna.

- Serio myślisz, że to on pchnął swojego brata do samobójstwa?

- Zobaczymy. Na razie nic na gnojka nie mamy. - Hanna nasunęła obrębiony futrem kaptur od czarnej puchowej kurtki i wsunęła dłonie w kieszenie. - To co? Kawa? Kapitana już chyba otwarli?

- Zjadłbym coś.

- Chodźmy.

## 10

Dochodziła dziewiętnasta, kiedy Jeremi wrócił do wynajętego mieszkania po pierwszym dniu pracy w nowym zespole. Na komendzie przyjęto go różnie. Widział pełne rezerwy półuśmieški, krzywe spojrzenia, kokieterię w oczach jednej z młodych funkcjonariuszek i otwartą niechęć niektórych wyższych rangą kolegów. Kilka osób wydawało się dość życzliwych, niestety nie należał do nich starszy sierżant Wojciech Kiciński, który od pierwszej chwili okazywał mu wręcz jawną wrogość. Jeremi starał się go zrozumieć. W końcu zajął pokój i biurko po jego brutalnie zamordowanym partnerze i bliskim przyjacielu. Jednak śmierć Krzysztofa Bugaja nie była jego winą i nie zamierzał czuć się źle tylko dlatego, że akurat jemu przypadło stare obrotowe krzesło po denacie.

- Dobry wieczór. I jak? Zadomowił się pan już?

Kiedy wślizgnął się do przedpokoju i zamierzał zaszyć się na górze, pojawiła się właścicielka mieszkania z kieliszkiem czerwonego wina w ręku.

Szlag by to! - pomyślał, bo właśnie w tej chwili dotarło do niego, że za każdym razem, wracając do siebie, będzie musiał wejść wspólnym wejściem i tak przemknąć na górę, żeby nie przyciągnąć uwagi gospodyni. Może gdyby nie zachowywała się aż tak napastliwie, nie byłoby problemu, ale Monika Wiśniewska ewidentnie czuła się spragniona jego

towarzystwa. Nie miał ochoty z nią gadać. Nie miał ochoty być uprzejmy i z całą pewnością nie miał zamiaru poznawać jej bliżej.

- Tak, wszystko w porządku - zapewnił ją więc oficjalnym tonem i wszedł na stare drewniane schody, które złowieszczo zatrzeszczały pod jego ciężarem.

- Gdyby miał pan ochotę, mogę zrobić kolację! - krzyknęła w ślad za nim Wiśniewska.

Przystanął na półpiętrze i zagryzł usta, żeby nie powiedzieć czegoś, czego będzie później żałować.

- Nie, dziękuję - rzucił po chwili i w pośpiechu wdrapał się na piętro.

Co za nachalna baba! - skrzywił się, grzebiąc kluczem w zamku. I co, do cholery, mu odbiło, żeby wynająć mieszkanie ze wspólnym wejściem?! Ale tym będzie się martwił później. Teraz weźmie prysznic, obejrzy coś w telewizji i może w końcu się wyśpi.

Na Facebooka wszedł tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie odezwał się do niego brat, ale chociaż obiecywał sobie dziesiątki razy, że nie będzie już zaglądać na profil Anety, i tak tam zajrzał.

*Home, sweet home! Ciasne i wynajęte, ale (prawie) jak własne!* - podpisała posta, na którym widniało kilka kartonów z logo szczecińskiej firmy przeprowadzkowej.

*Gdzie się przeniosłaś?* - zapytał jeden z jej znajomych.

*Na Szczerbcową!* - odpisała, dorzucając fotkę fasady jednej z kamienic.

- Bingo, kotku. - Jeremi zapisał sobie zdjęcie w folderze

„różne” i zjechał kilka postów w dół, żeby się upewnić, czy jego była nie dodała czegoś więcej.

A później dopił herbatę, w locie zjadł kanapkę i przeprasował elegancką nową koszulę. Ubierając się, pomyślał, że nie powinien tam jechać, a jednak chwilę później był na schodach. Tym razem Wiśniewska go nie zaczepiła – sądząc po dochodzących z jej salonu odgłosach, samotnie oglądała telewizor.

Był przy frontowych drzwiach, kiedy o jego łydkę otarł się duży, czarny kot.

- Cześć, kolego. - Jeremi schylił się, żeby pogłaskać zwierzę po błyszczącym aksamitnym futrze, potem wyszedł na zadymkę i wsiadł do subaru.

Do Szczecina dotarł senny i zmęczony, ale też dziwnie rozdrażniony. I po co było to wszystko? Cała ta szarpanina, ich nagłe rozstanie, fochy? Wciąż ją kochał i podejrzewał, że ona również nadal coś do niego czuje. A może tylko się łudził?

Kamienica na Szczerbcowej miała trzy piętra. Zaparkował przed budynkiem, przeszedł na drugą stronę ulicy i zadarł głowę, przyglądając się oknom. W kilku było ciemno. Na samej górze tańczyła jakaś para, za to na pierwszym piętrze... Bingo! Aneta nie zadała sobie trudu, żeby opuścić rolety, i stojąc po drugiej stronie wąskiej uliczki, widział ją jak na dłoni. Kręciła się po salonie, układając książki na regale. Włosy miała spięte w kucyk, włożyła krótką bawełnianą sukienkę w poprzeczne pasy, w której lubiła chodzić po domu. Śnieg zamienił się w siekący deszcz.

Jeremi przebiegł przez jezdnię, podszedł do klatki i jednocześnie powcisnął kilka guzików od domofonu. Oczywiście ktoś natychmiast mu otworzył, ludzie nadal bywali przerażająco nierozważni. Wszedł na klatkę. Lewe drzwi na pierwszym piętrze, chwila wahania i jego ręka uniesiona w górę. Zapukał cicho, ledwie słyszalnie, a jednak już po chwili Aneta stanęła w progu.

- Ty chyba żartujesz! - syknęła, bynajmniej nie zachwycona jego widokiem.

- Chcę tylko pogadać.

Skrzywiła się i usiłowała zatrzaskać mu drzwi przed nosem, ale był szybszy. Wsunął stopę pomiędzy nie a framugę i natarł ramieniem.

- Nie zajmę ci wiele czasu - powiedział, kiedy już władował się do środka.

- Zaraz zadzwonię na policję!

Była zaskakująco wściekła, a on znowu poczuł palący ból w żołądku.

Do kurwy nędzy, co takiego jej zrobiłem, że zasłużyłem na takie traktowanie? - zastanawiał się.

- Słucham, czego chcesz? Z nami koniec, chyba wyraziłam się jasno?! - znów podniosła głos.

- Jak było w Barcelonie? - zapytał kąśliwym tonem.

Roześmiała się. Głośno, urągliwie, nieprzyjemnie.

- Śledzisz mnie?

- Zjrzałem na Facebooka, to chyba niekaralne?

- Było okay. Czego chcesz, Jeremi?

- Ciebie...

I chociaż odpychała go, mocno ją złapał i pocałował w usta. W jej oddechu wyczuł wino.

- Ciebie chcę - powtórzył, błędząc ustami po jej szyi.

Przymknęła oczy, jej opór słabł, wykruszał się. Rozpuścił jej włosy, powąchał i wsunął w nie palce, nawijając kilka pasem. Sukienkę niemal z niej zdarł, z cichym trzaskiem pękł jeden ze szwów. Oparła się o ścianę, odchyliła do tyłu głowę. Rzucił na podłogę swoją kurtkę, ona sięgnęła do guzików jego błękitnej koszuli. Rozpinała je tak gorączkowo, że jeden opadł i potoczył się pod komodę.

- Brakowało mi tego twojego gęstego futra - szepnęła mu na ucho, gładząc jego porośnięty ciemnymi włoskami umięśniony tors.

- Hiszpanie nie są owłosieni? - zapytał.

- Są. - Uśmiechnęła się wymownie.

Wyobraził sobie, jak gzi się z jakimś przygodnie poznanym macho, pocałował ją w usta, wsunął język pomiędzy jej wargi, smakował ją, pożerał wzrokiem, całym sobą. Sięgnęła do paska jego spodni, uporała się z klamrą i po chwili stał przed nią z opuszczonymi do kolan dżinsami. Zdjął jej stanik i ujął w dłonie krągłe piersi z ciemnoróżowymi sutkami. Cicho jęknęła i gładząc go po pośladkach, dała się ponieść pieścizotom. Kąsał, lizał, ssał, całował i pieścił jej szyję, brzuch, piersi i ramiona. W końcu pozbył się butów i spodni, razem z nimi ściągając bokserki i nagi wziął ją na ręce.

- W prawo - powiedziała.

Pchnął drzwi od niewielkiej sypialni i rzucił Anetę na łóżko. Patrząc mu w oczy, uniosła biodra i zsunęła czarne stringi.

Wchodząc w nią, poczuł coś na kształt triumfu. Przecież mówiła, że już go nie chce, a jednak właśnie oplótła jego plecy nogami i wije się pod nim z rozkoszy, cichutko pojękując. Wbiła ostre długie paznokcie w jego pośladki. Syknął z bólu, ale w lędźwiach poczuł płomień zbliżającego się nieubłagane orgazmu. Doszedł w niej, zostawił ślad, naznaczył ją. Zanim się z niej wysunął, na dłuższą chwilę zastygł w spełnieniu.

- Ścierpła mi noga, złaź. - Zepchnęła go i opadła na wolną stronę wielkiego małżeńskiego łóżka.

- Jest ktoś inny? - zapytał, obracając się na bok, żeby zobaczyć jej twarz we wpadającej z korytarza poświacie zapalanej tam lampy.

- Pytasz, czy zostawiłam cię dla innego? Myślałam, że już to sobie wyjaśniliśmy.

- Czyli nie ma?

- Jeremi, chcesz się kłócić?

- Nie.

- Ja też nie. - Aneta wstała, przeciągnęła się i naga wyszła z pokoju. - Idę pod prysznic. Kiedy wyjdę, ma cię tu nie być.

Wmurowało go.

- Przed chwilą się kochaliśmy - wykrztusił.

- Nie planowałam tego - powiedziała z przedpokoju.

- Ale też nie oponowałam. Gwałt to raczej nie był! - niemal wykrzyczał urażony jej zachowaniem.

- Jesteśmy dorośli, poniosło nas. Trochę wypiałam, ty zacząłeś mnie całować, bywa.

Nie widział jej, ale był pewien, że w tym właśnie momencie

wzruszyła ramionami.

Wstał i przeszedł do przedpokoju.

- Aneta, daj nam jeszcze szansę - poprosił, uchylając drzwi od niewielkiej łazienki wyłożonej brzydkimi ciemnooliwkowymi kaflami.

- Idź już - nakazała, przeglądając się w lustrze.

Objął ją od tyłu i zerknął na ich wspólne odbicie.

- Pasujemy do siebie, nie widzisz tego? W życiu, w łóżku, wszędzie.

- Tylko w łóżku, Jeremi, nigdzie indziej. I wybacz, ale tak już to stworzyła natura, że kobiety często pasują do mężczyzn w sypialni. - Uśmiechnęła się urągliwie i sięgnęła po frotkę, by zrobić kucyk.

- Rozjaśniłaś włosy - powiedział.

- Trochę. - Wzruszyła ramionami.

- Czyli to koniec? Nie ma najmniejszej szansy na to, żebyś zmieniła zdanie? - zapytał, przysiadając na sedesie z opuszczoną klapą.

- Nie ma szansy, przykro mi.

- Ale nogi dla mnie rozłożyłaś! - warknął.

- Nie bądź chamski, co?! - Poczzerwieniała ze złości. - I wynoś się stąd, zanim jeszcze raz mnie obrazisz! Mówiłam ci, wypięłam za dużo wina, zresztą nic wielkiego się nie stało!

- Okay, tak to sobie tłumacz - wstał, przeczesał palcami włosy i wyszedł z łazienki.

Spodnie znalazł w przedpokoju, obok nich bokserki i zmiętą koszulę. Ubrał się w pośpiechu, był wściekły i upokorzony.



Wyszedł bez słowa z puchową kurtką w rękę i zaciśniętymi z gniewu ustami. Aneta z furią zatrzasnęła za nim drzwi i na ciemnej klatce zapadła niczym niezmacona cisza. Nie miał pojęcia, gdzie jest włącznik światła, więc zszedł na dół niemal po omacku.

W samochodzie walnął pięścią w deskę rozdzielczą i przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu, próbując uspokoić natłok myśli. Kiedy się kochali, był pewien, że Aneta da mu jeszcze jedną szansę. Okazało się jednak, że po prostu pozwoliła ponieść się chwili.

Do mieszkania dotarł przed północą; zanim skręcił w Klonową, krążył samochodem po okolicy, by jakoś się zrelaksować, ale wciąż był wściekły.

Auto zostawił przed domem. Nie chciało mu się wjeżdżać za bramę, skoro przed ósmą musiał jechać na komendę. Kiedy otwierał furtkę, zauważył kręcącą się po pokoju na parterze Monikę Wiśniewską. Zastłony były cienkie i wyraźnie prześwitywał przez nie zarys szczupłej kobiecej postaci. Wyjął z kieszeni klucze i odwrócił wzrok. Myślał o Anecie, żadna inna go nie interesowała. Tyle że Aneta nie chciała go znać. Ale może to się jeszcze zmieni? - pocieszył się, wchodząc na górę.

## 11

Tego dnia Konrad nie poszedł do szkoły. Wagarował rzadko, nie lubił psuć sobie opinii idealnego ucznia, jednak w to przedpołudnie nogi same poniosły go wzdłuż szosy na obrzeża miasteczka tam, gdzie z dachem przysypanym śniegiem stał stary, na wpół zrujnowany dom dziewczyny ze znamieniem. Skręcając w jego stronę, zwolnił i przygryzł wargi. Nikt nie powinien go tutaj zobaczyć. Z drugiej jednak strony nikogo tu przecież nie było. Polna droga, dom, las i niewielkie jeziorko, nad którym tego mroźnego, wczesnokwietniowego poranka nie kręcili się nawet wędkarze.

Doszedł do rozłożystego drzewa z widokiem na dom i wdrapał się na jedną z gałęzi. Z tego miejsca mógł bezpiecznie obserwować otoczenie niezauważony z drogi. Wyjął z plecaka lornetkę i uniósł do oczu. Jeszcze jej nie znaleźli, pomyślał, czując zarazem ulgę i swoiste podniecenie. O dniu, w którym ktoś w końcu odkryje to, co się stało, myślał z dużym podekscytowaniem. Wyobraził sobie kręcących się tutaj gliniarzy, migające na niebiesko światła radiowozów i chaos, jaki zazwyczaj panuje na miejscach brutalnych zbrodni. A może to nie jest chaos? Może tylko tak to wygląda z zewnątrz? – zastanawiał się, przyglądając się domowi.

Zeskoczył z drzewa, kiedy tak bardzo przemarzył, że

rozdzwoniły mu się zęby. W plecaku miał termos z gorącą herbatą - dobrze się przygotował do długiego dnia na świeżym powietrzu. Pijąc, spoglądał na dom. Ukruszone dachówki, odrapana farba na werandzie, stłuczona szyba, którą sam rozbił. Jak to możliwe, że jeszcze nikt jej nie szuka? - zastanawiał się. Musiała przecież z kimś się kontaktować, mieć jakieś miejsce w społeczeństwie. Ohydne czerwone znamię, które szpeciło jej twarz, z pewnością uczyniło z niej samotnicę, ale ktoś musi zauważyć, że gdzieś przepadła. Konrad słyszał, że przez jakiś czas sypiała z mieszkającym na obrzeżach miasteczka Senegalczykiem. Ale czy wciąż się z nim spotykała, kiedy ją dopadli? Nie miał pojęcia.

Kiedy wypił herbatę i schował do plecaka termos, powiedział sobie, że musi uzbroić się w cierpliwość, nie może popełnić żadnego błędu! A może już go popełnił? - pomyślał wystraszony na widok odcisków ciężkich zimowych butów wygniecionych w śniegu wokół drzewa. Jednak szczęśliwie zanosilo się na kolejną zadymkę - kwiecień zaczął się w tym roku naprawdę pieszko, ale śnieg, zasypując ślady, okaże się jego sprzymierzeńcem. A odwilż mogła się okazać jeszcze lepszą przyjaciółką, pomyślał.

Do pizzerii położonej przy pustym skwerze, na którym każdego lata rozkładało się wesołe miasteczko, dotarł koło jedenastej.

- Dzień dobry! Jest Eryk? - zapytał kręcącego się przy swoim aucie Piotra Rataja, męża właścicielki lokalu.

- Pracuje - burknął Rataj, wyjmując z wozu skrzynki pełne

wiktuałów.

- Pomóc? - zaproponował Konrad, posyłając Ratajowi jeden ze swoich najszerszych uśmiechów.

- Nie powinienes być w szkole? Wagary na kilka tygodni przed maturą to raczej marny pomysł.

I to mówi koleś, którego nastoletnia kochanka popełniła samobójstwo również przez to, że wypiął się na nią i na ich nienarodzone dziecko? - pomyślał Konrad z pogardą. Przecież całe miasteczko wiedziało, że kręcił z Andżelą. I chociaż do dziś się tego wypierał, Konrad dałby sobie rękę uciąć, że to on zrobił jej brzuch. Zresztą Dżela zwierzyła się ponoć kiedyś kuzynce Eryka, a później wieści poszły w świat. Żona Rataja do dziś nie pokazuje się w kościele, jakby nagle zaczęła się wstydzić ludzkich spojrzeń.

- Masz, wnieś to do środka, skoro już się tu pałętasz. - Rataj wręczył Konradowi skrzynkę pełną keczupu w szklanych butelkach, a sam wyjął z bagażnika kolejną. - Eryk jest na zapleczu. Macie dziesięć minut, nie więcej. I nie przyłaż tu więcej zawracać mu dupy, kiedy pracuje, bo nie za to mu płacę.

- Przepraszam, ja tylko na chwilę. Chciałem go o coś zapytać - powiedział Konrad pełnym szacunku tonem i ruszył za Piotrem w stronę wejścia na zaplecze.

- Gdzieś ty był tyle czasu?! - naskoczyła na męża Ratajowa, masywna i czerwona na twarzy czterdziestolatka.

Konrad zauważył, że ma ohydnie opuchnięte kostki, grzecznie się jej ukłonił i łypnął w stronę dwustanowiskowego zmywaka, przy którym Eryk szorował

właśnie talerze.

- Kolega do ciebie. Masz dziesięć minut fajrantu i wracasz do roboty! - rzucił Rataj.

- Cześć - przywitał kumpla Konrad.

- Co tu robisz? - syknął Eryk, kiedy wyszli na niewielki placzyk na tyłach lokalu. - Sam mówiłeś, że nie powinniśmy się razem pokazywać.

- Mówiłem i co z tego? Zapalisz? - Konrad znalazł w plecaku paczkę chesterfieldów. - Kurwa, nie mam zapalniczki. - Poklepał się po kieszeniach.

- Czekaj, skombinuję zapałki. Tylko Rataj sobie pójdzie.

- Dobrze ci się tu pracuje? - zainteresował się Konrad.

- Chujowo, ale nie będę przecież wybrzydzać. Nie skończyłem zawodówki, to i wielu opcji nie mam, zwłaszcza na tym zadupiu. Usiłowałem się niedawno wkręcić na kuchnię tego nowego hotelu przy plaży, ale mnie nie wzięli. - Eryk wzruszył ramionami. - A tu najgorsza jest ta stara locha, Ratajowa. Tłusta, wredna, podejrzliwa baba, która przeszukuje mi plecak za każdym razem, kiedy stąd wychodzę.

- Serio? Człowieku, to raczej słabo - roześmiał się Konrad, z niedowierzaniem przyglądając się kumplowi. - I pozwalasz na to?

- A co mam zrobić?! Baba ma obsesję, że pracownicy ją okradają. Zabierz z kuchni chociażby wykałaczkę, to ci jaja ukręci. W sumie z nią wolę nie zadzierać, bo ona tu rządzi. Rataj jest pionkiem, którym żonka miota wedle własnego widzimisię. A odkąd zdradził ją z Dzelą, ma koleś

przejebane...

- Dżela to była fajna laska. - Konrad uśmiechnął się do wspomnień i dodał, że chyba z połowa jego rocznika właśnie z nią przeżyła swój pierwszy raz.

- Dobrze dawała, fakt. I nigdy nie rzucała fochów - przyznał Eryk. - No mów, czego chcesz, zanim przyjdzie po mnie szefowa. - Skrzywił się.

- Pogadać chcę.

- O niej? - obniżył głos Eryk.

- A o kim? - burknął Chojnacki.

- Źle się stało tamtej nocy. A już ta chujnia z twoim bratem...

- Żal ci go?! Zdajesz sobie sprawę, w co nas wpierdolił, ewakuując się z tego łez padołu?! Kiedy ją znajdą, zaczną coś podejrzewać. Że sprawy jakoś się wiążą i tak dalej. A jeśli się kapną, że jego DNA radośnie tkwi sobie w jej piczy, to mamy konkretnie przejebane.

- To oni potrafią wykryć, gdzie zakisiłeś ogóra? - przeraził się Eryk, a Konrad parsknął śmiechem.

- CSI nie oglądasz, łosiu? Jasne, że potrafią!

- To co teraz?

- Nie wiem, musimy pomyśleć.

- Ja nie chcę iść siedzieć, człowieku - zaskamlał Eryk śmiesznie piskliwym głosem.

- Kto mówi o siedzeniu? Trzymamy gęby na kłódki i tyle. Dzisiaj w lesie, przy bunkrach, tam gdzie zawsze. Bądź o północy, chcę pogadać. Musimy ustalić alibi i twardo się go trzymać. Szczegółowe alibi, rozumiesz? Choćby sam papież

cię pytał, nie było nas tamtej nocy w pobliżu jej domu, czaisz?

- A jak zostawiliśmy odciski?

- To się powie, że się z nią kumplowaliśmy.

- Że z nią sypialiśmy, to można powiedzieć. Że sama tego chciała, nie? - Eryk uśmiechnął się promiennie, jakby właśnie wpadł na genialny pomysł.

- Zobaczysz się, coś wymyślimy. Dzisiaj o północy przy bunkrach, pamiętaj. - Konrad klepnął kumpla w ramię i pchnął ciężkie metalowe drzwi od zaplecza pizzerii.

W nocy bez problemu wymknął się z domu. Ojciec był w Szczecinie, matka spała otumaniona tabletkami, które po śmierci Kacpra przepisał jej znajomy internista, a babcia od dwóch dni prawie nie wyłaniała się ze swojego pokoju.

Do bunkrów dotarł na skuterze. Rodzice kupili mu go na osiemnaste urodziny, bo od dawna marzył o vespie.

Eryk już na niego czekał. Pałac papierosa, siedział na jednej z olbrzymich betonowych płyt tuż przy wejściu do bunkra.

- I co wymyśliłeś? - zapytał.

- Nie było nas tam, to najważniejsze. Byliśmy tej nocy tutaj, czaisz? Przywiozłem kilka puszek po piwie, wrzucimy je do bunkra. Niedopałki też mam, wypaliłem dziś z półtorej paczki.

- Po co? - zdziwił się Eryk.

- Żeby gliny wierzyły, że naprawdę tu wtedy byliśmy.

- Nie sprawdzą, kiedy paliliśmy? No wiesz, czy te pety nie są z dzisiaj...

- Niby jak? - Konrad wzruszył ramionami i wyjął z plecaka plastikowy worek pełen puszek po żywcu, heinekenie i coli. - Złap za kilka, gdyby co, piliśmy z jednej.

- No co ty? Jak jakieś cioty? - obruszył się Eryk.

- Nie masz większych problemów? - ofuknął go Konrad. - Byliśmy tej nocy tutaj, słyszysz? Od dwudziestej drugiej do pierwszej. Wypiliśmy kilka piw, gadaliśmy o piłce, laskach i...

- Których laskach?

- Nie wiem których. Ogólnie. Niech będzie, że o Andżeli. Że mocno ruszyło nas jej samobójstwo i ją wspominaliśmy.

- To było przecież latem.

- I co z tego?! Powtórz, co powiedziałem!

- Tutaj, kilka piw, Andżela. Człowieku, złapią nas... Po chuj ty jej krzywdę robiłeś? Mogliśmy ją wymacać, postraszyć, zabawić się, ale ty...

- A ty jej nie przeleciałeś?! - warknął Konrad.

- Ale ostatni, kiedy już wy dwaj...

- To jakaś różnica, który byłeś?!

- Kurwa, co za syf się zrobił. Człowieku, ja się stąd zabieram, jak tylko będzie jak. Mam kuzyna w Szwecji, może się u niego zatrzymam.

- Zabierasz się?! Odjechało ci?! Jeśli nawiejesz, to tak, jakbyś posłał glinom pocztówkę z napisem „winny”. Siedź na dupie, słyszysz?! Sypiałeś z nią, jeśli do ciebie dotrą, ale nie tamtej nocy!

- A jeśli oni potrafią ustalić, która to noc? Jeśli to wszystko...

- Nie panikuj, Eryk, słyszysz?! Będzie dobrze. Na razie



nawet jeszcze jej nie znaleźli.

- Może nigdy nie znajdą? - zapytał Eryk z nadzieją w głosie.

- W to akurat wątpię. - Konrad uśmiechnął się krzywo.

- A co z filmikiem? Młody nagrywał swoim telefonem, policja już pewnie...

- To nie był jego telefon - wszedł mu w słowo Konrad. - To była moja komórka, którą kilka dni wcześniej mu pożyczyłem, kiedy padł mu smartfon.

- Masz go?

- Skasowałem, chociaż żał mi było. Wszystko zajebicie się nagrało, obejrzałem to ze trzydzieści razy, zanim usunąłem. Jakość marna, ale klimacik... Człowieku...

- Po chuj żeś ją dusił, co?! - Eryk zerwał się z betonowej płyty i oskarżycielsko wyciągnął palec w stronę kumpla. - Zabieram się stąd, słyszysz?! Nie będę tu siedział i czekał, aż mnie przytkną!

Konrad podszedł do niego i złapał za kołnierz starej, podniszczonej kurtki.

- Powiedziałem, siedź na dupie! - warknął.

- Zamkną mnie! - Erykowi załamał się głos. - Po chuj żeś ją zabijał?!

- Tak wyszło - odparł obojętnym tonem. - A jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć, to ci powiem.

- To nie był spontan? - zdumiał się Eryk.

- Nie, zaplanowałem to.

- Ale czemu? Czemu ona? Po co zabijać? Co się...

- Zamknij się i mów ciszej! Tam są domy! - Chojnacki

zerknął w stronę wybudowanego kilka lat wcześniej osiedla pod lasem i przez chwilę stał w milczeniu, zapatrzony w ciemność wokół nich. – Słyszałeś coś? Jakby trzasnęła gałąź. Z tamtej strony.

Eryk się odwrócił, co Konrad natychmiast wykorzystał. Złapał leżący przy wejściu do bunkra kamień i podniósł go na wysokość twarzy kumpla.

– Co ty odpieprzasz? – we wzroku Eryka, który właśnie na niego spojrzał, pojawił się zwierzęcy strach.

– Mógłbym cię tu zatłuc, rozumiesz?! Dlatego nie pogrywaj ze mną! – warknął młody Chojnacki, ciskając kamień w ściółkę. – Siedź na dupie i nie wychylaj się! A wracając do córki czarownicy, tamtej nocy miałem zrobić coś, co kogoś zszokuje.

– Co? – wykrztusił kompletnie ogłupiały Eryk.

– Kojarzysz Zielarza?

– Tego gangstera, co mieszka za portem?

– Biznesmena, chłopie, biznesmena.

– No kojarzę, jak każdy, a co?

– No więc dzień wcześniej wkręciłem się do niego na pokera.

– Do Zielarza? – Eryk wyraźnie niedowierzał. – Przecież tam nie każdego wpuszczają. To są kolesie, którzy...

– No więc mnie wpuścili. Z polecenia, okay? Pomógł fakt, że miałem wolne dziesięć tysięcy. Starzy mi dali na osiemnastkę.

– Oprócz skutera? Człowieku... – Eryk pożądliwie zerknął w stronę stojącej nieopodal vespy.

- Oprócz. Ale nie w tym rzecz. Byłem pewny, że wygram, miałem dobre przeczucia. I przejechałem.

- Dziesięć tysięcy?

- Żeby tylko...

- Więcej?

- Trochę więcej. Wstyd się przyznać, ale wpadłem w panikę. Nie miałbym z czego mu oddać. Ale on miał akurat urodziny. Okrąga czterdziestka, było co oblewać. I powiedział, że daruje mi dług, jeśli zrobię coś, co go zszokuje. Coś, co naprawdę wgniecie go w fotel. Akcję miałem nagrać, dał mi tydzień. Wtedy pomyślałem o córce czarownicy, może dlatego, że niedawno widzieliśmy ją w porcie, pamiętasz? No i dziewczyna mieszkała sama w domu na odludziu. Idealny target.

- Zabiłeś ją, żeby zaimponować Zielaarzowi? Żeby darował ci dług? Żeby...

- W sumie to nie chciałem jej zabić, ale mnie poniosło. Planowałem trochę zabawy, może jakieś polowanie na nią w lesie. Ale wyszło, jak wyszło. - Wzruszył ramionami.

- I darował ci tę kasę? Widział filmik?

- Widział. Powiedział, że czad, i nawet mi pogratulował. Później dodał, że jeśli kiedykolwiek go z tym połączę, zajebie mnie i da swoim psom na pożarcie. Ale wyraźnie był pod wrażeniem - puszył się.

- A ja co z tego będę miał? - zainteresował się nagle Eryk.

- W jakim sensie?

- W takim, że tobie darowano długi, a mnie wpierdoliłeś w niezły syf i nic z tego nie mam...

- Wspomnienia ci zostaną. - Konrad wyszczerzył się do niego. - Muszę wracać, zanim matka odkryje, że nie ma mnie w pokoju i zeświruje. Nażarła się co prawda prochów i nie powinna się obudzić, ale cholera ją wie...

- O Zielarzu różne rzeczy gadają, ludzie się go boją - powiedział cicho Eryk. - Uważaj, żebyś się w coś nie władował.

- Gdyby się go nie bali, gównem by znaczył - podsumował Konrad. - Trzymaj się i nie trzęś dupą. Wszystko jest pod kontrolą.

- A ten filmik? Serio skasowałeś?

- Serio, a co? Żałujesz, że nie miałeś okazji go obejrzeć? Sorry, tak wyszło. Zielarz zobaczył, a potem musiałem pozbyć się dowodów.

- No trochę żałuję - przyznał Eryk.

- Przecież tam byłeś, niczego nie straciłeś. - Konrad założył kask i wskoczył na skuter. - Widzimy się za kilka dni!

- Pomachał kumpłowi i wolno ruszył wąską ścieżką w stronę miasteczka.

## 12

Wojtek Kiciński wiedział, że śmierć Bugaja nie była jego winą, a jednak wciąż nękały go wyrzuty. Tamtej nocy spał, kiedy przyjaciel do niego zadzwonił. Odebrała Gośka, obudziła go i powiedziała, że Krzysiek ma jakieś kłopoty, więc powinien tam pojechać...

Ubierał się długo, z ociąganiem. Był podziębiony i rozespany, a na zewnątrz szalała zadymka. W dodatku auto długo nie chciało zapalić. Powinien wziąć taryfę, pośpieszyć się, poprosić o wsparcie, ale zachował się jak idiota. Liczył na to, że cokolwiek się dzieje, Bugi jakoś się z tego wykaraska. Zawsze dawał sobie radę, miał fart i szczęście do ludzi. Kiedy usiłował odpalić samochód, Gośka wyniosła mu przed dom garnuszek gorącej herbaty, a on sterczał przy aucie i siorbał ten ukrop, zamiast jechać na ratunek.

Kolejne stracone minuty, pomyślał, parkując przed na wpół zwaloną chatą starego Macieja. Tutaj go znalazł i nigdy tego widoku nie zapomni. Kiedy dotarł na miejsce, nie było już ani bandziorów, którzy zabili mu przyjaciela, ani jego samochodu. Śnieg mocno zasypał ślady i był pewien, że Krzysiek już się stąd zabrał. A jednak obszedł dookoła dom i wtedy to zauważył – krew na kamiennej cembrowinie, wyraźny szkarłatny ślad dokonanego bestialstwa. Do studni podszedł na nogach jak z waty, a kiedy zajrzał do środka, przyświecając sobie latarką... Bugaj leżał na samym dole,

wrzucony pomiędzy śmieci, z nienaturalnie wygiętą głową, jak marionetka. Kicińskiemu do tej pory robiło się niedobrze na wspomnienie nieruchomej sylwetki przyjaciela.

Resztę pamięta jak przez mgłę...

Płacząc, zadzwonił do Gośki, chociaż przecież najpierw powinien wezwać karetkę. Kiedy przyjechał ambulans, szarpał się z młodym ratownikiem, wrzeszcząc, żeby robili Krzysztofowi masaż serca.

- Człowieku, on nie żyje - powtarzał chłopak, kiedy z pomocą ochotniczej straży i w obecności ponurego prokuratora wyciągnięto zwłoki.

Ale Wojciech nie rozumiał, co do niego mówili. Później było kilka godzin na komendzie, ciągnące się do świtu przesłuchanie i jego łamiący się głos powtarzający, że nie ma pojęcia, co się stało.

A teraz, ponad cztery miesiące od śmierci Bugaja, stał tuż obok zabezpieczonej deskami kamiennej studni i płakał. Łzy na policzkach zaskoczyły go i zniesmaczyły. Mazał się jak baba, a sprawa stała w miejscu. A jednak nie potrafił opanować wzruszenia. Krzysiek był dla niego jak starszy brat, zrobiłby wszystko, żeby móc cofnąć czas. Nie uratowałem go, pomyślał. A on z całą pewnością uratowałby mnie...

Szosa przejechał TIR z naczepą, bryzgając spod kół pośniegowym błotem. Kiciński podniósł kołnierz kurtki i rzucił ostatnie spojrzenie na tę przekłętą kamienną studnię. U jej podnóża ktoś położył pluszowego miśka, który teraz, na wpół przysypany śniegiem, ze zmrożonym i sztywnym

futerkiem, niemo tkwił na dawnym miejscu zbrodni, zostawiony zapewne przez jakieś dziecko. Zniczy było kilka, wszystkie dawno wypalone, i nagle Wojciech nabrał dziwnej ochoty, żeby jakoś to wszystko ogarnąć. Niedźwiadka zostawił w spokoju. Zebrał jednak lampiony z kolorowego szkła, i nie mając gdzie ich wyrzucić, włożył do bagażnika.

- Mam nadzieję, że nie masz żalu, Bugi - mruknął pod nosem.

Odpowiedziała mu cisza. Śnieg sypał tak jak wtedy i kiedy szedł w stronę swojego samochodu, naszło go upiorne poczucie *déjà vu*. Szukając kluczyków, pomyślał o nowym koledze. Aspirant Jeremi Jaromirski, dupek, który zasiadł za biurkiem Bugaja, jakby należało mu się to miejsce... Wiedział, że kieruje się zupełnie bezpodstawną niechęcią, a jednak w Jaromirskim wkurwiało go wszystko. I to, że był od niego wyższy rangą, i to, że zajął pokój Krzyśka, a nawet to, jak się nazywał. Jeremi, kurwa jego mać, Jaromirski, jak jakiś pieprzony hrabia! Splunął z obrzydzeniem.

Wyjeżdżał na główną drogę, kiedy zadzwoniła Gośka.

- Gdzie jesteś? - zapytała.

- Właśnie wyszedłem z komendy - powiedział.

Sam nie wiedział, czemu skłamał, dlaczego nie potrafił przyznać, że znów pojechał na miejsce śmierci Krzyśka? Zresztą czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Nie robił nic złego, może po prostu wstydził się swoich łez i chwil słabości.

- Gdzie? Słabo cię słyszę! - krzyknęła do słuchawki zachrypnięta Gośka. - Skocz po drodze do apteki, potrzebuje

syropu na kaszel.

- Suchy czy mokry? - Kiciński zapodał swojej dziewczynie tekst rodem z telewizyjnej reklamy i zawrócił na pustej szosie.

- Co suchy czy... Aha, kaszel. Nie wiem, po prostu tak mnie szarpie, że chcę płuca wypluć. Chyba suchy.

- Dobra, coś ci kupię. Będę za pół godziny - obiecał. - Kocham cię.

- Misiu, jak romantycznie - zachwyciła się Gośka, zanim rozkaszała się w słuchawkę. - To pa!

- Pa - powiedział, nie odrywając wzroku od drogi.

W aptece była kolejka. Rozpiął kurtkę, bo duchota panująca w środku dosłownie zwała z nóg, i stanął za wysokim ogolonym na łyso facetem w ciemnym płaszczu.

- Cześć, Majka. - Uśmiechnął się do jasnowłosej farmaceutki, kiedy przestępując z nogi na nogę, wreszcie odstał swoje w ogonku.

- Hej, Wojtuś. Dawno cię nie widziałam. - Wyglądała na szczerze ucieszoną jego widokiem, ale nic dziwnego, przecież w klasie maturalnej siedzieli w jednej ławce.

Poprosił o syrop.

- Na suchy kaszel - sprecyzował.

Majka posłała mu uśmiech i sięgnęła do jednej z wypełnionych lekami szuflad.

- Wszystko?

- Tak, dzięki - powiedział, wyjmując z kieszeni portfel.

Płacił, kiedy zapytała, czy ma chwilę, żeby pogadać.

- Teraz? - zdziwił się.



- To może być ważne - powiedziała. - Wiolu, ja na moment wychodzę - zwróciła się do ładnej piegowatej okularnicy w białym kitlu, która układała właśnie wieżę z agresywnie reklamowanych suplementów. - Chodź, pogadamy w moim aucie. Przynajmniej zjem ciastka, które tam zostawiłam, bo od śniadania nic nie miałam w ustach. - Majka zarzuciła na kitel elegancki wiśniowy płaszcz i pchnęła oszklone drzwi od apteki.

Zaparkowała nieopodal budynku, tuż przy wejściu do jedynej w miasteczku księgarni.

- Widziałeś już nowego Cobena? - zapytała, zerkając w stronę pełnej książek witryny.

- Kogo?

- Nie znasz? - zdziwiła się.

- Nie czytam zbyt wiele.

- Szkoda. Ja zawsze szukam okazji, żeby zaszyć się gdzieś z książką - powiedziała, otwierając ciemnobordowe volvo. - Włącz. Czekał, tylko rzucę na tył te ulotki.

Wojciech wsiadł, kiedy zrobiła miejsce na siedzeniu pasażera. W aucie było lodowato.

- Jezu, jak ja nienawidzę zimy. - Chuchnęła w dłonie i przekręciła kluczyk w stacyjce. - Przejedźmy się w stronę portu, mam ochotę zobaczyć morze.

- Przy tym wietrze? - skrzywił się Kiciuś.

- Ty nie musisz wysiadać - mruknęła z uśmiechem.

- I tak niewiele zobaczysz. Ściemnia się.

- Przynajmniej usłyszę szum fal. Ostatnio całe dnie spędzam w aptece, gdzie wszyscy na mnie pluja i kichają...

- Taki urok wczesnej wiosny. Też chyba coś mnie łapie, a moja Gośka jest chora.

- A ja właśnie się wykaraskałam z naprawdę wrednej jelitówki i jeśli mam być szczerą, wolałabym umrzeć niż złapać podobny syf jeszcze raz.

- Aż tak źle?

- Nawet nie pytaj.

- Fakt, wolę nie pytać. Mam tylko nadzieję, że już nie zarazasz. - Kiciuś posłał koleżance głupawy uśmiech i sięgnął po klamrę pasów. - O czym chciałaś ze mną pogadać?

- O Krzyśku Bugaju.

- O, tu mnie zaskoczyłaś. - Kiciuś w jednej sekundzie stał się czujny. - O co chodzi?

- Nie wiem, czy to ważne... Nie wiem nawet, czy to byli ci sami kolesie, których poszukujecie...

- Jeden już wpadł - sprecyzował Kiciuś.

- Tak czy inaczej, chciałam ci o czymś powiedzieć. - Majka skręciła w stronę portu i zajęła na parking z widokiem na betonowe nabrzeże. - Masz rację, za paskudna ta pogoda, żeby wychodzić z auta - zdecydowała. - A wracając do Krzyśka. Tamtej nocy, kiedy zginął, mieliśmy otwarte. Takie są zarządzenia nowego właściciela, w ostatnią sobotę miesiąca jesteśmy czynni całą dobę. Gdzieś tak koło wpół do trzeciej zjawili się dwóch facetów. Zwróciłam na nich uwagę, bo nigdy wcześniej ich nie widziałam. Jeden stanął w drzwiach i zaczął się gapić na gablotkę z produktami wzmacniającymi włosy, a ten drugi, sięgając po portfel,

powiedział: „Nie będzie już wszarz jebany posuwać cudzych żon”. Z początku kompletnie tego nie skojarzyłam. Myślałam, że to jakaś prywatna rozmowa. Dopiero kilka dni później coś do mnie dotarło. Po pierwsze to było w tę noc, kiedy ktoś zastrzelił Krzyśka, a po drugie, tych dwóch podjechało przed aptekę dwoma różnymi samochodami. Jeden z nich czymś ciemnym, wyglądającym na drogi wóz, drugi takim samym audi, jakim jeździł Bugaj. Teraz złe wieści. Nie mam zapisu z monitoringu.

- Mamy zapis z innego miejsca - powiedział Kiciuś. - Jesteś pewna, że koleś powiedział właśnie coś takiego?

- Tak, słyszałam wyraźnie. Była noc, cicho, pusto, tylko oni dwaj w aptece. Pamiętam, że nawet trochę się przestraszyłam, bo akurat byłam sama... Mamy co prawda przycisk alarmowy, ale dwóch roślących koleś jakoś dziwnie podziałało mi na wyobraźnię.

- Mówili coś jeszcze?

- Nie. Tylko to jedno zdanie, tuż po tym, jak weszli. Później ten wyższy poprosił o tabletki na ból gardła. Dałam mu strepsils z miodem i cytryną. Aż dziw bierze, co umysł ludzki zdoła zapamiętać w takich chwilach...

- Zabił człowieka i wpadł do apteki, żeby sobie kupić strepsils - mruknął Kiciuś, z niedowierzaniem kiwając głową.

- Chuj pierdolony.

- Przykro mi, Wojtek. Wszyscy bardzo to przeżyliśmy. - Majka położyła mu dłoń na kolanie, ale szybko ją cofnęła. - Przepraszam - szepnęła mocno speszona. - Podrzucę cię do auta. Wybacz tę idiotyczną wycieczkę.

- Nie wygłupiaj się, nic się nie stało.
- Słuchaj, ale ja nie mam pewności, że to w ogóle były te bandziory. Przecież oni mogli rozmawiać o kimś innym, może nawet o jakimś filmie. Chciałam tylko, żebyś wiedział, bo i tak zbyt długo mnie gryzło, że milczałam.
- Cieszę się, że mi powiedziałaś.
- Złapcie go, okay?
- Robimy, co możemy. Póki co, chyba nawiał z kraju, ale szuka go też Interpol.
- A ta jego żona? Może wystarczy sprawdzić, z kim przed śmiercią spotykał się Krzysiek?
- I co nam to da? Bilingi wykazały znajomość z pewną malarką, którą zresztą przesłuchaliśmy. Tyle że ona ponoć nic nie wie. Stwierdziła, że z mężem od jakiegoś czasu nie ma już kontaktu, i tak, bywał agresywny, bała się go. Ale nawet jeśli jej mąż zabił Krzyśka z zazdrości, to niczego nie zmienia. Motyw jest, jak dla mnie, kwestią drugorzędną. Chcę tylko, żeby ten skurwiel trafił za kraty.
- Drugorzędną? A jeśli Bugaj był zamieszany w jakieś szemrane interesy z tymi ludźmi?
- Śledztwo niczego takiego nie wykazało. Krzysiek był dobrym gliną, nie miał niczego na sumieniu.
- Nie chce mi się wierzyć, że to takie łatwe i proste kogoś zabić - powiedziała cicho Majka.
- Więc uwierz i dobrze zamykaj frontowe drzwi. Muszę jechać, Maja. Trzymaj się. - Rozpiął pasy, pochylił się, żeby pocałować ją w policzek, i złapał za klamkę. - Jeszcze raz dzięki. Przemyślę to sobie na spokojnie - obiecał.

W drodze do domu, kurczowo zaciskając palce na kierownicy, zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Skurwysyn, którego uchwyciła kamera w biurowym baraku auto złomu, z całą pewnością zabił - to już wiedzieli. Przyjechał razem z kumplem oddać wóz Bugaja do kasacji, a podczas aresztowania jego koleś miał przy sobie prawo jazdy Krzyśka i jego kartę płatniczą. Więc chodziło o zwykłą zazdrość? - zastanawiał się Wojciech. Dlatego Bugi zginął, bo zadał się z niewłaściwą kobietą? Czasem, nabijając się z niego, przepowiadał mu, że tak właśnie skończy - zabity przez jakiegoś wkurwionego rogacza. Teraz dałby wszystko, żeby takie słowa nigdy nie przeszły mu przez usta, nawet żartem...

## 13

Zimno! Hassan zdołał już szczerze pokochać Polskę, jednak do klimatu przyzwyczać się za nic nie potrafił. Wychodził z pracy, kiedy ktoś go zawołał.

- Piwo?! - krzyknął Rafi, kulejący brodac, który pracował z nim na kurzej fermie.

- Nie dzisiaj! - odkrzyknął Hassan. - Ja mieć spotkanie z kobieta!

- Kali chcieć, Kali mieć? - Rafi posłał mu szczerbaty uśmiech i uniósł kciuk.

Pożegnali się przy bramie. Rafi wsiadł na swój wysłużony rower, Hassan pieszo ruszył w stronę oddalonego o półtora kilometra przystanku pekaesu. Idąc wzdłuż drogi, pomyślał o Irenie. Kilka tygodni temu przestał do niej dzwonić, spotkał inną, był pewien, że to coś więcej. Ale nic z tego nie wyszło. Poznana w klubie dziewczyna wystawiła go do wiatru, a on nagle zatęsknił za jasnymi włosami Irki, jej drobnymi piersiami, ustami, które tak lubił całować. Nawet to znamię na jej twarzy jakoś mu nie przeszkadzało. Może dlatego, że pochodził z miejsca, w którym widywało się o wiele więcej ułomności niż tutaj, w dostatniej i żyznej Europie?

Na myśl o Senegalii coś zakłuło go w okolicach serca. Jako dziecko był tam szczęśliwy, dorastał w pełnej miłości rodzinie. Jednak nagle dobry los się od nich odwrócił, jakby ktoś ich przeklął. Najpierw zmarła mama, okazało się, że

miała tętniaka, który pękł, kiedy ręcznie prała rzeczy jego i jego braci. Później ojciec wpadł w długi, a starszy brat utonął w tragicznej katastrofie promu linii Dakar - Ziguinchor, a on sam musiał wyjechać do Holandii, żeby pomóc rodzinie. Nie miał jeszcze dziewiętnastu lat, kiedy opuścił Senegal. Później była kilkuletnia tułaczka od Amsterdamu, Szwecji i Niemiec po Polskę, w której zdecydował się osiąść.

Irkę poznał kilka miesięcy temu, zauroczyła go. Piętno na jej twarzy, dla większości ludzi szpetne, dla niego było czymś w rodzaju oznaczenia. Była inna, a dzięki temu, że ludzie nie widzą duszy, skupiając się na zewnętrznym pięknie lub brzydocie, mógł ją zdobyć dla siebie i rozkochać. Tak, kochała go. Był jej pierwszym mężczyzną, z nim straciła dziewictwo. Początkowo nie chciał wierzyć, że dotąd z nikim nie spała, dopiero szkarłatna plama na białym prześcieradle sprawiła, że uwierzył. Wyjął z kieszeni telefon i wybrał jej numer. Nie odzywał się do niej ostatnio, czy mu wybaczy? Idiota! Lubił to słowo, podobało mu się jego brzmienie, chociaż wiedział, że jego wydźwięk jest niestety negatywny... Czemu dał się omamić tej pustej lali o pomalowanych na wściekły róż paznokciach? Była tania, krzykliwa i przechodzona, jak mawiali o takich laskach pracujący z nim na fermie mężczyźni. Przechodzona. Kolejne śmieszne słowo, pomyślał, wymijając głęboką kałużę.

Od morza silnie wiało, a piski mew wydawały się cichsze niż zazwyczaj, odległe. Nałożył na głowę kaptur i przyśpieszył. Cholerny pekaes jeździł ostatnio o której

chciał, w głębokim poważaniu mając rozkład. Na przystanek dotarł głodny i przemarznięty, a autobus nie podjeżdżał. Kobieta, z którą się umówił na wieczór, od rana nie odbierała jego telefonów, i wyglądało to tak, jakby straciła ochotę na randkę, może nawet cały ten układ przestał być aktualny.

W tej sytuacji Hassan podjął nagłą decyzję, że odwiedzi Irkę. Jeszcze kwadrans spaceru i będzie w jej domu. Może mu się poszczęści i załapie się na krupnik? Zawsze kiedy się pojawiał, zaczynała gotować i podśpiewując, kręciła się po kuchni. Siadywał wtedy zazwyczaj na taborecie i przyglądał się jej krzątaniu. Miała ładną sylwetkę, gęste jasne włosy i śliczne kocie ruchy. Dziewczyna o dobrym sercu, którą los naznaczył piętnem powierzchownej brzydoty, pomyślał z uśmiechem.

Drogą przejechała furgonetka. Hassan machnął ręką z nadzieją, że uda mu się złapać stopa, ale kierowca go zignorował.

- To się wal - powiedział po polsku i jak zawsze ten obcy, szeleszczący język dziwnie mu zabrzmiał, tak bardzo obco.

Do domu Irki dotarł tak bardzo zmarznięty, że miał ochotę zwinąć się w kłębek i wślizgnąć do jej łóżka. I może właśnie tak zrobię, pomyślał, wchodząc na werandę. Wtedy zauważył, że frontowe drzwi są uchylone, a jedna z szyb w oknie od frontu rozbita. Przystanął i rozejrzał się niepewnie. Natychmiast dopadły go złe przecucia, zacisnęły mu paluchy na gardle. Od dziecka miał dobrą intuicję, a nieszczęście wyczuwał od razu. Zło zawsze zostawiało wyraźny ślad, jakby zawisało w powietrzu i wsiąkało



w kręcące się nieopodal ludzkie dusze.

- Irka?! - krzyknął, ale nikt mu nie odpowiedział.

Pod podeszwami zimowych butów Hassana zachrzęściło szkło. Wzdrygnął się i obejrzał za siebie, chociaż ciągnące się wzdłuż lasu i zasypane topniejącym śniegiem pole przy domu było puste. Pchnął drzwi. Nie chciał wchodzić do środka, ale coś pchało go do przodu.

- Irka? - powiedział cicho, wchodząc do wychłodzonego przedpokoju.

Pomimo kurtki czuł przenikliwy ziąb - dom był wychłodzony, sprawiał wrażenie opuszczonego. Wtedy je zobaczył. Drzwi od piwnicy. Irka nigdy nie zostawiała ich uchylonych. Panicznie bała się pajaków, z infantylnym uporem powtarzała, że tam siedzą te największe i najohydniejsze. Śmieszyło go to. Kobiety w jego kraju musiały sobie dawać radę z o wiele większymi problemami. Jednak zawsze kiedy posyłała go po ziemniaki, dwa razy sprawdzał, czy zamknął za sobą piwniczne drzwi i zasunął metalową zasuwkę. A teraz piwnica była uchylona...

- Irka?! - ponownie wykrzyczał jej imię, chociaż już przecież wiedział, że dziewczyna mu nie odpowie.

Gdziekolwiek była...

Sięgnął do przełącznika i zapalił światło w przedpokoju, a później, z dłonią opartą o poręcz, zszedł na dół do dużej i pełnej pajęczyn piwnicy. Irka mówiła mu, że kiedy jeszcze żył jej dziadek, wypychał tam zwierzęta. Zawsze się bała ich widoku, nie potrafiła spojrzeć w szklane nieruchome oczy lisów, psów i kotów. Teraz zimna komórka służyła jej jedynie

za składzik na niepotrzebne graty i miejsce, w którym trzymała ziemniaki. Tyle że po te na obiad zawsze posyłała jego. Więc kto przynosił je do kuchni, zanim go poznała? Tego nie wiedział.

Schody były ukruszone - nawet beton poddawał się nieubłaganemu upływowi czasu. Hassan stąpał ostrożnie; światło zza uchylonych drzwi rozpraszało nieco piwniczny mrok, jednak nie na tyle, żeby czuł się do końca pewnie. I nagle to zobaczył - blada bosa łydka wystawała zza worków z ziemniakami, odcinając się od brudnoszarej barwy. Staął jak wryty, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, i dopiero po chwili zrobił niepewny krok w jej stronę. I poczuł woń rozkładu. Nie chciał zobaczyć tego, co kryło się za workami, a jednak wiedział, że musi. Skoro już tu był...

Irka leżała wciśnięta w sam kąt pomieszczenia, jasne włosy straciły blask, przesłaniając pół twarzy. Przyklęknął i opuszkami palców musnął jej dłoń. Paznokcie miała połamane, na nadgarstkach liczne zasinienia, ciało przybrało dziwny kolor, sprawiała wrażenie woskowej figury.

- Irka - powiedział cicho. - Moja dziewczyno.

Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo klęczał obok zwłok, wpatrując się w delikatną nieruchomą twarz, puste spojrzenie i zmierzwione pasma w kolorze pszenicy, które tyle razy nawijał sobie na palce. Kto jej to zrobił? Czemu? Boże jedyny, czemu?! Wstał. Kręciło mu się w głowie, w ustach czuł kwaśny posmak, w skroniach szumiało.

Na górze, kiedy już wyszedł z piwnicy i ciężko usiadł na jednym z kuchennych taboretów, zrozumiał, że musi

zadzwoić na policję... i zaraz poczuł przemożny strach. Policja? Nie, nie może. Czy znajdą lepszego podejrzanego niż Senegalczyk? Był idealnym kozłem ofiarnym, po prostu podałby się im na tacy. Były kochanek. Morderca. Czarnuch. Przecież tutaj, w tym kraju tak odległym od jego rodzinnych stron, nikt nie wiedział nic o ich zwyczajach, mentalności, ludziach. Gdyby zadzwonił po gliniarzy, skończyłby w kajdankach, bo w ich oczach idealnie nadaje się na mordercę.

Musi stąd uciekać! Musi się pożegnać z Irką i uciekać stąd, gnać przed siebie, udawać, że nic nie wie, że wcale go tu nie było. Na dół zszedł jeszcze raz, żeby po raz ostatni na nią spojrzeć. Stojąc nad ciałem, zrozumiał, że to ją kochał, chociaż tak się bał oddać jej serce i spleść swoje zagmatwane losy z jej prostym, skromnym życiem. Ale na miłość było już za późno. Było za późno na wszystko.

- Żegnaj - powiedział, z trudem wymawiając to słowo, a po chwili zamknął za sobą frontowe drzwi.

W nocy nie mógł zasnąć. Leżał, bezsennie gapiąc się w sufit wynajętej zagrzybionej nory i myślał tylko o tym, że ona wciąż tam czeka. Czy jej dusza znalazła już ukojenie? Czy będzie miała do niego żal, że nie zadbał o nią ani za życia, ani po śmierci? Czy jeszcze kiedyś się spotkają?

O świcie wyszedł pobiegać, jednak lodowate powietrze szybko go zniechęciło. Wracając w stronę domu pustymi o tej porze ulicami, przypomniał sobie Amsterdam i połówkę ceglanego bliźniaka, którą wynajmowali we czterech razem ze znajomymi Francuzami. W tamtych czasach na tamtej

cichej ulicy był szczęśliwy, dopóki ktoś w akcie zemsty za prywatne porachunki nie wrobił go w posiadanie narkotyków. Musiał uciekać, i chociaż nigdy nie był karany, w pewien sposób uciekał do dziś. Przestał ufać ludziom, za bardzo się sparzył. Wiedział, do czego są zdolni, a tych, którzy tego nie rozumieli, miał za idiotów.

## 14

Paula oparła się o pień jednej z brzoź i zaciągnęła się dymem. Kwiecień wciąż pokazywał swoje najpaskudniejsze oblicze - był ósmy i tylko cztery stopnie na plusie. Starając się nie myśleć o chłodzie, podartych siatkowych rajstopach i zapadającym zmroku, cieszyła się błogą chwilą spokoju. Zbliżający się samochód zauważyła, dopiero kiedy ze zgaszonymi światłami wjechał na pobliską polanę. I do roboty, pomyślała z niechęcią, rzucając niedopałek w niewielką zaspę brudnego śniegu. Faceta, który wysiadł ze starego volvo, znała od dawna. Był to otyły i wiecznie zasapany robotnik rolny, który od czasu do czasu wpadał na obciążanie. Nigdy nie chciał się z nią pieprzyć, co uznawała za swój fart. Zawsze tylko szybki lodzik, jego pełen zawstydzenia wzrok i pośpieszne gmeranie w portfelu. Ostatnio zauważyła, że z samochodowego lusterka zwisa figurka świętego Krzysztofa, i niemal roześmiała mu się w twarz. Tak, katolicy byli dość pokaźną grupą wśród jej klientów... Uśmiechnęła się krzywo i podeszła do wozu. Klient wysiadł i jak zawsze nie patrząc jej w twarz, wymamrotał:

- Dobry wieczór.

- To co zawsze? - puściła mu oczko i wymownie oblizła pełne, przeciągnięte bladoróżową szminką usta.

Dawniej używała krwistej czerwieni, ale klienci skarżyli

się, że zostawia zbyt wyraźne plamy na ubraniach. Ubraniach, które później zapewne prały ich żony, kochanki i konkubiny, pomyślała ze złośliwą satysfakcją.

- Poproszę - odezwał się coraz bardziej zażenowany grubas.

Podeszła bliżej i bez żadnego wstępu sięgnęła do jego rozporka. Jeszcze nawet nie wyjęła jego fujary, a gość już zaczął jęczeć z wyrazem skrajnej błogości na nalanej gębie. Zanim uklękła, rzuciła na ściółkę zdjęty z szyi mechaty szal. Ostatnio coraz bardziej bolały ją kolana, może to choroba zawodowa? Z klientem poszło raz dwa. Szybki Jaś, jak go pogardliwie nazywała, wymamrotał jakieś podziękowania, wyjął z portfela kasę i ze spuszczoną głową wsiadł do samochodu.

Kiedy zapinał pasy, zastukała w szybę od strony kierowcy. Spojrzał na nią zdziwiony, a ona podciągnęła krótką skórzaną spódnicę i napała obleczone w siatkowe rajstopy podbrzuszem na samochodową szybę. Speszył się, poczerwieniał. Robiło się ciemnawo, ale nie na tyle, żeby nie dostrzegła zażenowania na jego twarzy.

- Błazen - syknęła, owijając szyję podniesionym z ziemi szalem.

Krótkie sztuczne futerko w kolorze wściekłego rózu nie dawało wiele ciepła i znowu rozdzwoniły jej się zęby. Max miał po nią podjechać koło dziewiętnastej, zimą zbierali dziewczyny wcześniej, żeby wystawić drugą turę - nieszczęsnice sterczące w lasku do północy, a w weekendy nawet dłużej. Ale dziś pracowała tylko do siódmej.

- Zimno. Kurwa, jaki ziąb - szepnęła, rozcierając ręce.

Siatkowe pończochy dawały tyle ciepła co nic, a w zamszowych botkach za kostkę niemiłosiernie zmarzły jej nogi. Ale i tak była grubo ubrana w porównaniu z młodziutką Ukrainką, która przechadzała się po lasku w cienkim czarnym trenczu i założonych na cieniutkie rajstopy... sandałkach.

- Oksana! Picza ci jeszcze nie odmarzła?! - krzyknęła, a dziewczyna pokazała jej środkowy palec.

Chwilę później stanęły przy jednym z drzew i dla rozgrzewki dopiły resztkę whisky z piersiówki, którą Paula zawsze upychała do torebki.

- Nie wytrzymam do dziewiętnastej - poskarżyła się Oksana jękliwym głosem.

- Wytrzymasz do tej, do której ci każą.

- Nie chciałabyś stąd uciec? Teraz nas przecież nie pilnują.

- I dokąd pójdę? Z czterdziestką na karku, bez oszczędności i z pierdolonym hifem? U Zielarza mam przynajmniej leki.

- Pomagają?

- Bo ja wiem? - Paula wzruszyła ramionami.

Milczały przez chwilę, aż nagle Oksana z tym swoim tęsknym zaśpiewem wyznała:

- W domu myślą, że pracuję w hotelu. Że pokojówką jestem, im napisałam, bo gdyby wiedzieli... Tacie pękłoby pewnie serce, a babcia...

- Żadnych wyrzutów, jeśli mogę ci coś doradzić. Nie wybrałaś sobie takiego życia, to się nie dołuj. - Paula znów

wzruszyła ramionami.

- Jak cię zwerbowali? - zapytała młodziutka Ukrainka.

- W knajpie, kilka lat temu. Jakiś typ postawił mi drinka, powiedział, że jest robota. Miałam wtedy długi, opieka społeczna zabrała mi dziecko, nie chciało mi się żyć. Najpierw było w miarę kulturalnie. Nocny klub należący do Zielarza, później prywatna posesja, w której urządził dyskretne spotkania dla nadzianych biznesmenów. No ale w końcu się zużyłam, jak to ujął, i rzucił mnie tu, do lasku.

- Zużyłaś się? - Oksana zrobiła pełną niedowierzania minę. Paula parsknęła śmiechem.

- Niby co, nie widać? Stara dupa już jestem, przechodzona, jak mawiają niektórzy. Trzydzieści osiem lat, hif, brak zęba z boku. Teraz w klubach pracują nawet piętnastki na lewych dowodach. Jak mam z nimi konkurować?

- A ja? Czemu jestem tu, skoro mam dopiero dwadzieścia lat? - zdziwiła się Oksana. - Czemu ten zaśmiecony lasek zamiast ciepłego klubu?

- Przez te zęby - palnęła jej Paula prosto między oczy. - Twój zgryz... Sorry, nie chciałam cię urazić, ale wygląd wiewióry w tym fachu nie pomaga.

- Dzięki za szczerość. - Oksana naburmuszyła się.

Paula ją objęła.

- Tu masz o wiele miłszych klientów niż w klubach, uwierz mi. Nawet sobie nie wyobrażasz, co potrafi z dziewczyną zrobić naćpany koką gnojek. Kiedyś dopadli mnie we czterech i... Kurwa, znowu ktoś jedzie. - Poprawiła kręcone ciemne włosy, wyjęła z ust gumę i stanęła z ręką na biodrze,



patrząc w stronę wozu.

Dupek z bmw, pomyślała z niechęcią. Gorsci byli chyba tylko ci smarkacze ze sportowych wozów kupionych przez tatusiów. Zawsze aroganccy, zaczepni, wulgarni. Ale może dziś będzie inaczej? – pocieszyła się w duchu.

- Co tam, dziewczynki? – Facet, który wysiadł ze szpanerskiego wozu, miał na oko czterdziestkę i grubą złotą obrączkę na palcu. – Można na słówko? – zwrócił się do Pauli po tym, jak zmierzył wzrokiem Oksanę i najwyraźniej nie spodobało mu się to, co widzi.

- Na słówko zawsze. – Paula posłała mu najbardziej promienny uśmiech, na jaki było ją stać, i podeszła do klienta. – Co lubisz robić kobiecie, kotku?

- Wszystko – zarechotał. – Gliny tu nie zajrzą? – rozejrzał się, jednak zapadająca ciemność i odległy szum jadących szosą aut dodały mu odwagi. – Ładniutka jesteś, tylko futerko po co? Jest szansa, że je zdejmiesz i pokażesz cycuszki?

- Za zimno – syknęła Paula, nagle mając gdzieś to, że powinna być miła.

Złapał ją za włosy i pchnął na maskę bmw.

- Chciałem być grzeczniutki, ale widzę, że jesteś oporna, co, kochanie? – warknął, podwijając jej spódnice.

Oparła się na łokciach, na policzku czuła lodowaty chłód maski wozu. Zsunął z niej rajstopy razem z majtkami i wbił się w nią, odchylając jej głowę do tyłu tak mocno, że rozboleła ją kark. Jęknęła.

- Dobrze ci, suko? – wysapał gdzieś przy jej uchu, które

chwilę później ugryzł.

Od ukąszenia poczuła pieczenie i pomyślała o śmiercionośnym wirusie, który w niej się rozpanoszył. Gdyby facet był miłszy, zasugerowałaby gumkę, może nawet wyjęłaby z torebki własne durexy i założyła mu na fiuta? Ale on nie był miły, a jej nagle przestało być żal całego tego pieprzonego świata, który od lat miał ją za zwykłą szmatę. Z racji zawodu i tego, kim się stała, była przecież nikim. Gdyby gdzieś w supermarkecie natknęła się na jego żonę, tamta z całą pewnością spojrzałaby na nią z odrazą. Kurestwo nosi się na twarzy – usłyszała kiedyś od kogoś, i chociaż wtedy bardzo ją to zabolowało, w końcu zrozumiała, że taka była prawda. Może właśnie dlatego przestała się przejmować innymi? W końcu to nie jej wina, że jakąś kobietę mąż może zarazić hifem. Trzeba pilnować kurwiarzy, skoro już się z nimi dzieli łóżko, pomyślała mściwie.

Klient sapnął i jeszcze mocniej odchylił jej głowę w tył. Lekko nią szarpnęła, co tylko go rozochociło.

- Wierzgasz? – warknął, suwając coraz mocniej, brutalniej.

Kiedy skończył, klepnął ją w pośladek i splunął na ziemię tuż obok jej buta.

- Dzięki, skarbie. Miło było.

- Zawsze do usług – wycedziła, opuszczając spódnicę.

Kiedy odjechał, przetarła się w kroczu wyjętą z torebki chusteczką do higieny intymnej i cisnęła ją w pełną śmieci i zużytych prezerwatyw ściółkę.

- Chcesz? – Oksana podeszła do niej i poczęstowała ją zbożowymi ciastkami.

- Daj. - Paula wzięła herbatnika i usiadła na jednym z pni.
- Zimno mi - poskarżyła się Ukrainka.
- Zimno jest twoim najmniejszym problemem. Ilu koleś dzisiaj obsłużyłaś?
- Jednego...
- Sama widzisz. Za jednego dostanie ci się od Maksa, przecież wiesz. Zrób coś. Idź na szosę, zwab tu kogoś, działaj!
- Ja nie potrafię. - Dziewczyna była bliska płaczu. Pauli zrobiło się jej żal.
- Masz! - wcisnęła jej w rękę trzy stówki. - No bierz, żeby cię Max nie zajebał na widok twojego utargu. Następnym razem ty będziesz miała lepszy dzień i pomożesz mnie.
- Nie mogę...
- Bierz! - Paula wcisnęła jej banknoty w dłoń i spojrzała w kierunku szosy. - Dawniej bywało ich więcej, ale odkąd niedaleko rozłożyły się Rumunki, jest kiepsko.
- I tak ich dużo, za dużo. Mają obrączki, foteliki dziecięce na tylnych siedzeniach, widziałaś?
- Nie nasza sprawa, świata nie zmienisz. - Paula wzruszyła ramionami i dojadła zbożowe ciastko.
- Myślisz czasem, co dalej? - zapytała ją Oksana.
- A co ma być?
- W sensie z twoim życiem.
- Życia mi to mi już pewnie niewiele zostało. Stale choruję, kaszlę, słaba jestem.
- Nie mów tak! Nie poddawaj się.
- Dziecinko, to nie jest kwestia mojego wyboru. - Paula

roześmiała się gorzko i wyjęła z uszu duże posrebrzane kolczyki. - Na cholere się stroić, skoro ciemno tu choć oko wykol - mruknęła.

Do dziewiętnastej rozmawiały, siedząc na zmurszałym pniu. Nie pojawił się już żaden klient, skończyła się też whisky.

Max podjechał po nie grubo spóźniony, dochodziła dwudziesta, kiedy na wiodącej na polankę drodze pojawiła się jego terenówka.

- Sorry, panienki. Miałem parę spraw do ogarnięcia - rzucił, kiedy dzwoniąc zębami z zimna, wsiadły do jego wozu.

- Jak tam robota? Macie dla mnie parę banknotów?

- Mamy - zapewniła go Paula.

- To lubię - mruknął, zawracając na wąskiej polnej drodze.

- Paula, jutro będę miał do ciebie biznes. Powiedzmy koło południa.

- Koło południa śpię.

- No więc jutro nie będziesz spała.

- To kiedy mam spać?! Kładę się późno, a rano jestem nie do życia.

- To połóż się wcześniej. To dobrze robi na cerę - mruknął do jej odbicia we wstecznym lusterku i dodał, że Zielarz rusza z nowym pomysłem.

- Niby z czym? W biały dzień? - zdziwiła się Paula.

Oksana siedziała w milczeniu, nie wtrącając się w dyskusję. Była nowa i nie chciała w żaden sposób podpaść. Zresztą tych dwoje kompletnie ją ignorowało - Paula wiele razy skarżyła jej się na Maksa, ale wygląda na to, że nieźle

się z nim dogaduje, pomyślała Ukrainka.

- Pokręcisz się przed gimnazjum, zahaczysz o liceum, rozdasz trochę towaru. Zielarz rzuca na rynek nowy produkt, celuje w dzieciaki.

- Dopalacze? - zapytała Paula, przyglądając się nadłamanemu paznokciowi.

- Owszem.

- Dzieciom mam rozdawać? - syknęła. - Szczyłom z gimnazjum? Odjebało wam?

- Kasa to kasa. Gnojki będą miały parę odlotów, a my zarobimy.

- Dzieciaki po tym syfie umierają, Internetu nie masz czy jak?

- Nikt nie umrze, okay? Towar jest pierwsza klasa, sami tworzymy receptury, a Zielarz testuje na sobie.

- Zielarz to stary, przepity ćpun! Dwunasto- i trzynastoletnie dzieciaki to trochę inna sprawa, nie sądzisz?! - Paula podniosła głos.

Max gwałtownie zahamował, zatrzymując się na pustej drodze wiodącej w stronę portu.

- Nie zapominaj, kim jesteś, okay?! Może i mam do ciebie słabość, ale nie przeginaj - warknął, wychylając się do tyłu, gdzie siedziały.

- Mówię tylko, że to się źle skończy - powiedziała cicho.

- To już nie twój problem. Jutro ubierzesz się normalnie, łapiesz? Żadnych dziwkarskich ciuchów, masz wyglądać jak jedna z mamusiek - pouczył ją.

Pomyślała o synu. Niedawno skończył jedenaście lat, a ona

nie widziała go od dwóch i pół roku, odkąd matka kazała jej wypierdalać i więcej się nie pokazywać. Jacuś. Jej cudowny chłopczyk. Zabrali jej go, nie radziła sobie. A teraz żyła w tym ponurym złym świecie, starając się przetrwać każdy dzień z myślą, że może jeszcze kiedyś zobaczy synka.

- Dobra, wysiadać. Jutro podjeżdżam po ciebie koło południa - przypomniał Pauli.

- Dopalacze? - szepnęła Oksana, kiedy Paula szukała kluczy do domu, w którym ulokował je Zielarz.

Mieszkały w dziewiątkę. Cztery dziewczyny w mniejszym pokoju, pięć w nieco większym. Dwa pozostałe pokoje były zamknięte na klucz, nie wolno im było tam wchodzić. Do tego spartańskie warunki, grzyb na ścianie w łazience, polowe łóżka w pokojach, jedna wspólna szafa na każde pomieszczenie i ślepa wnęka, w której miały do dyspozycji czajnik, niewielką lodówkę i rozchybotany turystyczny stolik z dwoma plastikowymi krzesłami. Pralki nie było, wolne żarty. Ciuchy prały we wspólnej różowej misce, a rozwieszały na umocowanym tuż pod sufitem sznurku. O sznur zawsze wybuchały kłótnie - nigdy nie było na nim miejsca i damskie fatałaszki suszyły się na przerdzewiałych grzejnikach, parapetach, a nawet klamkach.

- Cześć! - krzyknęła Paula, kiedy weszły do domu.

- Hej - opowiedziała jej Ulka, która właśnie wychodziła z łazienki.

- Gadałaś dzisiaj z Makssem? - zapytała ją Paula.

- Nie, bo co?

- Nie wiesz o dopalaczach?

- A co mam wiedzieć? Ja tego gówna nie kupuję.
- Nie chodzi o ciebie, Ulka. Zielarz chce to sprzedawać pod szkołami.
- Chce, niech sprzedaje - wzruszyła ramionami Urszula.
- Jaja sobie robisz?! Mówimy o dzieciakach! - syknęła Paula.
- I?
- I nie rusza cię to? Serio? Nic a nic?
- Sorry, ale jakoś nie. - Ulka przystanęła przed dużym ściennym lustrem i wciągnęła brzuch, przyglądając się swojemu odbiciu. - Przytyłam czy mi się wydaje?
- Wydaje ci się, jak zawsze - mruknęła Paula.
- A Maksowi się nie stawiaj, bo zatruje ci życie i będziesz miała naprawdę przejebane. Wiesz, że to mściwy i wredny chujek, nie? - przestrzegła ją Ulka.
- Wiem - przyznała Paula i chociaż czuła się jak ostatnia szmata, dzień później, ubrana w grzeczną beżową kurtkę, dzinsy i botki na płaskim obcasie, sprzedała kilkanaście próbek ziołowych pobudzaczy, „max odlotów”, jak nazywał je Max.

W godzinę upłynęła wszystko, co miała, potem z nową porcją przeniosła się pod liceum, gdzie poszło jej równie dobrze. Najbardziej zszokowało ją to, jak chętnie dzieciaki wyciągały ręce po zupełnie im nieznane substancje o tajemniczym składzie. Brali wszyscy - zainteresowane były zarówno pucułowate dziewczęta w kraciastych spódniczkach, jak i pryszczaci chłopcy, więc kilkanaście torebek z próbkami nowego „suplementu” zeszło jak świeże

bułeczki. Obserwowała, jak dzieciaki wyjmują z różowych portfeli banknoty bądź pożyczają kasę od kolegów z klasy, chcąc spróbować czegoś zakazanego, a ona wręczała im sproszkowane bilety do piekła, nie potrafiąc żadnemu z nich spojrzeć prosto w oczy...

Wracając w stronę domu, modliła się, żeby syf, który właśnie sprzedała, był jakimś nieszkodliwym gównem, ale przecież wiedziała, że to musi być coś o wiele gorszego.

Wieczorem wręczyła Maksowi utarg, na widok którego mlasnął z uznaniem.

- Mówiłem, że będzie hit - rzucił, chowając zwinięte w rulon setki do kieszeni. - Laura się pochorowała, jutro zastąpisz ją w klubie - dodał, wysadzając ją na polanie.

- To awans? - zapytała kąśliwym tonem.

- Dobrze wiesz, że tylko chwilowy - powiedział.

Kiedy wysiadła z jego terenówki i przyświecając sobie latarką z telefonu, podeszła do pniaka, na którym lubiła siadać w oczekiwaniu na samochodziarzy, jak nazywała swoich klientów, pomyślała, że wszyscy, którzy ostatnio ją otaczali, byli jak drapieżne nocne zwierzęta. Żerowali, kiedy inni szli spać. Zarabiali na ludzkiej naiwności, samotności, ciekawości i strachu. Dziwki, alfonsi, dilerzy - wszyscy siebie warci. Ona też upadła tak nisko, że pewnie nigdy się już nie podniesie. Kiedyś miała marzenia. Dzisiaj ma tylko nocne koszmary.



## 15

W pubie Kapitan trwał wieczór bluesowy. Klara wspięła się na wysokie krzesło przy barze i zamówiła whisky z colą.

- Możemy pogadać? - zapytała rudą barmankę z wytatuowaną na przedramieniu morską syreną.

- Zależy o czym - mruknęła dziewczyna, wycierając bar.

- O kim - sprecyzowała Klara.

- Więc zależy o kim. - Barmanka potrząsnęła splecionymi w warkoczyki włosami i postawiła na kontuarze szklanę, do której naląła whisky.

Colę podała osobno i dorzuciła mały biały talerzyk z plasterkiem cytryny.

- Chcę pogadać o Krzyśku Bugaju. - Klara złapała ją za nadgarstek, ale wyrwała rękę.

- Nie plotkuję o zmarłych. Poza tym, sorry, nie mam pojęcia, kim jesteś.

- To nieważne, kim jestem. Chcę...

- Wybacz, ze mnie niczego nie wyciągniesz - weszła jej w słowo ruda, po czym demonstracyjnie ją ignorując, przeszła na drugi kraniec baru.

Klara wypiła whisky i samotnie tkwiąc przy barowym kontuarze, rozejrzała się po knajpie, ale nie dostrzegła żadnych znajomych twarzy. Drugiego drinka również wypiła samotnie, zasłuchana w zmysłowy głęboki głos Niny Simone.

*It's a new dawn*

*It's a new day*

*It's a new life*

*For me...*

Nuciła w głowie jeden ze swoich ulubionych kawałków, zasłuchana w muzykę, obojętna na otaczające ją otoczenie. Dopiero kiedy zauważyła wchodzącego do Kapitana ciemnowłosego mężczyznę, zastygła z wyrazem skrajnego zdziwienia na twarzy. Nie wyglądał na stałego bywalca takich miejsc, a jednak tu był – przystojny gliniarz o egzotycznej urodzie.

Usiadł obok niej, dzieliło ich tylko jedno puste barowe krzesło. Chciała coś powiedzieć, posłać mu uśmiech, zagadnąć, ale nie zwracał na nią uwagi. Zsunęła się więc z krzesła i poszła do łazienki.

W toalecie przeraźliwie cuchnęło moczem, a postrzępione kawałki walającego się papieru zahaczyły o obcas jej nowego zamszowego kozaczka.

- Kurwa mać – szepnęła, opierając się o umywalkę.

Z lustra patrzyła na nią wymięta twarz młodej, chociaż zmęczonej życiem kobiety. Wyjęła z torebki szczotkę i przeczesała włosy, spinając je w wysoki kucyk. Pieprzyć atrakcyjny wygląd i całą resztę, pomyślała. Kiedy wróciła na salę, ciemnooki przystojniaczek posłał jej krzywy uśmiech i spojrzał na jej nogi.

- Coś za sobą ciągniesz – zauważył.

Zdała sobie sprawę, że zapomniała o tym cholernym toaletowym papierze zahaczonym o obcas.

- Zapewne bagaż przeszłości – zażartowała.

Uśmiechnął się, tym razem szczerze, i poniósł szklankę w niemym toaście, ale kiedy usiadła obok, nie dodał nic więcej i kompletnie przestał zwracać na nią uwagę. Speszyło ją to i zasmuciło. Zawsze przecież podobała się facetom, czemu więc akurat ten, którego sobie upatrzyła, nawet nie udawał, że się nią interesuje? Zamyśliła się, wyciskając plastikową słomką resztkę soku ze zmaltretowanej, leżącej na dnie szklanki cytryny.

- Pijąc ze słomką, zabijasz zwierzęta - odezwała się do niej barmanka.

- Co? - zapytała wyrwana z zadumy Klara.

- Nawet do stu tysięcy rocznie zwierząt żyjących w morzach i oceanach dusi się plastikiem - dodała.

Klara zamarła z trzymaną w dłoni szklanką, wreszcie spytała:

- To może powinniście je wycofać?

- Mnie to mówisz? Gdyby ode mnie zależało, to owszem, ale właściciel tej budy ma w dupie ekologię. Musiałby zacząć sam się tym szajsem dusić, żeby cokolwiek do niego dotarło.

- Barmanka zabrała jej szklankę i ruszyła w stronę drugiego krańca baru, z którego przywołał ją rosły brodacz w pasiastym swetrze.

- Jakby naszej nieszczęsnej planecie cokolwiek mogło jeszcze pomóc - mruknął ciemnooki gliniarz, rzucając na barowy kontuar zmiętą dwudziestkę. - Dobrej nocy - dodał, wymijając Klarę.

- Do widzenia - odpowiedziała, ale chyba jej nie słyszał.

- Znasz tego kolesia, który tu siedział? - zapytała

barmankę, która znowu przydryfowała w jej rejony.

- A co? Wpadł ci w oko?

- Powiedzmy - mruknęła Klara z krzywym uśmiechem.

- To gliniarz, nowy w miasteczku. Brak obrączki, ciemnoszafirowe subaru, wynajęte mieszkanie na Klonowej. Gdybyś miała na niego chrapkę, to lepiej się pośpiesz, bo miejscowe panny już przebierają nóżkami na jego widok.

- Zapamiętam. - Zapłaciła i zostawiła wysoki napiwek.

- Chojna jesteś. Wpadaj częściej - mruknęła do niej barmanka.

- Jasne, będę zaglądać.

W drzwiach się zawahała i po chwili wróciła do kontuaru.

- Szybko wróciłaś - uśmiechnęła się barmanka. - Jeszcze jedna kolejka?

- Nie. Chciałam tylko o coś zapytać.

- Byle nie o Bugaja.

- Nie, nie o niego.

- Dobra, podejście drugie. Chcesz wiedzieć jak się nazywa ciemnooki przystojniaczek?

- Trafiłaś.

- A co będę z tego miała?

- Kolejny napiwek. - Klara sięgnęła po portmonetkę i wyjęła pięćdziesiąt złotych.

- Pięć dych? Tanio go wyceniasz, ale niech ci będzie. - Barmanka wzięła banknot i pochyliła się nad kontuarem. - Koleś to aspirant Jeremi Jaromirski. Zapisz sobie, bo jeśli zapomnisz, będziesz musiała zostawić kolejny napiwek. - Mruknęła do Klary i bez słowa pożegnania odwróciła się do

niej plecami.

- Zapamiętam - mruknęła pod nosem Klara.

Kiedy dotarła do Mewy, pani Alina kręciła się po korytarzu tuż przy wejściu.

- Dobry wieczór - powiedziała Klara, mając nadzieję, że właścicielka pensjonatu nie będzie jej chciała wciągnąć w dyskusję.

Ale stara była wyraźnie w towarzyskim nastroju, bo zaproponowała kieliszeczek domowej nalewki i zaciągnęła ją do saloniku dla gości.

- W sumie to od dawna chciałam zapytać, co właściwie pani tu robi? - rzuciła, kiedy usiadły na starej sfatygowanej kanapie z przepalonym papierosami kwiecistym obiciem.

- Mieszkam - rzuciła Klara lekkim tonem.

- Nie o to pytam, dobrze pani wie.

- Okay, może szukam informacji.

- O, a o czym? - zainteresowała się pani Alina.

- Bardziej o kim.

- O Bugaju może? Bo znaliście się przecież, była tu pani tamtej nocy, kiedy wybuchł pożar.

- Może i o Bugaju. A wie pani coś, czego mogę jeszcze nie wiedzieć?

- Niby co? Porządny chłopak był, ludzie go lubili. Uczciwy, życzliwy, zaradny. Tylko kobiet jakoś uszczęśliwić nie umiał, chociaż lubił je, oj lubił...

- Podejrzewa pani, czemu go zabili?

- A skąd niby ja mam to wiedzieć? - Pani Alina wyglądała na przerażoną. - Nie ja przecież! - obruszyła się. - Pójdę już

- dodała po chwili, dając jasny sygnał, że rozmowa jest skończona.

Jestem beznadziejna, pomyślała Klara, kiedy zamknęła za sobą drzwi od swojego pokoju i zdjęła kozaki. Nie mam sprytu? A może podejścia do ludzi? Tak czy inaczej, marzył mi się dobry, mocny materiał, a tkwię w miejscu, błakając się po omacku...

Zdejmując sweter, pomyślała, że powinna dać sobie spokój z mrzonkami i wrócić do Szczecina, gdzie przynajmniej miewała jakieś dorywcze prace, a od czasu do czasu nagrania dla stacji, w której pracowała. Tutaj traciła tylko czas. Łudziła się, że czegoś się dowie, ale nikt nie chciał z nią rozmawiać. Nie miała układow w policji, znajomości w prokuraturze ani w kostnicy, a bez tego niczego nie wskóra, dobrze o tym wiedziała. I chociaż tego wieczoru porządnie zmarzła, gdy pieszo wracała z pubu, założyła płaszcz i wyszła na krótki spacer po miasteczku.

Kiedy wróciła do Mewy, wzięła długi gorący prysznic i włączyła laptopa. A później weszła na Facebooka i wrzuciła w wyszukiwarke imię i nazwisko ciemnookiego gliniarza. Właściwy profil znalazła od razu, ale to by było na tyle. Jaromirski dbał o prywatność, nie używał ustawień „publiczne”. Musiałaby być jego znajomą, żeby zobaczyć zdjęcia i czegokolwiek się o nim dowiedzieć. Na profilowym stał na tle morza, oczy zasłaniały mu ciemne okulary i z trudem dało się go rozpoznać. W tle miał bieszczadzki krajobraz, pod którym widniało kilka lajków, i było to jedyne publicznie dostępne zdjęcie z jego profilu.

- Cholera! - ze złością zatrzęsnęła klawiszami od laptopa.

Niemal każdy z jej znajomych wrzucał na fejsa wszystko, od zdjęć śniadań, obiadów i kolacji, aż po fotki z zagranicznych wakacji, długich weekendów i nowych nabytków, ale koleś, o którym tak bardzo chciałyby się czegoś dowiedzieć, zadbał o to, żeby po jego wirtualnej wizytówce nie wałęsał się nikt obcy.

## 16

Komórka odezwała się o piątej czterdzieści nad ranem. Zostawiona na nocnej szafce, zaczęła wibrować, przesuając się po drewnianym blacie, aż w końcu wyrwana ze snu Małgorzata pochyliła się nad śpiącym Wojciechem i sięgnęła po jego telefon.

- Wojtek, ktoś dzwoni. - Szarpnęła Kiciusia za ramię.

- Kurwa, która godzina? - wymamrotał z twarzą wtuloną w poduszkę.

- Nie wiem, odbierz - Małgosia wcisnęła mu do ręki telefon i z powrotem zakopała się w pościeli, po sam czubek głowy nakrywając się kołdrą.

Wojciech usiadł na łóżku i tłumiąc ziewanie, rzucił do słuchawki krótkie „co tam?”.

Dzwoniła Hanka Piasecka, nie miała dobrych wieści.

- Zbierz tu dupę, jeden z naszych nie żyje - usłyszał.

Te słowa momentalnie go dobudziły.

- Co ty gadasz? Kto? - zapytał cicho.

- Jurek Pietruszka.

- Jurek? Ale co się...

- Wojtek, nie mogę rozmawiać. Przyjedź na przystań rybacką, tylko szybko. Oziębłowicz z wściekłości toczy pianę i ogólnie jest tu dość nerwowa atmosfera. - Rozłączyła się.

- Kurwa - zaklął Kiciński.

- Co się stało? - zapytała, bosą i lodowatą stopą trącając



jego łydkę.

- Pietruszka nie żyje. I włóż skarpety, bo znowu złapiesz katar. - Odrzucił na bok kołdrę, pogłaskał Gośkę po nodze i poczłapał w stronę drzwi.

- Jurek nie żyje? Ale co się stało?! Przecież jeszcze dwa dni temu...

- Gośka, wiem tyle co ty! - warknął podenerwowany Kiciuś, wkładając do kontaktu ładowarkę. - Zaraz muszę tam jechać, później pogadamy. - Wstając, syknął z bólu.

- Znowu plecy?

- Jakbyś zgadła...

- Musisz w końcu znaleźć czas na rehabilitację.

- Nic mi nie jest, nie przesadzaj. Wieczorem zrobisz mi okład z młodych piersi i wszystko mi przejdzie - mruknął, wyjmując z komody skarpetki dla siebie i dla niej. - Włóż. Masz lodowate stopy, którymi w dodatku usiłowałaś mnie molestować.

- Chciałbyś - skwitowała rozbawionym tonem. - A piersi już nie takie młode...

- Jeszcze się nadadzą - rzucił Kiciuś, w pośpiechu zdejmując górę od piżamy. - Nie mogę uwierzyć, że Jerzy nie żyje. Mam wrażenie, że to jakiś ponury żart.

- Oby - szepnęła Gosia.

- Śpij, kocie. Możesz jeszcze spokojnie złapać ze dwie godziny snu - podszedł do łóżka, pocałował swoją dziewczynę w wystający spod pierzyny czubek głowy i wyszedł z pokoju.

- Uważaj na siebie. - Mył zęby, kiedy Małgosia objęła go od

tyłu i wtuliła się w jego plecy.

- Jednak wstałaś? - wymamrotał ze szczoteczką w ustach.

- Muszę siku. - Objęła go jeszcze ciaśniej.

- Puść, kobieto, śpieszę się.

- Jak myślisz, co się stało? Najpierw Bugaj, teraz Jerzyk...

- Nie wiem, co się stało. Puść, też muszę się odlać. - Cisnął szczoteczkę do szklanki i podszedł do sedesu.

- Ja pierwsza! - zaprotestowała, ale był szybszy.

- Chciałabyś - mruknął, podnosząc klapę toalety.

- Świnia! - Małgorzata klepnęła go w pośladek i przysiadła na wannie. - Masz czasem wrażenie, że kompletnie nie panujesz nad własnym życiem? Jakby ten wszechobecny chaos wciągał nas coraz głębiej, porywał...

- Nie wiem, czy jestem w nastroju na filozoficzne dyskusje

- mruknął Wojciech, zanim wcisnął spłuczkę.

Gośka pojawiła się w kuchni kilka minut później, kiedy samotnie pił kawę, i powiedziała:

- Zrobię ci kanapkę.

- Po co? Żebym miał czym rzygać? - zachnął się Wojciech.

- Okay, zostawiam cię w spokoju. - Wreszcie zrozumiała, że w takich chwilach należy odpuścić, i wróciła do łóżka.

Zakładając dzinsy, Kiciński pomyślał o Bugaju. Gdyby żył, pewnie właśnie teraz któryś z nich wybrałby numer kumpla, żeby pogadać. Ale Krzysiek nie żyje...

- Kurwa mać - szepnął, zdając sobie sprawę, że ma w oczach łzy.

Zakładał sweter, kiedy ponownie rozdzwoniła się komórka. Zignorował telefon, złapał za kurtkę i wybiegł przed dom.

Poranek był mglisty i nieprzyjemnie chłodny; wilgoć dosłownie się w człowieka wczepiała.

Wsiadając do samochodu, poczuł nieprzyjemny ssący głód, ale wiedział, że i tak niczego by w tej chwili nie przełknął. W aucie frywolny nastrój, jaki na moment ogarnął ich w łazience, bezpowrotnie minął. Teraz, w samotności, czuł się naprawdę podle. Dokoła niego umierali znajomi, a on mógł tylko beczynnie się przyglądać temu, co się dzieje...

Był w okolicach portu, kiedy z ciągnącego się wzdłuż drogi lasu wybiegł imponująco duży dzik i przebiegł tuż przed maską jego toyoty, o włos unikając potrącenia.

- Coś, kurwa, jeszcze?! - przestraszony i zaskoczony Kicius wcisnął klakson, po czym w bezsilnej złości walnął pięścią w deskę rozdzielczą i zlustrował wzrokiem pobocze.

Zwierzęta największą aktywność wykazywały o świcie i o zmierzchu, stanowiąc nie lada zagrożenie dla kierowców. Świetnie pamiętał tragiczny wypadek, do którego doszło, kiedy był nastoletnim szczyłem - po zderzeniu z dzikiem zginął ojciec jego szkolnego kolegi.

- Dobrze gadają, że nie znasz, człowieku, dnia i godziny - mruknął pod nosem, zwalniając do minimum.

Do przystani rybackiej dotarł w niecałe pięć minut. Parkując, zauważył należące do Jeremiego Jaromirskiego ciemnoszafirowe subaru i poczuł dziwne poirytowanie na myśl, że nowy dotarł na miejsce wcześniej niż on. Tuż obok stał czarny volkswagen Jurka Pietruszki, i na ten widok Wojciechowi zrobiło się cholernie smutno. Razem to auto wybierali, kilka miesięcy wcześniej pojechał z kumplem na

giełdę, żeby mu doradzić w sprawie ewentualnego kupna. A teraz samochód tkwił na nabrzeżu – milcząca, obojętna kupa złomu, nieświadoma dramatu swojego właściciela.

Gdy szedł wilgotnym piachem, przyświecając sobie latarką, ktoś klepnął go w ramię.

– Cześć, Wojtuś.

– Hej, kopa lat – mruknął, kiedy zdał sobie sprawę, że zaczepił go policyjny fotograf.

Nina Morawska przyjechała chwilę później. Wyglądała na nieprzytomną z niewyspania, w rękę trzymała niewielki termos, a obcięte na krótko włosy schowała pod śmieszoną wełnianą czapkę z dwoma futrzanymi pomponami.

– Pani prokurator już na nóżkach? – rzucił jeden z gliniarzy i parę osób zarechotało.

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej nikt nie pozwoliłby sobie na taki tekst pod adresem Morawskiej, noszącej zresztą przezwisko Smoczyca, ale nieco złagodniała w ich oczach, polubili ją.

Kiciński posłał jej blady uśmiech i ruszył przez plażę. Mokry piach oblepiał mu buty i szybko pożałował, że założył nowe mokasyny. Jakby to teraz było najważniejsze... Skrzywił się, zażenowany płytkością własnych myśli, i stanął kilka metrów od jednej z łodzi.

Bezdyskusyjnie martwy sierżant Jerzy Pietruszka siedział oparty plecami o żółtozielony rybacki kuter. Połowa jego twarzy zmieniła się w krwawą miazgę, kadłub łodzi zdobyły rozbryzgi krwi i fragmenty kości. Wojciech przelotnie pomyślał o serialowym Dexterze, zmrużył oczy przed ostrym

światłem oświetlającego miejsce reflektora i podszedł nieco bliżej. Przy okazji przypomniał sobie starą sprawę lokalnego biznesmena. Zadłużony po uszy mężczyzna z problemami osobistymi zabił się na progu domu byłej żony, a strzał w usta dosłownie urwał mu głowę. Widok był tak straszny, że nawet prokurator – stary doświadczony wyjadacz – pobiegł w krzaki rzygać. Pietruszka musiał przyłożyć sobie broń z boku głowy, jednak ostateczny skutek był ten sam – śmierć.

- Nie wszyscy naraz, do kurwy nędzy! – warknął Marian Oziębłowicz, posyłając mu złe spojrzenie.

- Dostałem telefon, to jestem – bronił się Kiciuś.

- Odsuń się, nie wkurwiał go. – Hanna pociągnęła go za rękaw i zapytała, czy napije się kawy.

- Ty też masz termos? I może jeszcze ciasteczka? Czy wszyscy zdążyli zrobić wałówkę na ten piknik? – warknął Kiciński.

- Kiciuś, zluźnij pośladki. Wiem, że sytuacja jest parszywa, ale to nie moja wina, że Pietruszka odstrzelił sobie pół twarzy. – Odsunęła się w bok, żeby zrobić miejsce kręcącym się wokół kutra technikom, i dodała, że wszyscy są w szoku.

- Myślisz, że to samobójstwo? – zapytał Wojciech, strzepując z czubka mokasyna grudę mokrego piasku.

- Póki co, wszystko na to wskazuje, ale wiesz przecież, że za wcześnie na takie wnioski – odparła Hanna. – Chodź, posiedzimy w moim wozie. Na razie nic tu po nas. – Podzwaniając kluczykami, ruszyła w stronę swojego auta.

- Przecież on niedawno się ożenił – w zadumie powiedział idący obok niej Kiciuś.

- Półtora roku temu. Jedno z lepszych wesel, na jakich byłam...

- Właśnie. Firma budowlana teścia postawiła mu dom, żonkę miał pierwsza klasa, udane życie... - podrapał się po głowie i wszedł na drewniany pomost prowadzący w stronę nabrzeża.

- Czasem pozory mylą. Pracujesz w policji, Kiciuś, powinieneś to wiedzieć. - Kiedy wsiedli, Hanna sięgnęła pod siedzenie, wyjęła termos i nalała Wojtkowi kawy. - Masz, ja już piłam.

- Też już piłem. - Jednak upił kilka łyków przyjemnie ciepłego napoju chociażby po to, żeby się rozgrzać. - Dwa dni temu z nim gadaliśmy. Wpadliśmy na siebie na nabrzeżu. Spacerowałem z moją Goską, on jechał na rowerze.

- Co nie zmienia faktu, że dziś w nocy strzelił sobie w łeb ze służbowej broni...

Po jej głosie poznał, że nadal jest wstrząśnięta i bliska płaczu, ale nie sądził, żeby się miała rozkleić. W jego obecności mogłaby jeszcze okazać emocje, ale przy kręcących się nieopodal kolegach? W życiu! Na to była za twarda.

Przez jakiś czas siedzieli w ciężkim milczeniu, które niemal ich oblepiało, każde zatopione we własnych myślach. Hanka oparła głowę o zagłówek i przymknęła oczy, a Wojciech, starając się nie myśleć o nasilającym się bólu pleców, skubał skórkę wokół kciuka i analizował ostatnie rozmowy z Jurkiem Pietruszką, jednak nie doszukał się żadnych niepokojących oznak.

- Cholera, co w niego wstąpiło? Nic nie wskazywało na to, żeby miał jakieś problemy - powiedział, kiedy o dach samochodu zaczął bębnić ulewny deszcz.

- Znowu pada - szepnęła. - Dobija mnie ta pogoda.

- Kto go znalazł? - zapytał Kiciński, nie komentując jej uwagi o paskudnej aurze.

- Jakiś facet z psem. Nowy w miasteczku, mieszka na tym snobistycznym osiedlu z widokiem na morze.

- Co tu robił o tej porze?

- No mówię ci, z psem wyszedł.

- O takiej dzikiej porze? Że też ludzie nie potrafią dupy w łózkach utrzymać przynajmniej do siódmej rano - mruknął Kiciuś, oddając jej kubek po kawie.

- Przypomniało mi się jedno z powiedzonek Bugaja. - Hanna uśmiechnęła się blado.

- Które?

- Że powinien być zakaz odwalania kity przed południem.

- A tak, pamiętam. Zawsze się wkurwiał, kiedy trzeba było wyleźć spod pierzyny i jechać nocą na trupa. - Posłał jej rozbawione spojrzenie i zerknął w stronę plaży. - Oziębłowicz coś dzisiaj wyjątkowo podkurwiony.

- A dziwisz mu się? To drugi jego człowiek w ciągu paru miesięcy.

- Parszywy świat - podsumował Wojciech i w samochodzie zapadła cisza.

Zaczynało się rozjaśniać, kiedy ktoś zapukał w szybę od strony pasażera, a wyrwany z zamyślenia Kiciuś aż podskoczył.

- SzeF mówi, że macie skoczyć do domu Jurka - powiedziała młoda funkcjonariuszka, kiedy opuścił szybę.

- Zawiadomić żonę? Że też zawsze na nas padnie - skrzywił się Kiciński.

- Nie wściekaj się na posłańca - broniła się policjantka.

Hanna przekręciła klucz w stacyjce.

- Jak twoje auto? - spytał Kiciuś.

- Dobrze. Wygląda na to, że faktycznie się na tym znasz.

- A co, miałaś wątpliwości?

- Jeszcze jakie. - Na moment oderwała wzrok od piaszczystej drogi i posłała mu krzywy uśmiezek.

Na miejsce dotarli kilka minut później. Willa przy Lawendowej była zadbana i otoczona równie wychuchanym ogrodem.

- Pamiętasz, jak się chwalił tymi rododendronami podczas parapetówki? Szybko ten czas leci, jakby to było wczoraj - powiedział Kiciuś, kiedy Hanna zatrzymała się na brukowanym podejździe przed domem.

- Taki młody facet... Mógł mieć dzieci, odsłużyć swoje w policji, cieszyć się życiem, a on...

- Myślisz, że w coś się wpakował? - zapytał, kiedy wysiedli na mżawkę.

- Zobaczymy. - Wcisnęła dzwonek przy furtce i założyła na dłonie wyjęte z kieszeni kurtki rękawiczki. - Myślisz, że wiosna w końcu łaskawie się pojawi, czy czeka nas kolejna epoka lodowcowa?

- Oby nie. - Kiciuś też niemiłosiernie zmarzł.

Wychodząc z domu, zapomniał zarówno szalika, jak



i czapki, dlatego dzwonił zębami, modląc się, żeby ktoś im w końcu otworzył.

- Nie ma jej? O tej porze? - Hanka jeszcze raz wcisnęła dzwonek, ale na zdobionym w kolumnienki ganku nikt się nie pojawił.

- Trzeba było wziąć klucze - powiedział Kiciuś. - Z jego auta.

- Cholera. Pogadam z Morawską, zapytam, czy możemy wejść.

- Nie lepiej poczekać na techników?

- Kiciuś, a jeśli on... - Hanna urwała w pół zdania.

Wojciech świetnie wiedział, co chciała powiedzieć, bo jemu też przeszło to przez myśl.

Co, jeśli Jerzy zabił żonę, zanim pojechał na przystań, przeszedł na pustą ciemną plażę i pociągnął za spust? Czy znajdą ją w środku uduszoną, z owiniętym wokół szyi sznurem? Zastrzeloną w kałuży krzepnącej krwi? Zadźganą kuchennym nożem? Utopioną w wannie? Nie, nie może tak myśleć! Znał przecież Jurka, lubili się. Nie zrobiłby czegoś takiego, nie on!

- Nie myśl o takich rzeczach - powiedział cicho.

- A co, jeśli Ola potrzebuje pomocy? - zapytała cicho Hanna. - Jeśli leży w środku ranna i właśnie się wykrwawia?

- Kurwa... Dobra, włożę tam - zdecydował Kiciuś.

- Nie wracamy po klucze?

- Szkoda czasu.

Przelazł przez zwieńczony sztachetami metalowy płot, modląc się, żeby nie stracić przy tym jaj, natomiast Hanna

zaskakująco zwinnie poradziła sobie z przeszkodą.

- Tych drzwi raczej barkiem nie wyważysz - mruknęła, przyglądając się masywnym dębowym wrotom.

- Na tyłach są drugie, oszklone, wychodzą na patio. Tam powinno pójść łatwiej. - Zdecydowanym krokiem ruszył za dom.

Kiedy dostał się do środka, tłukąc przy tym jedną z szybek w drzwiach, w willi włączył się alarm.

- Kurwa - zaklął Kiciński. - Zapomniałem, że zatrudniali firmę ochroniarską. Uważaj na szkło.

- Mamy parę minut, pośpiesz się.

W salonie nic nie wskazywało na to, żeby w domu wydarzyło się coś gwałtownego.

- Idź na górę, ja sprawdzę dół - zdecydował Kiciński.

Hanka z dłonią na rękojeści służbowego pistoletu wbiegła na piętro.

Kuchnia była posprzątana, wszystko aż lśniło, z wyjątkiem beżowego dywanika, na którym Wojciech dostrzegł krew.

- Hanka, chodź tu! - krzyknął.

- Masz coś? - zapytała, a on wskazał jej rdzawobrazową plamę zaschniętej posoki. - Cholera...

- Właśnie - mruknął. - Na górze nikogo? Sprawdziłaś dokładnie?

- Tak, nigdzie jej nie ma.

- Dobra, cofnij się. Dzwonię po techników. A zanim przyjadą, musimy dopilnować, żeby chłopaki z firmy ochroniarskiej nie zdeptali śladów.

- Wyjdę na zewnątrz, żeby pomachać im służbową

legitymacją – zdecydowała Hanna.

– Dobrze, idź.

Kiedy został sam, kucnął i zapatrzył się w plamę krwi na kuchennym dywaniku. Nie było jej wiele, a jednak wyraźnie świadczyła o tym, że coś się tu rozegrało. Kręcił się po salonie, starając się zobaczyć coś, co może być przydatne w śledztwie, kiedy naszła go upiorna wizja, jak Jurek w szale wściekłości zabija żonę. I chociaż nie chciał myśleć o kumplu źle, mroczne podszepty wyobraźni podrzucały mu coraz bardziej niepokojące obrazy rozlewu krwi, przemocy, bólu i małżeńskiej rzezi.

– Była taka sprawa, jakieś dwanaście lat temu. Gliniarz z sąsiedniego miasteczka zabił żonę i teściową, a sam się powiesił, pamiętasz? – zapytał Hanke, kiedy wyszedł na zewnątrz i usiadł na ławce przed domem.

– Uważasz, że Jurek coś jej zrobił?

– W kuchni jest krew, a Olki nigdzie nie ma.

– To jeszcze o niczym nie świadczy, Kiciuś.

– Przyjaźniłyście się. Nie mówiła ci nic niepokojącego?

– Niby o czym? – wzruszyła ramionami.

– O Jurku.

– Nie, wręcz przeciwnie. Mieli wykupiony pobyt na Gran Canarii, wszystko u nich grało.

– Chyba jednak nie do końca – mruknął Kiciuś.

Patrol firmy ochroniarskiej podjechał chwilę później. Dwóch rosyłych kolesi z przerostem karków wysiadło z niewielkiego biało-pomarańczowego samochodu i ruszyło w ich stronę.

- Policja! Starszy sierżant Wojciech Kiciński - przedstawił się Kiciuś, ruszając w stronę furtki.

- Co się tu dzieje? - zapytał wyższy z byczków.

- Prowadzone są czynności śledcze.

- Mieliśmy alarm o włamaniu.

- Bo tam wszedłem, tłukąc szybę. - Kiciński pomachał mu przed nosem legitymacją i dodał, że mogą się zabierać.

- Zaraz, moment, a co ja powiem właścicielom? - obruszył się drugi z ochroniarzy.

- Właściciel nie żyje, a jego żona gdzieś przepadła, więc, póki co, nie ma się pan czym martwić - wyjaśniła Piasecka, na co ochroniarze wyraźnie się zmieszali.

- Przykre - powiedział jeden z nich.

Drugi zapytał Kiciusia, czy może powtórzyć swoje nazwisko, więc Wojciech jeszcze raz się przedstawił.

- Panowie się stąd zabierają, zaraz w uliczce będzie tłoczno - dodał, a oni wrócili do swojego samochodu.

- Gładko ich spławiłeś, szeryfie - z krzywym uśmiechem podsumowała Hanna.

- Bez szydery, co? - mruknął Kiciński, wracając na ławkę.

Pół godziny później na miejscu zjawili się technicy, a oni wrócili na komendę.

- Masz, pewnie nic nie jadłeś. - Piasecka rzuciła mu na biurko zawiniętą w srebrną folię kanapkę.

Wojciech posłał jej szeroki uśmiech i wysilił się na marny żart:

- Dokarmiasz mnie czy podrywasz?

- Ja wiem? Po prostu mam na zbyciu trochę

węglowodanów. - Mrugnęła do niego i wyszła.

Gdy został sam, znów pomyślał o Jurku. Lubił go, dobrze się dogadywali. Co takiego musiało się wydarzyć, żeby Pietruszka porzucił wygodne życie i strzelił sobie w głowę? - zastanawiał się, bez apetytu żując kanapkę.

Pięknie, po prostu fantastycznie! Pierwszy tydzień na nowym komisariacie i już jeden z gliniarzy strzela sobie w łeb, pomyślał Jeremi, wsiadając do subaru. Na miejsce przyjechał, bo zadzwonił do niego szef posterunku. Miał się wdrażać, jak się wyraził Oziębłowicz. Jednak kręcący się po plaży koledzy nie zwracali na niego uwagi. Tylko Hanka Piasecka w miarę sympatycznie się z nim przywitała, reszta okazywała mu chłodną obojętność. Wiedział, że to się zmieni. Muszą go poznać, zaufać, coś wspólnie przeżyć. A jednak lodowata atmosfera, jaka wokół niego gęstniała, zaczynała go drażnić. W Szczecinie był lubiany i ceniony, ludzie mu ufali. Tutaj czuł się niczym pałętający się pod nogami kolegów niekompetentny intruz... Zaklął cicho, wyjeżdżając na główną drogę.

Na Klonową dotarł wcześniej. Nikt nie dał mu niczego do roboty, więc po przejrzeniu akt sprawy Bugaja postanowił zerwać się z pracy.

Wchodząc do ogrodu, zauważył gospodynię. Ubrana w mocno sprane dżinsy i wściekle pomarańczową watowaną kurtkę z kapturem, Monika Wiśniewska z miotłą w dłoni kręciła się przy domu. Jeremi krzyknął:

- Dzień dobry!

Odmachnęła mu w geście powitania i bez słowa wróciła do zamiatania ścieżki pomiędzy krzewami.

I nic? Żadnej gadki szmatki, koniec totalnego podrywu? Jaromirski uśmiechnął się pod nosem, otwierając frontowe drzwi.

Wewnątrz pachniało proszkiem do prania i smażonym czosnkiem, Wiśniewska musiała niedawno zjeść wczesny obiad. Idąc korytarzem, tu też poczuł się obco. Z drugiej jednak strony od dawna nie miał miejsca, które mógłby nazwać domem. Z tego rodzinnego wyprowadził się lata temu, jeszcze przed śmiercią mamy. Później była tułaczka po wynajętych mieszkaniach, która doprowadziła go tu, do kolejnych czterech ścian, które nie należały do niego.

Powiniennem się przyzwyczaić, pomyślał, otwierając swoje mieszkanie. A jednak ostatnio zaczął mu doskwierać brak życiowej stabilizacji. A może po prostu dały mu do myślenia słowa Anety? Zastanawiał się nad tym przez moment, zdejmując buty. W ślad za nimi zdjął również skarpety, bo po spędzonym na plaży poranku oblepiały je piach. Biorąc prysznic, pomyślał, że w sumie byłby nawet w miarę szczęśliwy, gdyby nie oczekiwania, które mieli wobec niego inni. Ale czy można stworzyć z kimś prawdziwy, oparty na szczerej bliskości związek, nie idąc na kompromisy? - przeszło mu przez myśl.

Wychodząc spod prysznica, zerknął przez łazienkowe okno i przez chwilę obserwował kręcącą się po podwórzu Monikę. W końcu wysuszył włosy, nastawił pralkę i wyłożył się na sofie, na dłuższą chwilę zapadając w coś w rodzaju płytkiej drzemki na granicy jawy i snu. Kiedy odpoczął, wysłał maila do brata i zaparzył herbatę. Na obiad odgrzał *chili sin carne*

z puszki, ale sama mocno doprawiona do smaku czerwona fasolka z sosem i kukurydzą średnio mu smakowała. Dojadając resztkę mocno podeschniętej bagietki, pomyślał o młodszym aspirancie Krzysztofie Bugaju. Bestialska egzekucja w środku nocy i nadal brak motywu... Jeden ze sprawców siedział, ale uparcie odmawiał zeznań, drugi, poszukiwany również przez Interpol, najprawdopodobniej przebywał obecnie w Hiszpanii. Brak motywu, brak świadków, brak narzędzia zbrodni. Jedno, co mieli, to ich gęby nagrane przez właściciela pobliskiego auto złomu i jednego z tych dupków w areszcie. Jednak dupek nie chciał mówić...

- Marnie, naprawdę marnie - mruknął Jeremi, wkładając talerz do zlewu, w którym piętrzył się już okazały stos brudnych naczyń.

Zmywarę miał, ale nie chciało mu się jej załadowywać, i mógł mieć tylko nadzieję, że nachalna właścicielka mieszkania nie wchodzi tu bezprawnie podczas jego nieobecności i nie widzi chlewu, jakiego zdążył już narobić.

Na Facebooku odezwał się jeden z jego starych kumpli ze szczecińskiego komisariatu. Odpisał mu i przy okazji wszedł na profil Anety. Tym razem jego eks nie wrzuciła żadnych zdjęć, była za to zainteresowana punkowym koncertem ich niegdyś ulubionej kapeli, który miał się odbyć o dwudziestej w jednym z przerobionych na klub magazynów pod Szczecinem. Jeremi zerknął na zegarek i nalał sobie resztkę bezalkoholowego piwa, które zaczął dzień wcześniej. Smakowało równie marnie, jak samotnie zjedzony obiad



z puszki, ale przynajmniej złagodziło pragnienie. Dochodziła dziewiętnasta, kiedy po porcji lektury z prokuratorem Szackim w tle i w pośpiechu zjedzonej kanapce zdecydował, że jednak się wybierze do Szczecina.

Na koncert się spóźnił, w dodatku na miejscu okazało się, że nie ma już biletów. Odchodząc od kasy, zaklął i usiadł w tanim barze obok magazynu, gdzie dochodziła muzyka. Pijąc kolejne bezalkoholowe piwo, przyglądał się grupce ubranych na czarno i podrygujących do rytmu smarkul koło dwudziestki, kiedy kątem oka zauważył znajomą twarz.

- Olga! - wrzasnął, ale ciemnowłosa kobieta nie zareagowała.

Złapał więc piwo i przeskoczył niski murek odgradzający teren baru od dużego placu przy magazynie.

- Hej, piękna! - złapał brunetkę za ramię.

Szarpnęła się przestraszona, ale na jego widok wybuchła śmiechem.

- Jeremi? Hej! Co tu robisz? Słyszałam, że przenieśli cię do jakiegoś zadupia nad morzem! - krzyknęła, by przekrzyczeć dochodzącą z magazynu muzykę.

- Masz chwilę?! - odkrzyknął.

- Jasne, chodź! - pociągnęła go w stronę parkingu i usiedli w jej toyocie.

- Często żałuję, że urwał się nam kontakt - powiedziała Olga, kiedy zamknęli się w przytulnym wnętrzu jej auta i odgradzili od punkowego łomotu.

- Nowa?

- Rav czwórka? Tak, dwuletnia.

- Pasuje ci. - Puścił do niej oczko.
- Co u ciebie? Słyszałam, że rozstałeś się z Anetą.
- Tak, niedawno. A ty? Masz kogoś?
- Już nie. - Śmiesznie zmarszczyła nos i sięgnęła do schowka, żeby wyjąć miętowe cukierki. - Rzucił mnie, wyobrażasz sobie? - Uśmiechnęła się krzywo.
- Jakoś nie potrafię. Poszło o inną?
- Nie. Nie podobała mu się moja praca. Znudziły go przechwałki przed kumplami, że ma dziewczynę aspiranta, i nagle zaczął się czepiać moich nienormowanych godzin pracy, nocnych wyjść, ciągłego stresu.
- No popatrz, skąd ja znam tę gadkę - rzucił Jeremi z przekąsem.
- O, czyżby Aneta sprzedała ci tę samą?
- Słowo w słowo.
- Przykre. Człowiek chce wierzyć, że spotkał kogoś, kto akceptuje sytuację, a później dostaje kopa w zadek...
- Bywa... - wzruszył ramionami.
- A jak nowe życie? Koledzy fajni?
- Trudno powiedzieć, bo mało kto ze mną gada. Dostało mi się biurko po zamordowanym gliniarzu, więc nie pałają do mnie szczególną miłością.
- Muszą cię lepiej poznać, daj im trochę czasu.
- W zupełności się z tobą zgadzam. - Przerwał na moment.
- To jak, dasz się zaprosić na kolację?
- Myślałam, że zależy ci na koncercie.
- Nie. Chciałem tutaj spotkać Anetę, pisała na Facebooku, że się wybiera - przyznał szczerze.

- Uuuuu, serce nadal poboлева? - Olga wsunęła dłoń w jego gęste włosy i rozczochrała je. - Jasne, że dam się zaprosić na kolację. A o Anecie zapomnij, nigdy do ciebie nie pasowała.

- A która do mnie pasuje? Jestem znerwicowanym trzydziestosześcioletnim pracoholikiem, który nie nadaje się ani na męża, ani na ojca.

- Ale na kochanka to i owszem. - Mrugnęła do niego, a on przypomniał sobie ich wspólne noce i jej piękne duże piersi.

Nie znosiła ich, marzyła o drobnej chłopięcej figurze, ale w jego mniemaniu były najpiękniejsze z tych, które dotąd widział.

- Co? Zamyśliłeś się?

- Wspominam - wyszczerzył się.

- Wszystko było wtedy takie proste, co? Żadnych deklaracji, planów ze złotą obrączką w tle, romantycznych bzdetów. Czemu właściwie przestaliśmy ze sobą sypiać?

- Bo poznałem Anetę, nie pamiętasz?

- No tak, ją... - Olga lekko się skrzywiła.

- Nie lubiłaś jej? - zdziwił się. - Myślałem, że nieźle się dogadywałyście.

- Nie znałam jej dobrze. Trochę piw wypitych na imprezach, parę rozmów po pijaku i tyle... Wiedziała, że ze sobą sypialiśmy? Zawsze chciałam cię o to zapytać.

- Nie, nigdy jej nie powiedziałem.

- Może to i dobrze. Zresztą to już nie ma znaczenia, straciłam z nią kontakt.

- Bywa.

- To co? Chińskie żarcie czy kuchnia domowa? Jeśli masz ochotę, zrobię sznycle na szybko.

- Żartujesz? Duszę bym diabłu oddał za dobre domowe sznycelki. - Momentalnie zrobił się głodny.

W mieszkaniu Olgi przesiedział jakieś dwie godziny, a kiedy jego była szeroko ziewnęła, zaczął się zbierać.

- Dzięki za zaproszenie. Kolacja była pyszna.

- To się rozumie. Jak cię znam, od kiedy znów zostałeś singlem, odżywasz się parówkami, makaronem zmieszany z gotowymi sosami i gorącymi kubkami, prawda?

- Dodaj jeszcze słone paluszki z piwem, brokuły z mrożonek i masz pełny zestaw.

- Biedaku. Wpadaj częściej, bo całkiem zmarniejesz. - Olga odprowadziła go do przedpokoju, przyciągnęła bliżej i pocałowała w usta. - Dbaj o siebie, samuraju.

- Ty też. - Z uśmiechem pogładził ją po policzku i wyszedł na klatkę.

W drodze do samochodu pomyślał, że w sumie mógłby jeszcze podjechać pod kamienicę Anety. Skoro był w Szczecinie...

Na Szczerbcową dotarł z nadzieją, że w oknach zobaczy światło, i nie mylił się - Aneta była w domu, kręciła się po salonie. Wysiadł na mżawkę i przez dłuższą chwilę sterczał po drugiej stronie ulicy, gapiąc się na fasadę kamienicy.

W końcu sięgnął do kieszeni po komórkę i wybrał numer Anety.

- Cześć, co słyhać? - zapytał, kiedy odebrała.

- Chcesz czegoś konkretnego, Jeremi? Jest prawie

dwudziesta trzecia!

- Przejeżdżałem tędy i pomyślałem, że...

- Przejeżdżałeś? - syknęła.

Kiedy podeszła do okna, pomachał jej, ale go nie zauważyła, dlatego dodał:

- Stoję pod twoją kamienicą.

- Stoisz pod moją kamienicą? - wycedziła.

Chwilę później, wciąż z telefonem przy uchu, opuściła wszystkie rolety. Przez moment widział tylko cień jej sylwetki, w końcu zgasiła światło w salonie i nie dostrzegając już nic.

- Aneta? Posłuchaj, chciałem tylko...

- Daj mi spokój, słyszysz?! - krzyknęła.

- Rozłączyła się? - mruknął Jeremi, ponownie wybierając jej numer.

Tym razem jednak jej komórka była wyłączona.

- Kurwa! - zaklął, zadzierając głowę, ale w oknach nadal było ciemno.

Przeszedł przez jezdnię i podszedł do klatki. Miał ochotę wcisnąć guzik od domofonu i trzymać na nim palec tak długo, aż w końcu Aneta się podda i zejdzie do niego na dół, wiedział jednak, że jeśli chce mieć jeszcze u niej szansę, nie powinien robić takich rzeczy.

Wrócił więc do samochodu i przez kwadrans siedział w nim, zastanawiając się, czy ona wygląda przez okno i zerka na uliczkę. W końcu przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył pustą drogą w stronę nowego domu. Mijając osiedle, na którym mieszkała Olga, przez chwilę wyobraził sobie, że

stuka do jej drzwi i zaczynają wspólne życie. Dwójka policjantów pod jednym dachem. Ona i on równie cyniczni, zmęczeni życiem, przytłoczeni codziennością. Nie, to wyjątkowo debilny pomysł. Zresztą nawet w ich najlepszych czasach nie kochał Olgi. Była tylko równą mu rangą kumpelą, z którą od czasu do czasu chodził do łóżka, kiedy jeszcze nie znał Anety. I chociaż wiedział, że myślenie o niej w ten sposób jest dla Olgi cholernie krzywdzące, nic na to nie potrafił poradzić. Serce nie sługa i tak dalej...

Dojeżdżał do miasteczka, kiedy usłyszał sygnał przychodzącego esemesa. Zjechał więc na pobocze, wyjął z kieszeni komórkę i przeczytał:

*Jeśli nie przestaniesz mnie nachodzić, zgłoszę to na policję!*

- Nachodzić?! Chciałem tylko porozmawiać - warknął, wyjeżdżając z powrotem na szosę. - I to ja, kurwa, jestem policją!

Do mieszkania dotarł wściekły, rozgoryczony i senny, ale choć było już po północy, nie chciał się jeszcze kłaść. Planował chwilę pogadać ze starym kumplem, który chwilowo pracował jako nocny portier i uwielbiał późne telefony, a później wejść na Facebooka i obejrzeć ich dawne wspólne fotki. Jednak Łukasz nie odbierał telefonu, a Aneta wyrzuciła go z grona znajomych i zablokowała.

- Nie wierzę - wymamrotał, wgapiając się w monitor. - Po prostu, kurwa, nie wierzę! - rąbnął pięścią w stół tak mocno, że aż podskoczył leżący na nim talerz.

## 18

Hassan zebrał ze ściółki do plastikowego wiadra kilka martwych kurcząt. Tuczony na ubój, w wyniku gwałtownego przyrostu masy nieszczęsne brojlery padały na niewydolność serca bądź po prostu się przewracały i nie były w stanie samodzielnie się podnieść.

- Szukaj tych, które się nadają do uśmiercenia, szef ma dzisiaj wpaść - rzucił Rafi, mijając go.

Kurczaka z trzema nogami zlokalizował chwilę później i zebrał się w sobie, żeby zrobić, co trzeba. Nie lubił zabijać zwierząt i szczerze nie znosił tej pracy. Kurz, smród amoniaku i przetrzymywany w mało humanitarnych warunkach drób - wszystko to sprawiało, że co rano zmuszał się, żeby wyjść z domu i przyjść na fermę. Z drugiej jednak strony pracował już przecież w znacznie gorszych miejscach. Wysypiska śmieci, oczyszczalnie ścieków, sortownie używanej odzieży - nigdzie nie było różowo, pomyślał, schylając się po kolejne martwe kurczę, które wyglądało tak, jakby leżało tam przynajmniej kilkanaście godzin.

- Pośpiesz się, zaraz trzeba będzie rozładować transport! - ponaglił go Stefan, jeden z najdłużej tu zatrudnionych pracowników.

- Zaraz! - odkrzyknął, wrzucając do wiadra ostatnie truchło.

Te, które tłoczyły się wokół jego nóg, ledwo mogły się

zmieścić we wszechobecnym ścisku. Starając się nie rozmyślać nad ich smutnym losem, odłożył wiadro i podrapał się po głowie. Od przebywania wśród zakurzonej ściółki piekły go oczy i drapało w gardle, a to był jeden z tych dni, kiedy wyjątkowo go drażnił wszechobecny smrodek.

- Kurczaki przyjechały, rusz się! - warknął na niego Rafi.

Czemu wszyscy dziś na mnie wrzeszczą? - pomyślał Hassan, jednak posłusznie wyszedł z rzęsście oświetlonej hali i ruszył w stronę podwórza, gdzie właśnie podjechał TIR z pełną drobiu naczepą.

Kiedy skończyli, był głodny i czuł się brudny. Chłopacy umawiali się właśnie na wieczorne piwo, ale on chciał tylko wrócić do domu, zmyć z siebie cały ten syf i złapać kilka godzin snu. A odkąd znalazł Irkę, prawie nie sypiał po nocach. Kiedy tylko zamykał oczy, widział jej martwą twarz, bosą łydkę wystającą zza worków z ziemniakami i matowe jasne włosy. Irka. Obco brzmiące imię, a takie drogie...

- Hassan, pośpiesz się! Co się dziś z tobą, kurwa, dzieje?! - wydarł się na niego Rafi.

- Odpierdol się! - warknął, co wywołało salwę śmiechu.

- Nooo, ty już nasz jesteś, Polak prawie, skoro tak kłąć potrafisz. - Stefan klepnął go w ramię.

- Ja nie Polak, chociaż Polska kocham - mruknął Hassan, kręcąc się przy wózku widłowym, co wywołało falę przeciągłych gwizdów. Dopiero niedawno zrobił uprawnienia i kumple wciąż się z niego nabijali.

- Dajmy mu się w końcu przejechać, co, chłopaki? - zaproponował Stefan, ale Hassan nie miał ochoty za żadne



idiotyczne zabawy.

- Teraz ja coś zjeść - mruknął, ściągając rękawiczki.

- Najlepiej sałatkę z kurczakiem! - krzyknął w ślad za nim Rafi i całe towarzystwo zarechotało.

Jedząc kanapkę w stołówce, pomyślał o matce. Zmarła, kiedy był nastolatkiem, a do dziś za nią tęsknił. Co by pomyślała, gdyby mnie zobaczyła? - zastanawiał się. Zakurzonego, zniechęconego, wykończonego, wciskającego do plastikowych szuflad przeznaczone na rzeź kurczęta. Kiedy zaczynał tę pracę, starał się kłaść każde z nich delikatnie, co wywoływało salwy śmiechu u jednych pracowników i poirytowanie u innych.

- Pośpiesz się, kurwa! - słyszał na okrągło.

W końcu zdał sobie sprawę, że podobnie jak oni zaczął upychać kury do pojemników byle szybciej, byle ciaśniej. Ostatnio właściciel fermy podarował im po kilka opakowań parówek. Taki żart dla „docenienia oddania pracowników”, jak powiedział. Ale chociaż Hassanowi stale brakowało pieniędzy, nie potrafił ich zjeść. Przez tydzień leżały w lodówce, w końcu zaniósł je sąsiadom, mieszkającemu piętro wyżej małżeństwu z Ukrainy, które z wdzięcznością przyjęło podarunek. On, jedząc parówki, myślał już tylko o przekarmionych i zabijanych uderzeniem w głowę kurczakach, więc ich mięso stawało mu w gardle. Ostatnio zwierzył się z tego Rafiemu, ale to był błąd. Kumpel wygadał to innym i teraz ciągle się z niego nabijali. Że niby czarnuch, a taki wrażliwy, po prostu kupa śmiechu...

- Co tam? - Stefan wszedł do stołówki, kiedy Hassan

dopijał niedobłą zbożową kawę.

- Leci jakoś.

- Mówi się „jakoś leci”.

- A to różnica jest? - zdziwił się Hassan.

- Jest - mruknął Stefan, siadając za jednym ze stołów.

Kiedy wyjął z plastikowego pudełka skrojone w krótkie paski parówki polane keczupem, Hassanowi zrobiło się niedobrze.

- Pracujesz tu i jesz to? - burknął.

- Pracuję, to jem. Może nawet własnoręcznie zabiłem jedną z tych parówek? - zarechotał Stefan.

- Parówkę zabiłeś? Nie. Ty kurczaka mogłeś utłuc - rzucił Hassan.

- Masz z tym jakiś problem? Bo chętnych do pracy, nawet tak gównianej, jest w miasteczku sporo. - Stefan posłał mu krzywe spojrzenie i wrócił do dłubania widelcem w polanych keczupem parówkach.

- Nic nie mówię - mruknął Hassan, wychodząc z jadalni.

Trzy godziny później szedł szosą w stronę domu Irki. Po prostu czuł, że musi ją odwiedzić. Wiedział, że to idiotyczne, przecież ona nie żyła, a jego wizyta niczego nie zmieni. Jednak myśl, że ona samotnie leży w piwnicy, wśród kurzu i pajęczyn, których tak nie znosiła, była dla niego wyjątkowo bolesna.

Dom wciąż był wyziębiony, a frontowe drzwi zamknięte jedynie na klamkę, jak je zostawił. Zanim wszedł do środka, uważnie rozejrzał się po okolicy, ale nie dostrzegł niczego niepokojącego. Przy drzwiach do piwnicy przystanął, zdjęty

nagłą paniką. W jakim stanie ją znajdzie? I czy ona jeszcze tam jest? – przeszło mu przez myśl, co przyprawiło go o ciarki. Jak mogłoby jej tam nie być? Nie jest w końcu żywym trupem.

Zszedł na dół, przyświecając sobie latarką w telefonie. Tym razem, pomimo panującego chłodu, woń rozkładu była już znacznie intensywniejsza. Hassan pomyślał o żerującym na zwłokach robactwie i uniósł dłoń do ust, jakby chciał je uchronić przed zepsutym powietrzem. Na środku piwnicy przystanął i skierował światło latarki na wyłaniającą się zza worków łydkę, szybko jednak odwrócił głowę i pędem wbiegł na górę. Na jej twarz nie miał już odwagi spojrzeć...

Kiedy zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął je na zasuwkę, w jego głowie toczył się sprzeczny wewnętrzny dialog:

- Musisz to zgłosić, ona nie może tak leżeć! – upierał się jeden głos.

- Siedź cicho i nie wychylaj się, idioto! – nakazywał drugi.

A on, plecami oparty o piwniczne drzwi, spazmatycznie łapał powietrze w półotwarte usta. Kiedy uspokoił się na tyle, żeby samotnie usiąść w kuchni Irki, na dworze zrobiło się całkiem ciemno. Zanim się stamtąd zabrał, wyjął z plecaka kupiony dzień wcześniej duży znicz z czerwonego szła w kształcie serca i zapalił go na werandzie przed domem. Dotykał go w rękawiczkach, a gdy przyniósł do domu z marketu, dokładnie wymył, ale i tak miał wrażenie, że podaje się glinom jak na tacy. Ale po prostu musiał dla niej zrobić chociaż to, zapalić światełko... A teraz przyglądał się samotnie płonącemu lampionowi.

Trzeba było kupić dwa, przeszło mu przez myśl, kiedy szedł w stronę przystanku.

- Trzeba było zadzwonić na policję już tamtego dnia, kiedy ją znalazłeś - odezwał się ten przeklęty głos w jego głowie, ale kazał mu się zamknąć.

Zresztą to nie był żaden głos, nie jest w końcu wariatem. To tylko to, co katolicy zwykli nazywać sumieniem. Ale czy wszyscy inni szli za jego podszeptami? Hassan szczerze w to wątpił i ta myśl sprawiła, że poczuł się nieco lepiej.

## 19

- To chyba tutaj - powiedziała Hanka Piasecka, kiedy dotarli na niewielkie, położone w pobliżu miasteczka osiedle, złożone z bliźniaczo do siebie podobnych jednorodzinnych domków z czerwonymi dachami i beżowymi elewacjami.

- Najbardziej nie znoszę tej części naszej roboty, rozmów z rodzinami - powiedział Kiciuś, zjeżdżając na wyłożony wiśniową kostką brukową chodnik. - Francja elegancja. Patrz, nawet fontannę mają pośrodku tego ronda wielkości patelni - mruknął, rozglądając się.

- A wiesz, że to osiedle postawiła należąca do teścia Jurka Pietruszki firma budowlana? Podobnie zresztą jak te nowe apartamenty w lasku za portem.

- Wiem. Waldemar Łukasiak pojawił się niedawno w lokalnej rozgłośni, gdzie opowiadał o początkach swojej firmy i ciężko wypracowanym sukcesie. Nie dodał tylko, że grubą kasę na rozkręcenie tej działalności dostał od rodziców swojej żony. Ot, drobiazg, a ktoś niewtajemniczony w tutejsze układy mógłby sobie wyobrazić naszą lokalną bajkę „Od pucybuta do milionera” - powiedział Wojciech, kiedy już zaparkował i rozpiął pasy.

- Tak sobie pomyślałam, że może Olka jest u rodziców? - Hanka nie skomentowała jego sarkastycznej wypowiedzi i przez dłuższą chwilę przyglądała się zadbanej fasadzie domu Łukasiaków.

- Byłoby dobrze. - Kiciuś wysiadł z samochodu.

- Ty też masz jej numer, prawda? Znacie się przecież - powiedziała, równając z nim krok.

- Mam i nawet kilka razy go wybrałem, ale ma wyłączony telefon. - Sięgnął po telefon, zerknął na wyświetlacz i wsunął komórkę do kieszeni. - Nadal nic...

- Cholera... - zaklęła Hanka, ruszając za Wojciechem w stronę furtki. - Ja też dzwoniłam, ale nie odbiera... - przytupując z zimna, zerknęła w stronę olbrzymiego ogrodu, który lekko opadał w dół.

Na jego tyłach był sosnowy las, dalej stroma kamienista skarpa i morze.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby tu zamieszkać - powiedział Wojciech, przyglądając się okolicy.

- Żartujesz? Mnie takie miejsca przyprawiają o ciarki. Wszystkie domy jak sklonowane, nuda, monotonia, zero chaosu. Owszem, ładnie, ale wolę mój świat. - Oderwała wzrok od trawnika Łukasiaków i zerknęła w stronę ich okien.

- Chaosu ci nagle brak? - Kiciuś parsknął nerwowym śmiechem, po czym wcisnął dzwonek u furtki.

Teść Jurka Pietruszki, inżynier Waldemar Łukasiak, otworzył drzwi w narzuconym na piżamę pikowanym szlafroku nieokreślonej szaroburej barwy. Najwidoczniej wczesnoporanne najście wyrwało go z ciepłego łóżka.

- Słucham, o co chodzi?! - krzyknął z werandy.

- Policja, proszę otworzyć furtkę! - odkrzyknęła Piasecka.

Łukasiak wyglądał na skrajnie zaskoczonego, jakby nie mieściło mu się w głowie, że któregoś dnia na progu jego

domu mogą się zjawić stróże prawa.

- Policja? - wykrztusił, zanim ruszył w ich stronę wysadzaną niewysokimi iglakami ścieżką wijącą się przez całą długość zadbanego ogrodu.

Kiedy do nich podszedł, Kiciński przedstawił siebie i koleżankę, po czym pchnął żelazną bramkę, wchodząc do środka.

- Huzar, do domu! - krzyknął Łukasiak na niewielkiego łaciatego psa, który jazgotliwie ujadając, pojawił się na werandzie. - Proszę poczekać, lepiej go zamknę. - Drobnym truchtem ruszył w stronę willi.

- Nawet nie zapytał, co się stało. Ludzie na widok stojącej u progu policji reagują zazwyczaj bardziej nerwowo - zauważyła Hanka.

- Ma zięcia glinę. - Wojciech wzruszył ramionami. - Ale i tak był zaskoczony, nie zauważyłaś?

- Nie. I miał, chciałeś powiedzieć. *Memento mori*, Kiciuś... - w jej oczach zabłyśły łzy. - Wciąż nie mogę w to uwierzyć...

- Mnie też trudno to ogarnąć.

- Jestem! - Łukasiak wrócił na werandę, tuż za nim pojawiła się drobna jasnowłosa kobieta w narzuconej na ramiona bordowej kurtce.

Ona też, podobnie jak mąż, była jeszcze w piżamie, ale wyglądała na znacznie bardziej zaniepokojoną niż on.

- Czy coś się stało? - zapytała cicho, kiedy całą czwórką weszli do przestronnego przedpokoju.

- Halinko, niech państwo usiądą, a ty może zrób nam kawy - poprosił ją mąż, a ona bez słowa podreptała w stronę

kuchni.

- Dobrze, miejmy to za sobą. Pana zięć nie żyje - powiedział Kiciuś, kiedy zostali sam na sam z teściem Jurka.

- To jakiś żart? - Łukasiak gwałtownie poczerwieniał na twarzy, jakby podejrzewał, że zwyczajnie robią go w konia.

- Niestety nie - powiedziała cicho Hanka.

- Ale jak... Miał wypadek? Zawsze mu mówiłem, że za szybko jeździ...

- Nie mamy jeszcze stuprocentowej pewności, ale na chwilę obecną wszystko wskazuje na to, że pana zięć popełnił samobójstwo - powiedziała Piasecka.

Łukasiak nerwowo się rozeźmiał, po czym z furią spojrzał na gliniarzy.

- Wkręcacie mnie, co? To są jakieś jaja! Czemu niby mój zięć miałby się zabijać?! - wykrzyczał, a jego żona, która bezszelestnie pojawiła się przy wejściu do salonu, zasłoniła usta dłonią i bezgłośnie się rozszlochała.

- Przykro nam. - Hanna spojrzała Łukasiakowi prosto w oczy i zapewniła, że zrobią wszystko, żeby dowiedzieć się, co skłoniło Jurka do tak desperackiego kroku.

- A nasza Ola? Co z nią? Czemu z wami nie przyjechała, czemu nie zadzwoniła? - Łukasiakowa nagle przypomniała sobie o córce.

- Aleksandry jeszcze nie znaleźliśmy - powiedział Kiciuś.

- Jak to nie znaleźliście mojej córki?! - wybuchnął Łukasiak. - To gdzie ona jest, bo przecież nie rozplynęła się w powietrzu?! - Poderwał się na nogi, strącając przy tym stojącą na ławie posrebrzaną tacę, która z przeraźliwym



brzękiem upadła na kamienną posadzkę salonu.

- Nie wiemy - przyznał Kiciński. - W domu jej nie ma, a telefon jest wyłączony.

- To szukajcie jej, do cholery! - wrzasnął, łapiąc się za serce.

- Waldziu, napij się. - Żona wcisnęła mu w dłoń szklanekę wody i zalana łzami usiadła na sofie. - Czy Ola już wie, co się stało? - zapytała cichym, ledwie słyszalnym szeptem.

- Nie wiemy - przyznała Hanna. - Ale najprawdopodobniej nie.

- Jak to się stało? - zapytał Łukasiak. - Jak to zrobił? - dodał ostrym, nieprzyjemnym tonem, jakby nawet w tych okolicznościach był wściekły na zięcia o to, że przysporzy bólu jego wychuchanej córce.

- Strzelił sobie w głowę ze służbowej broni. Oczywiście wciąż czekamy na opinię biegłych i wyniki ekspertyz, żeby wykluczyć działanie osób trzecich.

- Że niby jakiś morderca mógł upozorować samobójstwo? - zapytał Łukasiak.

- Takie rzeczy się zdarzają - powiedział Kicius. - Proszę wybaczyć, ale muszę jeszcze zapytać, gdzie państwo byli tej nocy.

- Tutaj, a gdzie?! W łóżkach! - warknął Łukasiak.

- A Aleksandra się dziś z państwem nie kontaktowała? - zapytała Piasecka.

- Nie.

- Wczoraj też nie - wtrąciła pani Halina.

- Kiedy ostatnio widzieli państwo córkę? - zapytał Kiciński.

- Nie wiem, jakieś pięć dni temu? Halinko, kiedy? - Łukasiak nieco ochłonął, usiadł bliżej żony i złapał ją za rękę.

- Cztery dni temu. Upiekłam sernik i zadzwoniłam po nią, żeby przyjechała i wzięła połowę dla siebie i Jurka.

- I przyjechała?

- Tak, była u nas. Wzięła połowę ciasta, chwilę pogadałyśmy.

- Mówiła coś o mężu? - zapytała Piasecka.

- Nie, nic.

- Nie wspominała, że się kłócili, że mają jakieś problemy? - naciskał Kiciński.

- Ale oni nie mieli żadnych problemów! Myśleli o pierwszym dziecku, wybierali się na Gran Canarię! - krzyknęła Łukasiakowa łamiącym się głosem. - Waldziu, gdzie masz telefon? Zadzwonię do niej, może ode mnie odbierze, przecież...

- Jej komórka jest wyłączona - weszła jej w słowo Piasecka.

- Dobrze, porozmawiajmy otwarcie. Czy podejrzewacie, że mojej córce mogło się coś stać? - zapytał Łukasiak.

- Niestety nie wykluczamy takiego scenariusza. W kuchni państwa córki znaleźliśmy ślady krwi. - Wojciech wyjawiał im prawdę, nie było sensu jej ukrywać.

- Jezus Maria! - Matka Aleksandry zgięła się wpół, jakby miała zwymiotować, i przeraźliwie jęknęła.

- Nie wiemy jeszcze, do kogo należy krew - powiedziała szybko Piasecka, by złagodzić mocne słowa Kicińskiego.

- Ale jest taka możliwość, że do naszej Oli? - zapytał Łukasiak.

- Niestety tak - powiedział Kiciuś.

- Ktoś będzie musiał go zidentyfikować. Ubiorę się. Bo rozumiem, że nie mają państwo wątpliwości i na pewno chodzi o mojego zięcia?

- Tak, to Jurek. - Hanka wstała i podeszła do szlochającej Haliny Łukasiak. - Proszę być dobrej myśli, może Ola jest cała i zdrowa - pocieszyła ją, chociaż miała raczej marne przeczucia.

- Co za chujnia - rzucił przez zęby Kiciuś, kiedy szli w stronę samochodu.

- Biedni ludzie, wyobrażasz sobie taki szok? Budzisz się któregoś ranka i dostajesz takie wieści...

- Musimy poważnie rozejrzeć się za Aleksandrą. Pewnie wiele się wyjaśni, kiedy z nią pogadamy.

- O ile żyje...

- Fakt. - Otworzył samochód, ziewnął i wsiadł. - Spróbuję jeszcze raz do niej zadzwonić. - Niestety żona martwego kolegi wciąż miała wyłączoną komórkę.

- Zostaw, to bez sensu. Trzeba będzie sprawdzić, gdzie ostatnio logował się jej telefon, chłopacy poszukają.

- Masz jakieś przeczucia? - zapytał Kiciuś, zanim ruszyli.

- Złe.

- Ja też... Słuchaj, a może to się jakoś łączy?

- Co? - zdziwiła się Hanna.

- Najpierw podcina sobie żyły nastoletni chłopak, kilka dni później w łeb strzela sobie trzydziestokilkuletni gliniarz.

- Tak uważasz? Niby co mogłoby ich łączyć?

- Może coś ten tego... - Kiciuś chrząknął, nieco

zażenowany tematem, a Piasecka parsknęła śmiechem.

- Czekaj, chyba nie mówisz, że oni coś razem...

- A co? W sumie jest to możliwe. Może Pietruszka dobierał się do smarkacza i doszło do jakiegoś incydentu? Dzieciak się zabił, a Jerzyk...

- Kiciuś, odjechało ci?! Jerzyk nie był gejem, a już z całą pewnością nie molestowałby szesnastoletniego dzieciaka!

- Szesnaście lat to nie tak mało. W tym wieku ostro się eksperymentuje, szuka się własnej tożsamości. Zwłaszcza seksualnej.

- Nic nie wskazuje na to, że chłopak miał skłonności homoseksualne.

- On nie musiał. Wystarczy, że ktoś by się do niego ostro dobrał. Zabija się, bo nie potrafi sobie poukładać w głowie tego, co się stało, a ten, kto mu to zrobił, z poczucia winy strzela sobie w łeb.

- Na ciele Kacpra nie znaleziono śladów wykorzystywania, Kiciuś.

- Może to stara sprawa? A może nie mówimy o gwałcie. Są przecież różne...

- A może chrzanisz jak potłuczony?! - krzyknęła Piasecka, wchodząc mu w słowo. - Serio uważasz, że Jurek mógł być homoseksualistą ze skłonnością do młodych chłopców? Co za bzdury! Przecież oni się z Olką kochali, to było widać.

- Może kochał i ją, i jego? Oglądałem niedawno brytyjski serial, którego bohater, rzekomo kochając żonę, molestował nastolatka, w którym, jak twierdził, był zakochany.

- To się pierdół naoglądałeś! I nie powtarzaj tego nikomu,

co?

Hanna wściekła się nie na żarty, więc Kiciuś tylko mruknął:

- Masz rację, to zupełnie bez sensu.

- Cieszę się, że rozum ci wrócił. A zmieniając temat, wczoraj, kiedy wyszedłeś po kawę, przegapiłeś niezły cyrk.

- Tak, a co się działo? - zdziwił się Wojciech.

- Na komendę przyszła żona tego biznesmena, który jeździ porsche. Tego, który codziennie biega koło szóstej rano.

- Skąd mam wiedzieć, kto biega o szóstej rano? - mruknął Kiciuś.

- No tak, nie jesteś w temacie. Mówię o Dąbrowskim.

- I jego żona u nas była?

- Przyszła zażądać, żebyśmy szukali jej futra z lisa. Ponoć piła kawę w kawiarni na mieście, kiedy ktoś je zwinął z wieszaka przy drzwiach i się ulotnił. Baba była szczerze oburzona i żądała natychmiastowej interwencji policji. Powiedziałam, że mam w głębokim poważaniu losy jej futra, i uświadomiłam tę nadętą pindę, że w samej tylko Polsce rocznie ginie dwieście pięćdziesiąt tysięcy lisów, które uśmierca się, rażąc je prądem tylko po to, żeby jakieś stare raszple mogły wbić zad w ich futro. Wyszła od nas skrajnie oburzona i zapowiedziała, że złoży na mnie skargę. No to czekam. - Uśmiechnęła się krzywo.

- Pierdolisz? Dwieście pięćdziesiąt tysięcy lisów rocznie? - Kiciński wyglądał na mocno zszokowanego.

- Tak niedawno czytałam. A norek na całym świecie zabija się rocznie dwadzieścia sześć milionów. Czujesz? Na jedno futro ginie ponad pięćdziesiąt sztuk. A te głupie

nowobogackie kurwy nadal noszą na grzbiecie truchła martwych zwierząt, myśląc, że to szyk i klasa. Jak dla mnie zwykła żenada...

- Moja Gośka marzyła kiedyś o prawdziwym futrze. Teraz na pewno jej nie kupię.

- Chce mieć futro, to niech nie goli bobra. - Piasecka puściła mu oczko i nie czekając na jego odpowiedź, wysiadła z samochodu.

## 20

Zmierzchało, kiedy Konrad zszedł na parter, planując ukradkiem wyrwać się z domu. Najpierw jednak musiał zorientować się w sytuacji. Nie chciał wpaść na matkę, która na pewno próbowałaby go zatrzymać. W sobotę miała się odbyć msza żałobna za spokój duszy Kacpra; ciała policja jeszcze im nie oddała, prokurator nie pozwalał. Ponoć czekali na wyniki badań z toksykologii – to udało mu się podsłuchać, kiedy rozmawiał z nimi ojciec. Przez chwilę pomyślał o leżącym w olbrzymiej metalowej szufladzie młodszym bracie, którego zwłoki, upchnięte jak wołowa tusza w chłodni, czekały na resztę badań, ale szybko otrząsnął się z ponurych rozmyślań. Co się stało, to się nie odstanie, jak mawiała babcia. A szczył sam sobie taki los zgotował. Gdyby go posłuchał, nic złego by się nie wydarzyło. Ale głupiemu gnojnikowi nagle coś odjechało i postanowił się pochlastać, z pogardą pomyślał Konrad.

W salonie panował półmrok. Babcia pochlipywała na sofie, miętosząc w dłoniach paciorki różańca. Konrad skrzywił się na ten widok i wyslizgnął się z pomieszczenia niezauważony. Matka była w pokoju gościnnym na tyłach domu, nawet przez zamknięte drzwi słyszał jej szloch. Przez dłuższą chwilę stał z ręką na klamce, zastanawiając się, czy zapunktuje u niej, jeśli będzie usiłował ją pocieszyć, w końcu jednak przeważyła myśl, że ma własne problemy i nimi musi

się zająć. Założył kurtkę i starając się poruszać bezszelestnie, wyprowadził z garażu vespę.

Na zewnątrz było chłodno, a drobna mżawka potęgowała odczucie zimna. Zapiął kurtkę i wsiadł na skuter, chcąc wymknąć się z domu przed powrotem ojca. Wolał dostać ochrzan za późny powrót niż wylądować w domowym areszcie.

W okolicy domu Irki dotarł kilka minut później, ale zanim pojawił się na prowadzącej do niego drodze, rozejrzał się uważnie, by się upewnić, czy nikogo nie ma w pobliżu. Zachęcony nadciągającą ciemnością, zostawił vespę przy jednym z drzew i pieszo ruszył w kierunku opuszczonego budynku, którego właścicielka czekała na sprawiedliwość w zimnej i cuchnącej stęchlizną piwnicy.

Wchodził na werandę, kiedy coś zauważył. Wypalony znicz w kształcie serca stał tuż przy frontowych drzwiach. Na jego widok Konrad poczuł, jak szaleńczo bije mu w piersi serce i pocą się dłonie. Rzadko się denerwował, nigdy nie rozumiał nawet pojęcia stresu, a jednak teraz wyraźnie się spietrał.

- Co jest, kurwa? - szepnął, rozglądając się nerwowo.

Jeśli ktoś zapalił znicz, znaczy, że ją znaleźli, pomyślał. Ale przecież nic takiego nie słyszał, żadna fala plotek nie przeszła przez miasteczko... Gdyby odkryli zwłoki, ludzie od razu by o tym wiedzieli, powiedział sobie, kładąc dłoń na klamce. Nie chciał tam wchodzić. Nie żałował tego, co się stało, nie czuł nic oprócz czystej satysfakcji wynikłej ze świadomości, że jest się panem czyjegoś życia lub śmierci. Teraz jednak się bał, nie chciał widzieć tego, co zostało z tej



dziewczyny. Ale przecież musiał.

Pchnął drzwi. W domu cuchnęło czymś, co przywodziło na myśl woń nadgniłych jesiennych liści i leżących przy drodze, potraconych przez samochody zwierzęcych trucheł. W przedpokoju było ciemno, ale najbardziej zaskoczyła go cisza. Martwa, złowroga cisza. Kiedy pod butami zachręściło szkło, Konrad wzdrygnął się i gwałtownie odwrócił, jakby się bał, że coś czai się za jego plecami.

Nagle ją sobie wyobraził. Wyłoniła się z mroku strupieszala i cuchnąca odorem śmierci, wyciągająca ku niemu kościste paluchy. Był pośrodku korytarza, kiedy coś otarło się o jego nogę. Wrzasnął, a wychudzony bezpański kot czmychnął przez uchylone frontowe drzwi.

- Irka? - szepnął.

Zdziwiło go, że pamiętał jej imię, nigdy wcześniej tak o niej nie myślał. Zawsze była dla niego dziewczyną ze znamieniem, córką czarownicy. I czemu, do cholery, woła ją po imieniu, skoro ona nie żyje, zastanawiał się, powoli schodząc na dół. W piwnicy cuchnęło tak niemiłosiernie, że prawie puścił pawia. Ale przecież musiał się upewnić, że ona ciągle tam jest!

Bateria w telefonie padała. Zaklął wściekły na siebie, że nie pomyślał o doładowaniu komórki, i pokonał kilka ostatnich betonowych stopni. Kiedy poświecił w stronę worków z ziemniakami i ujrzał kształt jej łydki, odwrócił wzrok i zaczął się wycofywać na górę. Wtedy to usłyszał - ktoś był w domu, zza uchylonych piwnicznych drzwi wyraźnie dochodziły czyjeś kroki.

Kurwa! Starając się poruszać tak cicho, jak tylko potrafił, znów zszedł do piwnicy i przywarł plecami do lodowato zimnej, wilgotnej ściany. Kurwa, kurwa, kurwa! Kroki ucichły, żeby chwilę później rozlec się ponownie. Konrad zdał sobie sprawę, że cały się trzęsie, był na granicy hysterii. Kto to może być? – zastanawiał się, starając się nawet nie oddychać. Wtedy coś zachrobotło na górze i cicho zaskrzypiały piwniczne drzwi. Konrad jeszcze bardziej przywarł do ściany, marzył, żeby się w nią wtopić. Policja, pomyślał. Zastawili na niego perfidnie zaplanowaną pułapkę, licząc na to, że tu wróci! – panikował w duchu, tymczasem złowroga ciemna postać wyłoniła się z ciemności i zaczęła schodzić do piwnicy. Konrad zacisnął dłoń na komórcę, zastanawiając się, czy zdąży wezwać pomoc i do kogo niby miałby zadzwonić, skoro tuż obok leżą zwłoki uduszonej przez niego dziewczyny, kiedy schodzący po schodach intruz potknął się i głośno zaklął:

– W dupę jeża!

Konrad dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że schodami w dół lezie Eryk.

– Kurwa, pajacu! Prawie zszedłem, kiedy cię usłyszałem! – wyskoczył na kumpla, który przerażony czyjąś obecnością w ciemnej piwnicy, zenująco wysoko pisnął i zatrzymał się sparaliżowany strachem. – To ja, idioto! – warknął Konrad, włączając latarkę.

– Jezu, człowieku... Chcesz, żebym dostał zawału?!

– Żryj dalej tyle chipsów, to i tak dostaniesz. – Konrad roześmiał mu się w nos i spojrzał w stronę drzwi. –

Zabierajmy się stąd, zanim ktoś nas tu znajdzie - zdecydował. - I po cholere tu przylazłeś, co?!

- A ty?!

- Nie wiem, coś mnie tu ciągnie - przyznał Konrad, kiedy wychodzili z ciemnego pomieszczenia.

- Widziałeś ją? Czy ona wciąż...

- Tak, wciąż tam jest! I nie przyłaź tu więcej, ja też nie będę! Ktoś może nas przyuważyć - powiedział młody Chojnacki, kiedy weszli do pustej i przeraźliwie zimnej kuchni.

- Kwiatek zdycha, podleję. - Eryk złapał za jedną ze szklanek i napełnił ją wodą, by podlać więdnącą na parapecie paprotkę, ale Konrad wyrwał mu naczynie z ręki.

- Więdnie i chuj z tym! Nie masz większych problemów?! Tylko odciski wszędzie zostawiasz! - warknął.

Po chwili zdał sobie sprawę, że sam też zostawił na szklance swoje ślady, więc włożył ją do bocznej kieszeni plecaka.

- Zabieramy się stąd, ale już! - ponaglił kumpla.

- Kurwa, fakt, trzeba się zmywać. - Eryk podrapał się po głowie i spojrzał w okno. - Ty zapaliłeś jej znicz? W sumie spoko, szarmancki gest, nie? - wyszczerzył się.

- Nie ja, debilu! Po co miałbym to robić, żeby przyciągnąć czyjąś uwagę?!

- Może powinniśmy go stąd zabrać? - zasugerował Eryk.

- Może - zgodził się Konrad. - Chodźmy stąd, mam dość tej upiornej rudery!

- Śniła mi się dzisiaj. No wiesz, ona. Śniło mi się, że

uprawialiśmy seks. Znaczy się to nie był gwałt, my tylko... I miała takie duże cycki, większe niż w rzeczywistości, a ty trzymałeś w ręku pochodnię i gapieś się na nas i...

- Chodźmy stąd i przestań pierdolić! Chyba nie będziesz mi opowiadał snów jak stara baba?! - naskoczył na kumpla Chojnacki. - Czeka! - złapał go za kołnierz, zanim wyszli. - Trzeba się upewnić, czy nikogo nie ma w pobliżu - dodał, wyglądając przez na wpół przesłonięte koronkową zazdrostką okno. - Dobra, chodź - zdecydował.

Na werandzie Konrad schylił się po wypalony znicz i schował go do plecaka.

- Jak myślisz, kto go tu zostawił?

- Pewnie ten czarnuch. Słyszałeś przecież, że dawała dupy jakiemuś Senegalczykowi, nie?

- Może jego w to wróbmymy? - zapytał cicho Eryk.

- A może trzymaj gębę na kłódkę i nie myśl za wiele, co?! Na razie nic złego się nie dzieje, nawet jeszcze jej nie znaleźli.

- Ale wkrótce ją znajdą, ktoś przecież musi zauważyć, że zniknęła. Robiła serwetki na zamówienia do domów, do kościoła. Moja babcia nazywała ją koronkarką. No i on już wie, skoro zapalił jej znicz...

- W dupę z twoją babcią! - syknął Konrad, schodząc z werandy. - Dobra, ja mam vespę, ty wracaj, jak chcesz.

- Nie podrzucisz mnie?

- Nie. I nie przyłaż tu więcej, słyszysz?!

- A tobie wolno?! - warknął Eryk.

- Ja też już nie będę - odparł Konrad, chociaż nie był do

końca pewny, czy uda mu się dotrzymać obietnicy.

Pożegnali się i każdy ruszył w swoją stronę.

Kiedy Konrad wrócił do domu, ojca wciąż nie było, babcia nadal się modliła, a matka obierała jarzyny za zupę, co jakiś czas przy tym pochlipując.

- Cześć - powiedział, mijając kuchnię.

- Gdzie byłeś? - zainteresowała się.

- U Darka pożyczyć książkę do matmy - skłamał gładko, kłamanie zawsze przychodziło mu z łatwością. - Sorry, muszę się pouczyć - dodał, żeby matka zostawiła go w spokoju.

Na górze, kiedy już zamknął za sobą drzwi i usiadł na łóżku, wyjął z plecaka wypalony znicz i przez dłuższą chwilę trzymał go w dłoniach. Ktokolwiek go tam zostawił, musiał znaleźć Irkę, ale z jakichś powodów milczał. Czy to dla nich dobrze, czy źle, dopiero się okaże. Nagle poczuł strach przed tym, co może nadejść. Niedawno skończył osiemnaście lat, był dorosły. Co, jeśli jednak odkryją, kto stoi za zabójstwem koronkarki, i wsadzą go do paki? A wszystko przez tę miękką cipę, przez pieprzonego braciszka! Gdyby szczył się nie zabił, gliny w żaden sposób nie połączyłyby ich z tą sprawą. Byli tylko trójką uczniów, przerośniętymi dzieciakami przewijającymi się przez miasteczko gdzieś w tle. Jednak Kacper musiał wymięknąć i się pochlastać, a policja grzebała właśnie w jego komputerze, szukając chuj wie czego... Konrad skrzywił się, zaciskając ręce w pięści w wyrazie bezsilnej złości.

Nagle pomyślał o wszystkich zakamarkach, w których brat

mógł coś schować, i zerwał się z krzesła. Co, jeśli ten dupek w przyływie wyrzutów sumienia napisał jakiś cholerny list z wyznaniem dotyczącym tamtej nocy? Albo zostawił coś, czego gliny jeszcze nie odkryły, a co może na dobre mnie pogrążyć, zastanawiał się, otwierając pierwszą z szuflad. Przez najbliższą godzinę przeszukiwał ich wspólny pokój, przegrzebując każde z możliwych miejsc, nie znalazł jednak niczego niepokojącego.

Przed dwudziestą pierwszą matka zawołała go na dół.

- Babcia źle się czuje, znajdź mi numer doktora Hryniewickiego - poprosiła.

- Skąd mam wiedzieć, gdzie posiałaś tę kartkę? - burknął i dopiero po zszokowanym spojrzeniu matki zorientował się, że posunął się za daleko. - Sorry, mamuś. Jestem zmęczony - dodał znacznie łagodniejszym tonem, a ona posłała mu błądy uśmiech.

Babcia zmarła w nocy pomimo zastrzyku zaaplikowanego przez doktora i jego zapewnień, że to tylko lekka arytmia, nic groźniejszego. Może lekarz się mylił, a może po prostu z żalu po śmierci ukochanego wnuka pękło jej serce?

Nad ranem, kiedy ją zabierali, Konrad przyglądał się ubranym na czarno pracownikom zakładu pogrzebowego, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie on w pewnym sensie ją zabił, a raczej konsekwencje tego, co zrobił przez niego Kacper. I chociaż w jakiś sposób odczuwał ból po jej utracie i było mu przykro, górę wzięło podekscytowanie i myśl o tym, że w końcu zwolnił się jasny przestronny pokój na parterze, do którego będzie się mógł przenieść. Koniec ze

spaniem na górze, na tym samym piętrze co starzy, i koniec ze skakaniem na dach werandy w te noce, kiedy chciał się gdzieś wymknąć. Zamieszka na dole, gdy tylko nakłoni rodziców do odmalowania pokoju po babci i upchnięcia gdzieś należących do niej gratów. Na tę myśl od razu poczuł się lepiej.

## 21

Dojeżdżał do domu, kiedy odezwała się jego komórka. Nie lubił rozmawiać w trakcie jazdy, więc zjechał na pobocze i sięgnął po telefon. Widok numeru Oli Pietruszki zaskoczył go, ale i ucieszył, bo przez ostatnie godziny miał bardzo złe przeczucia.

- Wojtek? Dzwoniłeś do mnie przez całe rano. Co się dzieje? - zapytała.

Po tonie sądząc, była zmęczona, ale Kiciński nie wychwycił w jej głosie rozpacz i zdał sobie sprawę, że młoda wdowa po Jurku Pietruszce jeszcze nie wie, co wydarzyło się ostatniej nocy na plaży.

- Czemu wyłączyłaś telefon?

- A to przestępstwo? - zachnęła się wyraźnie rozdrażniona.

- Nie, ale...

- Co się dzieje?

Nie, to nie jest zwykłe zmęczenie, pomyślał Kiciński. Aleksandra mówiła jak ktoś przytłoczony życiem, brzmiała zupełnie inaczej niż zwykle. Metamorfoza w jej sposobie mówienia była tak silna, że nie widząc jej, miał wrażenie, że rozmawia z kimś zupełnie innym, do tego mu obcym. Ale przecież to była Olka. Mieszkająca po sąsiedzku kobieta, której za chwilę będzie musiał przekazać tragiczne wieści. Na tę myśl Kiciuś aż się wzdrygnął.

- Gdzie jesteś? - zapytał. - Podjadę, chcę porozmawiać.



- W Kołobrzegu. Co się dzieje, Wojtek? Wydzwaniasz do mnie całe rano, to irytujące. Jerzy cię na mnie nasłał? Jeśli tak, to powiedz mu, że...

- Jerzy miał wypadek - wykrztusił Kiciuś, wchodząc jej w słowo, zanim się rozpędziła w domysłach.

O tym, że nie żyje, nie potrafił jej powiedzieć przez telefon.

- Co? - szepnęła Ola. - Jaki wypadek? Jak...

- Przyjadę po ciebie - oznajmił, wpadając jej w słowo.

Aleksandra nie miała prawa jazdy, więc do Kołobrzegu najpewniej pojechała pociągiem, a on nie chciał jej skazywać na samotną podróż powrotną do miasteczka.

- Halo? Wojtek, jesteś?! Coś się dzieje z zasięgiem! Pytałam, jaki wpadek?! Czy on...

- Przyjadę po ciebie, daj mi adres.

Powiedziała, że mieszka na Morskiej, i obiecała, że zaraz wyśle mu dokładny adres.

- Pogadamy, jak będę na miejscu. - Rozłączył się.

Minutę później Olka usiłowała się do niego dodzwonić, ale nie odebrał. Wysłał jej jedynie esemesa z prośbą, żeby poczekała na jego przyjazd i z nikim nie rozmawiała.

Kiedy dotarł do Kołobrzegu, zaparkował auto i znalazł apartamentowiec, w którym zatrzymała się Olka, zaczynało się ściemniać. Idąc w stronę budynku z przyjemnością wciągnął w płuca rześkie morskie powietrze. Ostatnio dzwonił się ze starym kumplem, który od kilku lat mieszkał w Krakowie, i wysłuchał mrozących krew w żyłach opowieści o tamtejszym smogu, przesiąkniętym gryzącym dymem powietrza i pyłe zawieszonym, który w najgorsze dni

dosłownie zgrzytał pomiędzy zębami. Od tamtej pory doceniał z pozoru banalny fakt, że ma czym oddychać.

Nie zdążył jeszcze wcisnąć przycisku domofonu, kiedy drzwi otworzyła mu zapłakana wdowa po Jerzym.

- Dzwoniłam do taty, wszystko mi powiedział... - rozszlochała się.

W sumie był gotowy na widok łez Oli i to, że po jego telefonie ktoś inny powie jej prawdę, a jednak przez chwilę był bliski paniki, nie mając pojęcia, co powinien powiedzieć i jak pocieszyć kogoś, kto właśnie stracił jedną z najbliższych osób.

- Wybacz, nie chciałem ci mówić przez telefon - wykrztusił w końcu. - Mogę wejść?

- Tak, jasne. - Wierzchem dłoni otarła mokre od łez policzki, odsunęła się na bok i przepuściła go w drzwiach. - Dziękuję, że jesteś. Tkwię tutaj i nie wiem, co ze sobą zrobić... Za godzinę ma przyjechać tato, ale do tej pory... - Oli załamał się głos.

- Kiedy wyjechałaś? - zapytał Wojciech, kiedy weszli do przestronnego, utrzymanego w bieli i mocnym odcieniu butelkowej zieleni salonu z sięgającymi podłogi oknami i stojącym pod jedną ze ścian fortepianem.

- Dziś nad ranem. Wsiadłam w pierwszy pociąg. - Pociągnęła nosem. - To mieszkanie należy do Marty i Tomka, moich dobrych znajomych. Akurat jest puste, czeka na kolejnych lokatorów. Od maja ma iść na wynajem długoterminowy, więc załapałam się w ostatnim momencie. Jak to się stało, Wojtek? Tato mówił, że... Boże...

- Przykro mi, Olu. Naprawdę. - Kiciński objął roztrzęsioną przyjaciółkę i pogłaskał ją po plecach.

- To moja wina. To, że się zabił - szepnęła.

- Bzdury wygadujesz! - zachnął się Wojciech. - Nawet jeśli się pokłóciliście, to nie był powód do strzelenia sobie w łeb! - dodał, zanim się zorientował, jak jego nieczułe słowa zszokowały Olę. - Przepraszam, strasznie to zabrzmiało. - Pogłaskał ją po policzku i podał chusteczki.

- Jak ja teraz tam wrócę? Jak wytłumaczę rodzicom, co się stało? Co powiem jego matce? - Widać było, że jest w rozsypce.

- Jadłaś dziś coś?

- Śniadanie.

- Zrobić ci herbaty?

- Gdybyś mógł. - Strzępiąc w palcach resztki higienicznej chusteczki, zapatrzyła się w okno, za którym, nieco przesłonięta przez korony drzew, widniała morska latarnia.

Kicius wszedł do połączonej z gościnnym pokojem nowocześnie urządzonej kuchni, w której królowały stal, szkło i śnieżna biel. Stawiając wodę na herbatę, zerknął na Olę, która szlochała na sofie. W swej rozpaczynie wyglądała naprawdę przekonująco, więc czuł się podle, dopuszczając myśl, że mogła w jakiś sposób przyczynić się do śmierci męża. Wiedział jednak doskonale, że nie wolno mu tracić czujności. Owszem, był dobrym znajomym Oli, ale był też gliną, o czym zawsze musi pamiętać. Oblane mleczną czekoladą herbatniki znalazł w jednej z szafek, ale Olka nawet nie spojrzała na ciastka i ze wstrętem odsunęła na bok

niewielki deserowy talerzyk.

- Opowiesz mi, co się stało dziś w nocy? Czemu się pokłóciliście? - zapytał, kiedy z kubkiem gorącej herbaty w dłoni usiadł obok niej na wygodnej ciemnozielonej sofie.

Olka odłożyła na szklaną ławę strzępy, które zostały z chusteczki, i spojrzała Wojtkowi prosto w oczy.

- Jurek powiedział mi, że ma hifa. I że najprawdopodobniej zaraziła go kobieta, z którą półtora roku temu miał romans. Zadał się z tą zdziwą tuż przed naszym ślubem, wyobrażasz sobie?! Dziś w nocy płakał, błagając mnie o przebaczenie. Dowiedział się, kiedy ona zadzwoniła, żeby mu powiedzieć, że robiła testy i okazało się, że jest nosicielką. On też zrobił i okazało się, że złapał wirusa. Więc pewnie wychodzi na to, że ja również jestem zarażona. - Ponownie się rozszłochała i wyjęła z opakowania kolejną chusteczkę. - Kiedy mi powiedział, a potem błagał o wybaczenie, wpadłam w szal i rozwaliałam mu pięścią nos. A kiedy zalany krwią wyciągnął do mnie rękę, błagając, żebym go przytuliła, kazałam mu wypierdalać. Mówiłam okropne rzeczy. Że dom wybudował mój tato i ma się wynosić, że jest cholernym skurwysynem, że nigdy mu nie wybaczę, bo zniszczył mi życie... Najgorsze jest to, że nawet nie dotarł do mnie sens jego słów, nie myślałam o tym, że jest śmiertelnie chory. Myślałam tylko o sobie, sobą się przejęłam, nie nim. Ale czy można mi się dziwić? W jednej chwili dowiedziałam się, że mąż mnie zdradził i zaraził tym syfem. Pamiętam, że rozbiłam jeszcze kubek, który roztrzaskał się o ścianę tuż nad jego głową. Wtedy poszedł na górę, przebrał się i wyszedł. Z okna

widziałam, że wsiada do auta. Po jego wyjściu nie mogłam sobie znaleźć miejsca, byłam jak otępiała. By czymś się zająć, ogarnęłam dom, nastawiłam pralkę, a w końcu wyłączyłam komórkę, poszłam na dworzec i złapałam pociąg do Kołobrzegu. Chciałam pogadać z Martą, z którą przyjaźnimy się od lat, ale kiedy przyjechałam, okazało się, że jest w Hamburgu. Klucze dostałam od pani Felicji, która tu sprząta, i oto jestem. W dodatku przez cały dzień prześladowała mnie myśl, że nie zaprałam tej plamy krwi z nowego dywanika. Jakby to było ważne...

- Kurwa... - szepnął Kiciuś, wstrząśnięty wyznaniem Aleksandry.

- Właśnie.

- Może nie jesteś nosicielką?

- Nosicielką! Czy ty w ogóle słyszysz, jak to obrzydliwie brzmi?! - wygięła wargi w brzydkim grymasie i ukryła twarz w dłoniach. - Całe życie zmarnowane, przecież to już koniec! Półtora roku po ślubie zostałam wdową po samobójcy, w dodatku najprawdopodobniej mam hifa!

- Tego jeszcze nie wiesz.

- A jakie jest prawdopodobieństwo, że go nie złapałam?! Sypialiśmy ze sobą regularnie, zazwyczaj bez zabezpieczenia! - krzyknęła, a Kiciuś się wzdrygnął.

Od dawna miał obsesję na punkcie chorób, które można złapać w pościeli, i od zawsze się bał, że Gośka może go z kimś zdradzić i czymś zarazić. A teraz dobitnie się przekonał, że takie rzeczy się zdarzają, i to nie gdzieś tam, w telewizji, ale tuż obok, w sąsiedztwie... Nie, żeby nie ufał

Goście. Kochali się, wierzył, że jest mu wierna. A jednak...

- Zabił się, bo go wyrzuciłam i wykrzyczałam mu w twarz wszystkie te okropne rzeczy - powiedziała cicho Ola.

- Zabił się, bo nie potrafił utrzymać fujary w spodniach i spierdolił wam życie! - warknął Kiciuś, nagle wściekły na nieżyjącego kolegę.

- Myślisz, że to moja wina? Bądź ze mną szczery, Wojtek.

- Twoja wina? Olka, o czym ty mówisz?! Miałaś prawo zareagować gwałtownie, dowiedziałaś się właśnie, że twój mąż najprawdopodobniej zaraził cię hifem!

- Tak, ale...

- Olka, to nie twoja wina. To była jego durna, zupełnie bezsensowna decyzja! - podał Aleksandrze kolejną chusteczkę i położył dłoń na jej ramieniu. - Wszystko jakoś ci się poukłada, zobaczysz - pocieszył ją, chociaż prawdę mówiąc, nie wyobrażał sobie, że coś takiego mogłoby jego spotkać.

Rozmawiali jeszcze przez godzinę, Kiciuś zaczął się zbierać, dopiero kiedy przyjechał ojciec Aleksandry.

Na widok gliniarza wymownie się skrzywił.

- Nachodzi pan moją córkę?! - zapytał ostrym tonem.

- Tato! Przecież z Wojtkiem się znamy, przyjechał jako przyjaciel! - krzyknęła Ola.

Wyraźnie poirytowany Łukasiak parsknął gniewnie, i zanim zatrzasnął Kicińskiemu drzwi przed nosem, podsumował:

- Przyjaciel? To policjant, nie zapominaj o tym!

- Uroczo - mruknął Wojciech, ruszając w stronę schodów.

Dojeżdżał do domu, kiedy zadzwoniła do niego Hanka

i oznajmiła:

- Kiciuś, podjedź na plebanie. Podobno ktoś dźgnął księdza nożem.

- Co ty mówisz? Proboszcza?

- Nie, księdza Mateusza, nowego wikarego. Jest w szpitalu, ale trzeba pogadać z gosposią.

- Była wtedy na plebanii?

- Tak i chyba...

Wojciech nagle stracił zasięg i nie usłyszał nic więcej.

- Kurwa! - zaklął, rozłączając się.

Na plebanie dotarł głodny i potwornie zmęczony, jakby natłok złych wydarzeń doszczętnie pozbawił go sił. Idąc w stronę nowej księżej siedziby, aż gwizdnął z uznaniem. Panoramiczne okna, kolumnienki, olbrzymie balkony - parafianie od lat składali się na nowe gniazdko dla kleru i proboszcz w końcu dopiął swego. Budynek wyglądał imponująco i był ze cztery razy większy od starego domu parafialnego, który obecnie pełnił funkcję kancelarii. Skąd wzięli kasę na budowę tego molocha? Bo chyba nie z „co łaska”?, zastanawiał się, wchodząc na przestronną werandę.

Otworzył mu proboszcz, chorujący na parkinsona ksiądz Wiktor, który w dzinsach i brązowym swetrze wyglądał co najmniej osobliwie. Kiciuś pierwszy raz widział starego księdza w świeckim stroju, dlatego przez chwilę stał w progu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Wejź, synu.

Gdy to usłyszał, posłusznie przekroczył próg plebanii.

Maria Lipińska, trzydziestokilkuletnia gosposia, zalana

łzami siedziała przy kuchennym stole.

Naprzeciwko niej usiadł milczący i posępny ksiądz Wiktor.

- Niech będzie pochwalony. - Kiciński, który co prawda uważał się za wierzącego, ale do kościoła chodził ostatnio coraz rzadziej, nagle poczuł się niezręcznie w obecności wiekowego kapłana.

- Na wieki wieków amen - odparł proboszcz trzęsącym się, słabym głosem.

- Może wie ksiądz, co tu zaszło? - zapytał Wojciech, odsuwając dla siebie krzesło.

- Dźgnęłam go - odezwała się siedząca dotąd w milczeniu gosposia i gwałtownie się rozszłochała. - Ja nie chciałam, tylko...

Kiciuś osłupiał. Takiej wersji zdarzeń się nie spodziewał. Był pewny, że młoda gospodyni po prostu widziała sprawcę, ale że to ona? Na to by nie wpadł.

- Zostawię was samych - zdecydował ksiądz Wiktor.

- Nie, proszę zostać. My pojedziemy na komendę - oznajmił Kiciuś. - Chodź, Marysiu. Opowiesz mi, jak było - zwrócił się do gosposi, z którą kiedyś przyjaźniła się jego kuzynka.

Kiedy wstała zza stołu z rękoma splecionymi na olbrzymim ciężowym brzuchu, poczuł falę współczucia. Co tu zaszło, że ta cicha, drobna i zawsze uśmiechnięta młoda kobieta dźgnęła nożem księdza? - zastanawiał się, kiedy szli w stronę toyoty.

W drodze na komisariat milczeli. Maria zatopiona w myślach, on coraz bardziej głodny, z bólem gardła i głowy.



Kiedy dotarli na komendę, czekały już na nich Hanka z Niną.

- Posadźcie ją w sali przesłuchań i dajcie mi pięć minut. Muszę skoczyć do kibla i czegoś się napić - powiedział Wojciech.

- Idź, idź. Tylko migiem - rozbawiona faktem, że Kicius melduje potrzebę skorzystania z toalety, Piasecka posłała mu szeroki uśmiech, a Nina mruknęła, że herbatę może wszystkim zaparzyć któryś z posterunkowych.

- Dobry pomysł, poproszę Ewkę - zgodziła się z nią Hanka.

Kiedy wrócił do sali, sierżant Piasecka kładła na stole dyktafon, a prokurator Morawska uruchamiała kamerę.

- Przesłuchanie Marii Lipińskiej podejrzanej o ugodzenie nożem księdza. Obecni: prokurator Nina Morawska, sierżant Hanna Piasecka i starszy sierżant Wojciech Kiciński - powiedział, dodając godzinę i datę, a po chwili spytał, patrząc na podejrzaną: - Jak to się stało?

- Ja nie chciałam, naprawdę. - Lipińska znowu zaczęła płakać, a na jej szyi pojawiły się brzydkie czerwone plamy.

- Nie chciałaś, ale ojczulek leży właśnie na SOR-ze z nożem w ramieniu, więc chyba jednak masz nam coś do powiedzenia? - odezwała się Nina.

Kicińskiego zaskoczył jej szorstki ton. Spodziewał się łagodniejszego traktowania będącej w zaawansowanej ciąży młodej kobiety. Z drugiej jednak strony Nina była przecież niezłą żoną, o czym wiedzieli wszyscy. Może akurat ma zły dzień...

- Poszło o chrzest - powiedziała cicho Lipińska.

- Jaki chrzest? - zdziwiła się Nina.

- Dziecka. - Gospoia pogładziła się po ciążowym brzuchu.  
- Za półtora miesiąca rodzę i chciałam zapytać o termin, ale ksiądz Mateusz warknął, że nawet jeszcze się nie urodziło, a ja już chcę chrzcić. Tak mnie te jego słowa rozstroiły... Jakby chciał powiedzieć, że przecież jeszcze wszystko może się wydarzyć, a dzieci często umierają po przyjściu na świat. Tak to odebrałam. Ale nalegałam, chciałam się wszystkiego dowiedzieć. Wtedy ksiądz Mateusz powiedział, że w sumie to trzeba będzie to wszystko jeszcze przemyśleć, bo dziecko jest bez ojca i za taki chrzest to będzie większa opłata. I wyjechał mi z kazaniem. Że puszczać się nie powinnam, że dziecko na smutne dzieciństwo skazałam, takie straszne rzeczy mi mówił. A przecież ja nie wiedziałam, że mnie Mariusz zostawi, obiecywał ślub, mówił, że kocha... No ale ksiądz Mateusz potraktował mnie jak ścierkę. Mówił o nieślubnych dzieciach i piętnie, jakie na sobie noszą przez całe życie, i wtedy krzyknęłam, że to już nie średniowiecze. Wtedy się na mnie zezłościł... Zaczął krzyczeć, żebym poszła się pomodlić i zrozumiała, jaki podły start zapewniłam swojemu synowi. A ja sobie przypomniałam wszystkie te eleganckie kolorowe koszule, które dla niego prasowałam i...

- Koszule? - zdziwiła się Morawska.

- No koszule, zwłaszcza w czwartki i piątki. Bo on wtedy późnymi wieczorami wymykał się z plebanii, kiedy ksiądz Wiktor już spał. Proboszcz kładzie się wcześniej, chory jest, zawsze zmęczony. A ksiądz Mateusz jeździ do kochanka, taka jest prawda. Wystrojony, wypachniony, tym swoim

szpanerskim audi dwa razy w tygodniu pędzi do sąsiedniej parafii, żeby się spotkać z tamtejszym wikarym. No i tak sobie przypominałam to wszystko... To, jak się pindrzy przed tymi randkami. Jak wybiera koszule i ile ich ma. Kilka z metkami najdroższych włoskich butików, sama widziałam! I on, ten zepsuty, zakłamany, pierdolony hipokryta ma czelność prawić mi kazania?! – podniosła głos i rzuciła złe spojrzenie do kamery. – Nie chciałam go dźgnąć. Ale kiedy powiedział, że bezmyślne i puszczalskie kobiety zazwyczaj marnie kończą, coś we mnie wstąpiło. Nóż akurat miałam w ręku, bo proboszcz musiał zażyć leki i robiłam mu kanapki. A ksiądz Mateusz przyglądał mi się z taką pogardą i wtedy tak jakoś... Ale ja nie chciałam mu zrobić krzywdy. – Lipińska znowu się rozplakała.

– Proszę, proszę... Puszczalskie marnie kończą... To zakłamany gnojek – rzuciła przez zęby Nina. – Widzę, że Kościół nadal ma wiele do zaoferowania nam, kobietom – dodała z przekąsem.

– Ksiądz nie chce wnosić skargi. Rana jest powierzchowna, a on nie chce robić kłopotów ciężarnej kobiecie. – W sali przesłuchań pojawiła się Ewa z herbatą. – Proboszcz właśnie dzwonił i prosił, żebym wam przekazała.

– Jak szlachetnie z jego strony – wycedziła Nina, wstając. – W takim układzie nie widzę sensu kontynuowania tej rozmowy. Chodź, podrzucę cię do domu – zwróciła się do Marii, tym razem znacznie łagodniejszym, niemal ciepłym tonem. – Dzięki wszystkim – dodała, sięgając po teczkę.

Kiedy wyszły, Kiciuś wyłączył kamerę i parsknął śmiechem.

- Słyszałaś? Ksiądz ma kochanka.
- Nie wiedziałaś? Przecież już z pół roku temu ktoś mówił, że widział go z jakimś młodym przystojniakiem. Całowali się ponoć w lasku przy fortach.
- Żartujesz? Może to tylko plotka?
- Nie. Wszyscy wiedzą, że ksiądz Mateusz jeździ na randki do sąsiedniej parafii. Tamtejszy proboszcz jest przygłuchy i nasze święte kochasie mogą swawolić do woli.
- Tak po prostu? Na plebanii, pod okiem tego starego? Rzygać się chce. Człowiek niby chciałby w coś wierzyć, ale jak widzi tę zgniliznę, to mu się odechciewa...
- I coś się tak nagle oburzył? To dla ciebie nowość, że wśród księży zdarzają się homoseksualne związki? - Hanka dojadła zostawione przez kogoś na stole ciastka. - Chodź, skoczmy na pizzę - zaproponowała.
- Nie, zmęczony jestem, chcę się walnąć na kanapę z piwem i chociaż przez chwilę nie myśleć o całym tym cholernym świecie.
- Tylko nie mów, że masz kryzys wiary? - podkpiwała Piasecka.
- Mam kryzys wiary w ludzi. O Bogu nawet już nie chce mi się myśleć, przynajmniej dzisiaj.
- No, ale jakkolwiek by na to patrzeć, Bóg okazał się łaskawy i księżulo nie złożył skargi - mrugnęła do niego Piasecka. - To cześć, do jutra.
- Cześć - powiedział Wojtek i dopił herbatę. Kiedy dotarł do domu, Gośka robiła popcorn.
- Na TVN7 będzie *Pożegnanie z Afryką* - rzuciła na jego

widok.

- Chryste, tylko nie to - jęknął. - Ile jeszcze razy będę to musiał z tobą oglądać?

- Zawsze, misiu. - Cmoknęła go w policzek i klepnęła w pośladek. - Leć pod prysznic, za dwadzieścia minut film.

- Piwo kupiłeś?

- Tak.

- Dzięki - mruknął, odpinając pas z bronią, którą zaniósł do sypialni i schował do najniższej szuflady nocnej szafki.

Dawniej trzymał ją w metalowej skrzynce w spiżarni, ale od jakiegoś czasu chciał ją mieć pod ręką, zwłaszcza nocami. Mieszkali w centrum miasteczka, nie była to odludna okolica, a jednak chciał mieć pewność, że w razie jakiegokolwiek zagrożenia zdoła obronić siebie i Gośkę. A może po latach oglądania przemocy i ludzkich dramatów zaczęło mu odbijać?

Kiedy wyszedł spod prysznic, Gośka zdążyła już zalec na ich łóżku z olbrzymią miską popcornu. Na niego czekało piwo i kilka plasterków salcesonu, za którym przepadał.

- Siadaj, zaczyna się! - pogłośniła telewizor i zapatrzyła się w ekran.

- Miałam farmę w Afryce - mruknął Kiciuś, przedrzeźniając filmową bohaterkę.

Gośka szturchnęła go w bok i syknęła:

- Nie bądź dupkiem! Uwielbiam ten film.

Usiadł więc na łóżku, oparł się o spiętrzone poduszki i zajadając salceson, gapił się w plazmę. Przez pierwsze pół godziny przez jego głowę przewijały się pełne krwi

i przemocy obrazu, które widywał w ostatnich dniach, jednak w końcu zdołał je odegnąć i się uspokoić. Film go nudził, ale obecność Gosi była kojąca, i siedząc wśród pełnej rozsypanego popcornu pościeli, po raz chyba tysięczny zdał sobie sprawę, jak wiele miał szczęścia, trafiając właśnie na nią. Kochał ją, szalał za nią, była jego bezpieczną przystanią wśród całego tego chaosu. Kimś, kogo widok sprawia, że chce się żyć. Kobieta, dla której zabiłby gołymi rękoma, gdyby tylko musiał.

- Nie mów, że śpisz! - Mniej więcej w połowie filmu Gośka szarpnęła go za ramię. - Przecież zaraz ta najważniejsza scena!

- Cholera - syknął, zbyt gwałtownie podciągając się w górę. - Plecy...

- Biedny misiu. - Wsunęła dłoń pod kołdrę i pogłaskała go po brzuchu, ale ani na moment nie oderwała wzroku od ekranu.

- Aleś zapatrzona... Zaczynam podejrzewać, że Redford jest przystojniejszy ode mnie - wysilił się na kiepski żart.

- Serio? Jak na to wpadłeś?

- Chodź do mnie. - Złapał za leżącego pomiędzy nimi pilota i pomimo protestów Gośki, wyłączył telewizor, a później pocałował ją w usta i wsunął dłoń pod jej nocną koszulkę.

- Wojtek, oglądałam! - zaprotestowała, ale nie słuchał.

Kochali się wśród rozsypanego popcornu. Wolno, nieśpiesznie, leniwie. Chciał ją czuć całym sobą, zatopić się w jej ciele, zapomnieć o całym tym pochrzanionym świecie, który czaił się gdzieś za oknem, i przez chwilę prawie mu się

to udało. Czar przysł, kiedy się z niej wysunął, a Gośka wymacała zagubionego w pościeli pilota i z powrotem włączyła telewizor.

- Chcę tylko zobaczyć samą końcówkę - powiedziała.

- Wiedziałem, że telewizor w sypialni to chujowy pomysł. - Kiciuś, nie ukrywając poirytowania, wyszedł z łóżka i z kolejnym piwem w dłoni samotnie usiadł przy kuchennym stole.

Pijąc, myślał o Krzysztofie. Gdyby Bugi żył, mogliby na moment wyskoczyć do Kapitana. Ale Krzyśka już nie było i ta myśl sprawiła, że w bezsilnej złości rąbnął pięścią w stół. Niech to wszystko szlag!

## 22

Jeremi zamykał subaru, kiedy przed furtkę wyszła Monika Wiśniewska i pomachała w jego stronę.

- Ma pan może chwilę? - zapytała, zapinając wściekle pomarańczową kurtkę, w której wyglądała trochę jak drogowiec, a trochę jak skazana w więziennym uniformie. - Bo miałabym do pana taką prośbę... - dodała tonem, w którym Jaromirski usłyszał zarówno niepewność, jak i nutę kokieterii.

Świetnie, jeszcze nawet nie wszedłem do domu po całym dniu pracy, a już mi wisi nad głową, pomyślał. Jednak chcąc być uprzejmy, powiedział, że owszem, chwilę znajdzie, po czym spytał:

- A co się dzieje?

- Chodzi o nowy obraz. Zawiesi mi go pan?

- Jasne, tylko coś zjem.

- Na wczesną kolację zapraszam do mnie. Mam akurat domowe kromki i barszcz.

- Widzę, że lubi pani gotować - powiedział, wyjmując z samochodu niewielki plecak, który codziennie zabierał do pracy.

- Uwielbiam! Już jako trzynastolatka kochałam przesiadywać w kuchni. - Posłała mu szeroki uśmiech i zaproponowała, żeby zaczęli sobie mówić po imieniu. - Jeśli nie masz nic przeciwko...



- Nie mam - odparł, chociaż wciąż nie był zachwycony tym, że ona tak bardzo chce się z nim zaprzyjaźnić.

A przynajmniej bliżej go poznać. Co mi odwaliło, żeby zamieszkać z właścicielką mieszkania pod jednym dachem, chyba po raz dziesiąty zapytał sam siebie, ale kiedy kwadrans później Monika postawiła przed nim talerz z krokietami i garnuszek barszczu, już tak bardzo nad tym nie ubolewał...

- To jest fantastyczne! - zachwycił się, dojadając kroieta.

- Z przepisu mojej babci. Dokładkę?

- Nie żartuj, chybabym pękł - uśmiechnął się i nabił na widelec ostatni kawałek. - Rewelacyjne - dodał z pełnymi ustami. - I te kiszone ogóreczki... Palce lizać!

- Sama robiłam. Co roku robię przynajmniej trzydzieści słoików - pochwaliła się Wiśniewska.

- Trzydzieści? To dla całego pułku chyba?

- Zje się, jak zawsze. Ogórki dobre do wszystkiego. - Wzruszyła ramionami.

Kiedy skończył i zaniósł talerze do zlewu, sąsiadka wręczyła mu wiertarkę i niewielki obrazek z ręcznie malowanym kolibrem.

- Myślę, że będzie dobrze wyglądał nad łóżkiem - powiedziała, kiedy weszli do niewielkiej pomalowanej na ciemnoróżowo sypialni.

Na widok siedzących na beżowej narzucie pluszowych maskotek Jaromirski lekko się uśmiechnął.

- Cóż, nie da się ukryć... Bywam infantylna. - Wesoło mrugnęła do niego.

Sięgnął po największego miśka z naderwanym uchem, podrzucił go, trącając przy okazji w żyrandol, i odstawił maskotkę na miejsce.

- I kto tu jest bardziej dziecinny? - zaśmiała się Wiśniewska.

Obrazek zawiesił raz-dwa, szczęściem obeszło się bez żadnej wpadki.

- Dziękuję! Przez trzy miesiące trzymałam go w szufladzie, bo jakoś nie miał mi go kto zawiesić. - Z zachwytem przyjrzała się zdobnej w nowy detal ścianie. - Jak sądzisz? Pasuje?

- Nie wiem, nie moja sypialnia. - Jeremi mrugnął do niej.

- Fakt, nie twoja. - Uśmiechnęła się trochę zażenowana. - Słuchaj, robię dziś grilla. Pogoda ma być znośna, trzeba korzystać z tego, że nieco się ociepliło. Wpadnij - zaproponowała.

Zawahał się.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Pewnie przyjdą twoi starzy znajomi, będę wam przeszkadzać...

- Daj spokój, przyjdź. Jeśli myślisz, że będziesz się narzucać, to nic bardziej mylnego - zapewniła.

- Okay, zajrzę do was na chwilę - obiecał, czując, że takiej właśnie odpowiedzi oczekuje Wiśniewska.

Dochodziła dwudziesta pierwsza, kiedy z butelką dobrego czerwonego wina zszedł do udekorowanego lampionami ogrodu. Na jego widok ucichła większość rozmów i poczuł się speszony.

- Ludzie, to jest Jeremi, mój nowy lokator i bohaterowski

mężczyzna, który potrafi się posługiwać wiertarką! – krzyknęła Monika i kilka osób się roześmiało.

- Cześć i chwała bohaterom! – krzyknął jakiś wyraźnie podpity koleś, a Jeremi lekko się skrzywił.

Tak jak przypuszczał, od początku czuł się niekomfortowo. Ale skoro już przyszedł, to zostanie...

- Serwus, jestem Dariusz. Mieszkam w tym domu z beżową fasadą, po drugiej stronie ulicy. – Jako pierwszy podał Jeremiemu rękę wysoki, masywnie zbudowany brodacz w ciemnych dżinsach i czerwonej watowanej kamizelce z kapturem. – A ta brunetka w beżowej kurtce to moja żona Agnieszka. Aga, chodź na moment! – zawołał, a drobna młoda kobieta ruszyła w ich stronę.

- Miło mi. – Jeremi uściśnął facetowi rękę, przywitał się z jego żoną i usiadł na jednym z rozstawionych wokół paleniska pniaków.

Choć trochę wypił i przez chwilę porozmawiał z atrakcyjną blondynką, to jednak czuł się wyobcowany i samotny. Otaczające go towarzystwo znało się od lat, a żarciki czy anegdoty, które wymieniali stojący wokół niego ludzie, raczej średnio go bawiły. Może dlatego już po godzinie i porcji naprawdę niezłych żeberek wykręcił się z imprezy, kłamiąc, że musi jeszcze podejść na komendę.

Długi samotny spacer nieco go zrelaksował i pozwolił mu się wyciszyć. Przez następne półtorej godziny kręcił się po miasteczku, zaglądając do kilku pubów w centrum i przyglądając się ludziom. W Kapitanie, do którego zajrzał na sam koniec, usiadł przy barze i zamówił piwo. Barmanka

usiłowała go wciągnąć w rozmowę, ale szybko ją zbył i przeniósł się do stolika w samym kącie sali.

Dopijał browara, kiedy w lokalu pojawił się Wojciech Kiciński z wyższą od siebie atrakcyjną laską, którą trzymał za rękę. Jeremi zerknął w ich stronę, zastanawiając się, czy kolega podejdzie do niego i przedstawi mu swoją pannę, ale Kicius tylko skinął głową i usiadł w innej części sali, odwracając się do niego plecami. I kij ci w oko, dupku, pomyślał Jaromirski, wstając. Przechodząc obok stolika Kicińskiego, nie zatrzymał się i nie pożegnał. Minął go bez słowa i pchnął ciężkie wyjściowe drzwi.

Zanim ruszył w stronę domu, poszwendał się po porcie, zrobił kilka zdjęć i dał dychę cuchnącemu szczytnami staruchowi, który zaszedł mu drogę, błagając o parę groszy na jedzenie. W końcu wrócił na Klonową, ale choć w ogrodzie w najlepsze trwała zakrapiana zabawa, nie pojawił się już na tyłach domu. Z książką w ręku zaszył się w niewielkiej sypialni i do północy czytał najnowszy kryminał Karin Slaughter. Dopiero kiedy dopadła go senność, odłożył powieść na nocną szafkę, wziął szybki prysznic i położył się.

Nie dane mu jednak było szybko zasnąć, bo spod okna dochodziły pijackie śmiechy, radosne przyśpiewki i kobiece piski. Słuchając rozbawionych głosów, pomyślał o swoich szczecińskich przyjaciółach, których teraz będzie widywał tylko sporadycznie. Może ta spontaniczna, nieprzemyślana do końca decyzja o wyjeździe nie była aż tak fortunna, jak mu się na początku wydawało? Ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Spakował manatki, zerwał z przeszłością,

i oto był na tym zalesionym nadmorskim zadupiu, gdzie prędzej czy później musi się jakoś zaaklimatyzować. Innej opcji raczej nie miał.

## 23

Klara trzeci wieczór z rzędu zachodziła do pubu Kapitan z nadzieją, że niby przypadkiem wpadnie na przystojnego aspiranta Jaromirskiego, i oto w końcu spełniły się jej marzenia. Tyle że Jeremi w ogóle nie zwracał na nią uwagi, nie miała nawet pojęcia, czy ją zauważył. Siedział przy stoliku z kilkoma innymi gliniarzami, wśród podpitych mężczyzn zauważyła również Wojciecha Kicińskiego. Pili sporo, ale niewiele rozmawiali. Klara domyśliła się, że urządzili coś w rodzaju nieoficjalnej stypy po zmarłym koledze. Wiedziała, że pogrzeb sierżanta Jerzego Pietruszki odbył się tego dnia rano.

Przyglądała im się znad kufła z piwem, coraz bardziej nieswojo czując się w pełnym facetów pubie. W Szczecinie w tego typu lokalach przesiadywały też kobiety, tutaj w jakichś dziewięćdziesięciu pięciu procentach lokal wypełniali mocno pijani faceci - oprócz niej i młodej barmanki, przy barze siedziała tylko jedna ciemnowłosa kobieta koło czterdziestki, która nie zwracając uwagi na otoczenie, nieśpiesznie sączyła swojego drinka.

W rogu sali przekrzykiwała się grupa Niemców w średnim wieku i Klara skrzywiła się na myśl o nadchodzącym nieubłaganie sezonie. Teraz, w kwietniu, pojawiali się jeszcze sporadycznie, ale wraz z długim majowym weekendem zjadają się tłumy. Nienawidziła tłoku. Plaża pełna spoconych

i błyszczących od olejków do opalania ciał, traciła dla niej cały urok. Z drugiej jednak strony nie było chyba atrakcyjnego turystycznie miejsca, w którym nie byłoby tłumów, pomyślała, dopijając piwo.

- Jeszcze raz to samo? - Barmanka z warkoczykami wyrosła przed jej stolikiem i ze znudzoną miną przetała blat.

- Dzięki, chyba mam już dość. - Klara posłała jej uśmiech i sięgnęła po torebkę.

Wyśle kilka esemesów i wychodzę, zdecydowała. Pisała do matki, kiedy do Kapitana wszedł jasnowłose i wyraźnie pobudzony młody mężczyzna z... siekierą. Początkowo myślała, że to jakieś jaja. Że ktoś kogoś wkręca, a ktoś inny zaraz parsknie śmiechem. Dopiero kiedy nowo przybyły zaczął naprawdę dziwnie się zachowywać, zdała sobie sprawę, że z kolesiem jest coś nie tak. Część pubowych gości też zauważyła nietypowe zachowanie chłopaka i zaczęła otwarcie się mu przyglądać, parę osób na widok siekiery czmychnęło w głąb lokalu.

- Śledzą mnie, są za mną - mamrotał chłopak, osłaniając twarz przedramieniem, jakby raziło go słońce. - Są tu, o Boże, są za mną! - krzyknął, kręcąc się wokół własnej osi, jakby chciał zajrzeć w każdy możliwy ciemny kąt jednocześnie.

Rękę, w której trzymał siekiere, miał opuszczoną i nieruchomą, jednak poruszał się coraz gwałtowniej, wykonując chaotyczne nerwowe ruchy, aż w końcu zaczął nią wymachiwać.

Spanikowana Klara przebiegła pomiędzy stolikami i uciekła

w głąb lokalu.

- Zostaw mnie! Kurwa, zostawcie mnie! - krzyknął chłopak, biorąc zamach siekierą, jakby bronił się przed niewidzialnym wrogiem.

Gliniarze wstali ze swoich miejsc i ruszyli w jego stronę.

- Spokojnie, synu - odezwał się Marian Oziębłowicz... i zatoczył się, wpadając na krzesło.

Skulona w kącie Klara wybrała numer pogotowia i zadzwoniła na policję, bo według jej oceny ci, którzy byli pod ręką, mieli za mocno w czubie, żeby ogarnąć sytuację. Rozmawiała z dyspozytorką, kiedy skrajnie pobudzony chłopak, mamrocząc coś do siebie, cisnął siekierę w głąb lokalu. Klara zaniemówiła, czas jakby się zatrzymał, a sekundy rozciągnęły się w nieskończoność. Widziała jedynie Jeremiego Jaromirskiego, który z imponującym refleksem odepchnął Kiciusia, a sam zanurkował pod stół. Siekiera wbiła się w podłogę tuż obok jego łydki, a kilka osób nerwowo się zaśmiało. Oziębłowicz razem z jednym z posterunkowych ujęli chłopaka pod ręce i usiłowali usadzić za stołem, ale dzieciak wił się, szarpał i wyrywał. Klara pomyślała, że wygląda niczym opętany, jakby wstąpiła w niego jakaś nadludzka siła.

- Zajebią mnie, zapierdolą! Oni tu są! - krzyczał, rzucając na boki głową.

Z ust ciekła mu ślina, w oczach miał szaleństwo. Klara pomyślała, że to schizofrenik albo ogarnięty silną psychozą amator dopalaczy. Niedawno w Szczecinie miała miejsce cała seria tego typu niepokojących zdarzeń.



- Nic ci nie jest? - Jeremi podszedł do niej, kiedy chowała telefon do torebki.

- Nic. Za to brawo ty - odparła z uśmiechem.

Wzruszył ramionami, jakby chciał zbagatelizować zarówno swoje bohaterstwo, jak i całe zajście.

- Nie z takich sytuacji się wychodziło - mruknął.

Chwilę później podszedł do niego Kiciński, który klepnął go w ramię i pociągnął w stronę baru.

- Dzięki, stary. Masz u mnie kilka kolejek - powiedział.

Jeremi zauważył, że Wojciech wygląda na nieco zażenowanego. Najwidoczniej było mu głupio, że uratował mu dupę ktoś, kogo dotąd traktował jak powietrze. Jednak piwo wypili w zgodzie i nawet zaczęli normalnie ze sobą rozmawiać. Po chwili dosiadło się do nich dwóch innych gliniarzy i po raz pierwszy od przyjazdu do tego miasteczka Jaromirski poczuł się częścią nowego zespołu.

Kiedy przyjechała karetka, w pubie zrobiło się zaskakująco tłoczno. Kilka osób musiało zadzwonić po znajomych, bo gapie sterczeli nawet w oknach, zaglądając do środka z zewnątrz.

Wygląda tak młodo, pomyślała Klara ze współczuciem, kiedy sanitariusze usiłowali spacyfikować pobudzonego chłopaka. W końcu, z pomocą przybyłych na miejsce posterunkowych udało się go przypiąć pasami do noszy i wynieść z lokalu, co wywołało falę pełnych uznania gwizdów i oklaski ze strony przyglądających się całej akcji pijanych Niemców.

Klara wróciła do stolika, przy którym siedziała uprzednio,

a po drodze zamówiła kolejne piwo, choć jeszcze przed chwilą miała już dość.

- Po tak traumatycznych przeżyciach na koszt firmy. - Barmanka puściła jej oczko. - Tylko nie mów tym opojom, bo pójdziemy z torbami.

- Dzięki. - Klara uniosła kufel w geście pozdrowienia i zerknęła na Jaromirskiego.

Siedział obok Kiciusia, obaj nad pełnymi kuflami jasnego pszenicznego. Nie rozmawiali, a jednak dało się dostrzec jakąś zmianę w ich zachowaniu, nie sprawiali już wrażenia udręczonych swoim towarzystwem.

Zerknęła na komórkę i odpisała na wiadomość, którą właśnie otrzymała. Matka pytała, kiedy wraca do Szczecina, i przesłała pozdrowienia od swojej siostry. Odpisała, że jeszcze nie wie, kiedy wróci do domu, i wyłączyła telefon.

Policjanci z patrolu zaczęli rozmawiać z siedzącymi przy stoliku gliniarzami i w pubie znowu zrobiło się głośno. Klara dopiła piwo i niepewnym krokiem ruszyła w stronę toalety. Mijając stół, przy którym siedział Jaromirski, posłała w jego stronę przeciągłe i nieco tęskne spojrzenie, ale ciemnooki gliniarz znowu nawet na nią nie spojrzał. Dupek, pomyślała ze złością. Arogancki przystojniaczek, któremu się pewnie wydaje, że może mieć każdą! Ale ona nie będzie już za nim biegać! Dość tej żenady, powiedziała sobie, wchodząc do łazienki.

Myła ręce, kiedy zadzwoniła jej komórka. Numer był nieznanym. Wytarła wilgotne dłonie w dzinsy i sięgnęła po telefon.

- Halo?

- Policjant, który się zastrzelił, miał hifa - usłyszała obcy męski głos.

- Kto mówi?! - zapytała ostrym tonem, ale rozmówca już się rozłączył.

Wybrała jego numer, ale nie odebrał. Zapisała go więc w kontaktach i wyszła z łazienki. Jeśli było prawdą to, co usłyszała, mogłaby z tego zrobić ciekawy artykuł do którejś z lokalnych gazet. Gliniarz dowiaduje się, że ma hifa, i strzela sobie w łeb. Szybko jednak wyobraziła sobie reakcję tej zżytej, niewielkiej społeczności, tę wrogość, jaką by jej okazali, gdyby to opublikowała. Jeśli chciała działać coś w sprawie Bugaja, żyć z nimi w przyjaźni i mieć sojusznika chociażby w Kicińskim, nie mogła się zajmować takimi brudami. Jednak Wojciechowi mogłaby chyba powiedzieć? Być może głowią się teraz, co było powodem tak dramatycznej decyzji? - zastanawiała się, wychodząc z łazienki.

Kiciński stał przy barze. Wyglądał na mocno pijanego, ale nie na tyle, żeby nie mogła z nim pogadać.

- Jerzy Pietruszka miał hifa i być może zaraził nim żonę. Dlatego się zabił - powiedziała, korzystając z chwili, kiedy nikt się przy nich nie kręcił.

- Skąd to wiesz?! - Łypnęła na nią nienawistnie.

- Wiem. Ale widzę, że i ty już wiesz.

- Pytałem, skąd ty to wiesz?! Chyba nie przyjdzie ci do głowy, żeby to rozgadać, co?! Pomyśl o jego żonie! - Wojciech złapał ją za ramię i zacisnął palce.

Syknęła z bólu i szarpnęła ręką.

- Hej, Kiciuś, co jest! Zostaw panią! - Jeden z gliniarzy podszedł do nich i kazał Wojciechowi spadać.

Posłała mu uśmiech i z kurtką w ręku wyszła z lokalu. Było jej przykro, że to nie Jaromirski stanął w jej obronie, i miała sobie za złe, że jak ostatnia naiwna poszła do Kicińskiego z wieściami, które powinna zachować dla siebie. Chociaż sądząc po jego reakcji, wcale nie był zaskoczony jej nowiną.

W drodze do Mewy, mijając marnie oświetlony i pusty o tej porze miejski skwer, przypomniała sobie historię brutalnie zgwałconej ostatniego lata letniczki i lękliwie obejrzała się przez ramię. Była mniej więcej pośrodku skweru, kiedy w nikłym świetle jednej z nielicznych działających latarni zauważyła męską sylwetkę. Kurwa! - zaklęła w duchu i znacznie przyśpieszyła.

Dogonił ją przy ulicy i złapał za ramię.

- Nie mów o tym nikomu, słyszysz? Olka, jego żona, jest wystarczająco zdruzgotana tym, co się stało. - Kiciński stał tuż obok, zionąc odorkiem przetrawionego alkoholu. - Odprowadzę cię. Zatrzymałaś się w Mewie, tak?

- Skąd wiesz? - zapytała zaczepnie.

Roześmiał się i lekko się zatoczył.

- Jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś, w tej dziurze wszyscy wiedzą wszystko. Kto ci powiedział o Jurku? - zapytał, kiedy szli wzdłuż niewielkiego lasku za portem.

- Nie wiem kto. Zadzwoił do mnie jakiś facet.

- Olka się załamie, jeśli to się rozniesie.

- Nikomu nie powiem - obiecała.

- A co z Bugajem? Znalazłaś coś, co my przeoczyliśmy? - zapytał Wojciech.

Jego głos brzmiał kpiarsko i poczuła, że się czerwieni. Pewnie uważa, że jestem beznadziejną dziennikarką, pomyślała.

- Nic - przyznała cicho.

W milczeniu pokiwał głową, aż wreszcie wyznał:

- Nie ma dnia, żebym nie wyrzucił sobie, że nie potrafiłem go ochronić, a teraz jeszcze nie potrafię zamknąć tej cholernej sprawy. Krzysiek pewnie oka by nie zmrużył, gdyby szukał tego, kto mnie posłał na drugi świat, a ja...

- A ty robisz, ile możesz. - Położyła mu rękę na ramieniu, a on niespodziewanie przyciągnął Klarę do siebie i pocałował w usta.

Była tak zszokowana, że oddała mu pocałunek, jednak po chwili lekko odepchnęła Wojciecha.

- Co ty wyprawiasz? - roześmiała się nerwowo.

- Nie wiem, odwala mi. Pewnie przez ten pogrzeb. Kilka miesięcy temu Bugi, teraz Jerzyk. Człowiek zdaje sobie sprawę, że powinien żyć chwilą.

- I dlatego zabrałaś się do całowania obcej dziewczyny? - również podpita spytała z zaczepną kokieterią.

Jednak Wojciech już się z nią zegnał.

- Wybacz. Zrobiłem z siebie idiotę, ale to dla mnie nie nowość.

- Witam w klubie - mruknęła.

Łypnął na nią zaskoczony jej szczerością i spojrzał w kierunku pensjonatu Mewa, którego ciemne okna

świadczyły o tym, że pani Alina poszła już spać. Świeciła się jedynie lampa nad wejściem, rozświetlając ciemne kąty ogrodu.

- Dobrej nocy. Stąd powinnaś już trafić bez przygód - powiedział.

- Wojtek, czekaj! - zawołała za nim, kiedy był już kilkanaście metrów od niej.

Przystanął i odwrócił się w jej stronę, ale ona tylko machnęła ręką.

- Nie obwiniaj się o śmierć Krzysztofa, to niczego nie zmieni. Zresztą to nie ty pociągnąłeś za spust.

- Nie chcę o tym rozmawiać, zwłaszcza kiedy jestem pijany. - Odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył wzdłuż ulicy.

Gdy wchodziła na teren pensjonatu, zachciało jej się śmiać. Poszła do Kapitana, żeby wpaść na Jaromirskiego, a została wycelowana przez Kiciusia. Swoją drogą, czy on nie ma dziewczyny? - zastanawiała się, szukając w torebce kluczy. Szybko jednak przestała zaprzętać sobie tym głowę. Kiciński nie był nawet w jej typie. Owszem, niebrzydki, ale to tyle.

## 24

Jak na późne piątkowe popołudnie w Zimnej Flądrze było wyjątkowo pusto. Kiciński samotnie usiadł na mieszczącym się na tyłach lokalu oszklonym patio i zamówił łososia z grilla.

- Co do picia? - Młoda kelnerka z aparatem na zębach wyglądała na śmiertelnie znudzoną i z trudem tłumiała ziewanie.

Wojciech najchętniej wzięby piwo, ale nie chciało mu się wracać do domu pieszo, więc zamówił mrożoną herbatę.

Czekał na obiad, kiedy w lokalu zauważył znajomą twarz. Jeden z ratowników medycznych z pobliskiego szpitala zjawił się akurat we Flądrze w towarzystwie swojej żony Marzeny.

- Jarek, hej! - krzyknął Wojciech.

Jarosław Florczak ruszył w jego stronę, mówiąc przy tym:

- Cześć, Kiciuś. Co tam, Gośka nie upichciła dziś obiadku?

- Pojechała na szkolenie.

- To ze stylizacji pazurów szkołą? - zdziwił się Florczak.

- No raczej - mruknęła jego żona, pochylając się nad Wojciechem. - Cześć, Kajtek. Kopa lat. - Cmoknęła go w policzek i usiadła naprzeciwko.

Chwilę później wyjęła z torebki lusterko, przeciągnęła usta błyszczkiem i poprawiła długie ciemne włosy.

- I tak zaraz go zjesz - powiedział Jarek, podając jej menu.

- Co? - zdziwiła się.

- Błyszczczyk.
- Od kiedy interesujesz się moim makijażem?
- Od zawsze, kochanie. - Florczak puścił żonie oczko i łypnął na Kiciusia. - Co zamówiłeś?
- To co zawsze. Łosoś z grilla, frytki i zestaw sałatek.
- Jezuuuu, jak ja bym zjadła trochę frytek - jęknęła Marzena, przeglądając menu.
- A co cię powstrzymuje? - zdziwił się Jarek.
- Skarbie, to idealne ciało wymaga poświęceń. - Posłała mu uśmiech i wstała, mówiąc coś o toalecie. - Weź mi łososa z sałatką bez majonezu, a do picia niegazowaną wodę - poprosiła, zanim wstała i ruszyła w stronę damskiej łazienki.
- Ty, a ten koleś z siekierą, co go wczoraj zabraliście, jak się ma? - zapytał Kiciuś, kiedy został sam na sam z kumplem.
- Ciężkie zatrucie dopalaczami, jest na toksykologii.
- Czyli nie u nas?
- Nie, przewieźli go nad ranem. A później pewnie psychiatria, bo miał naprawdę niezłe jazdy.
- Grubo.
- No, a to nie pierwszy taki przypadek w tych dniach. Od soboty jest w śpiączce zatruty kannabinoidami trzynastolatek - powiedział Jarek, poważniejąc.
- Kannabino czym?
- Syntetycznym syfem, który trafia między innymi do dopalaczy. Uchodzą za bezpieczne, są czymś w rodzaju legalnej kopii marihuany, ale nadal nie jest do końca zbadany ich wpływ na mózg. Pamiętasz serię zatruc dopalaczem o nazwie Mocarz? W nim były właśnie



kannabinoidy. Dzieciaki to biorą, spodziewając się nieszkodliwego odlotu, i część z nich kończy w psychiatriku z objawami ciężkiej psychozy. O ryzyku uszkodzenia nerek, drgawkach, zawale czy nawet zgonie już nawet nie mówię.

- Myślisz, że pojawiły się nowe specyfiki? Że ktoś rozprowadza je w okolicy?

- Biorąc pod uwagę to, co się dzieje, nie wykluczam.

- Tylko jakim cudem ten syf trafia w łapy nastolatków? - Wojciech z wściekłości aż poczerwieniał.

- Kurwa, Kiciuś, wczoraj się urodziłeś?! Dilerzy rozprowadzają towar nawet pod szkołami.

- No niby wiem, tylko człowiekowi zawsze się wydaje, że takie rzeczy nie dzieją się pod jego nosem...

- I ty to mówisz, gliniarz? - Jarek wzruszył ramionami i podrapał się po ogolonej na łyso czaszce.

- Wiecie już kto to? Ten dzieciak. Nie znam go chyba.

- Nowy w okolicy, tatuś i mamusia z Warszawki, niedawno kupili dom pod miasteczkiem.

- Gdzie?

- Na osiedlu Perła Bałtyku. Swoją drogą podejrzewam, że developerzy też chyba ćpają, patrząc na wszystkie te ich odjechane nazwy... Błękitna Laguna, Skarb Pomorza.

- Zatoka Marzeń - zarechotał Kiciuś.

- I dwanaście tysięcy za metr kwadratowy. No, ale tam jest ponoć wysoki standard, nie?

- Snoby muszą mieć poczucie komfortu, co się czepiasz? Dzięki nim siedzimy sobie tutaj, bo knajpy nie padają poza sezonem. - Kiciuś zerknął w stronę sali, ale nie wyglądało na

to, żeby lada moment miała się pojawić kelnerka z jego obiadem.

- Pójdę zamówić, bo chyba nikt do nas nie podejdzie - zdecydował Jarek.

Niecałą godzinę później we trójkę wyszli z lokalu i pożegnali się na chodniku przed budynkiem.

- To do miłego, Kiciuś. Trzeba by kiedyś na jakiegoś browca wyskoczyć. - Jarek klepnął go w ramię.

- Pa, Kajtek. Pozdrów ode mnie Gosię. - Marzena pocałowała go w oba policzki i złapała męża za rękę.

- Pozdrowię - obiecał Kiciński.

W drodze do samochodu pomyślał o Annie. Powinien ją odwiedzić, po prostu wypada. Nawet jeśli w towarzystwie żony Krzyśka zawsze czuł się nieswojo, to teraz, kiedy została wdową, powinien zadbać, by wiedziała, że nie jest sama, zdecydował, bo nagle dopadły go wyrzuty.

Pod „Zwierzaki Anki” zajechał dziesięć minut później i miał szczęście, Anna jeszcze nie zamknęła sklepu. Wsiadł, wyjął z samochodu kupiony po drodze bukiet i pchnął drzwi do sklepu. Charakterystyczny smrodek zoologicznego magazynu przyprawił go o mdłości, ale nos szybko się przyzwyczyił.

- Wojtek? Cześć. - Anna, która właśnie wyszła z zaplecza, posłała mu blady uśmiech.

Zauważył, że jeszcze bardziej schudła, o ile w jej przypadku w ogóle było to możliwe, i wyglądała na skrajnie wycieńczoną.

- Jak się trzymasz? - zapytał, wręczając jej bukiet.

Kiedy ją objął, momentalnie zeszywniała. Zawsze tak

reagowała na dotyk i szybko pożałował, że pozwolił sobie na tak wylewne powitanie.

- Usiądź, napijesz się czegoś? - zapytała, rozglądając się za czymś, do czego mogłaby włożyć kupione przez niego kwiaty.

- Chyba nie mam tu wazonu, ale zaraz i tak idę do domu - machnęła w końcu ręką. - Kawy? Herbaty?

- Nie, nie rób sobie kłopotu. Wyszedłem właśnie z Zimnej Flądry, jestem najedzony po same uszy. - Zdjął kurtkę i usiadł na krześle z widokiem na olbrzymie terrarium, w którym wylegiwał się tłusty, paskudny wąż.

Krzysztof nienawidził tego miejsca, zwłaszcza wszechobecnych wijących się za szkłem gadów. Kicius nie brzydził się ich aż tak bardzo, jak zmarły przyjaciel, ale i dla niego nie był to przyjemny widok.

- Trzymasz się jakoś? - zapytał, kiedy Anna usiadła na krześle obok i wyłamując palce, zapatrzyła się w ścianę.

- A mam jakieś wyjście?

- Nie, pewnie nie. Tęsknię za nim.

- Ja też, chociaż tuż przed jego śmiercią nasze małżeństwo dotarło do punktu, w którym nie czekało nas już chyba nic więcej poza rozwodem. Najpierw jego wyprowadzka do tej rozwódki, później nasze kłótnie...

- Tego nie wiesz, może jeszcze byście się dogadali? Krzysiek zawsze cię kochał, Anka. Nawet jeśli nie potrafił ci tego okazać i zachowywał się jak dupek, to zawsze... - Wojciech przerwał, bo załamał mu się głos. - Wciąż mi się wydaje, że wejdę na komendę, pchnę drzwi od jego gabinetu, a on będzie siedział za swoim biurkiem i pożerał drożdżówki

z budyniem, które stale kupował, chociaż niby miał zamiar rzucić trochę kilogramów.

- Nie potrafił się odchudzać. - Anna lekko się uśmiechnęła i dodała, że miał w domu przynajmniej kilka schowków, w których trzymał zbożowe ciastka, batony i nadziewane waniliowym kremem rurki. - Jak dziecko...

- A w temacie dzieci, jak Arek? - zainteresował się Kiciuś.

- Czy ja wiem? Ostatnio niewiele rozmawiamy. Po śmierci Krzyśka zamknął się w sobie, a ja nie potrafię do niego dotrzeć. W dodatku kocha się w dziewczynie, która raczej dość lekko traktuje jego uczucia. Tak to się jakoś wszystko marnie układa...

- No tak... Co to za dziewczyna?

- Dominika, наша sąsiadka.

- Ta, której matka siedzi?

- Tak, to ona. - Anna lekko się skrzywiła i urwała kawałek nitki z wystrzępionego rękawa kolorowej bluzki.

- Szczeniackie zauroczenia... Minie mu, nie przejmuj się. W jego wieku durzyłem się w Jolce Górskiej.

- Stare dzieje. Gdyby człowiek wiedział, jak mu się życie poukłada, to nie czekałby osiemnastki, tylko położył się na torach i poczekał na pierwszy pociąg - jakby do siebie powiedziała Anna.

- Nie wygaduj bzdur! Masz udanego syna, dom, pracę.

- I nie mam nikogo, do kogo mogłabym się odezwać wieczorami. Arek dorasta, ma swoje życie. Tylko patrzy, żeby się wymknąć i zostawić mnie samą. Z Krzyśkiem ostatnimi czasy też wiele nie rozmawialiśmy, ale sama świadomość

tęgo, że pałęta się gdzieś po domu, poprawiała mi nastrój.

- Może gdzieś się tam nadal pałęta? - powiedział cicho Kiciuś.

- Daj spokój. - Anka parsknęła śmiechem i poklepała go po ramieniu. - Muszę nakarmić węże. Chcesz popatrzeć?

- Jezusie, nie! - Kiciński aż się wzdrygnął. - Dzwon, gdybyś czegoś potrzebowała, słyszysz? Czegokolwiek.

- Jasne. - Wstała i wyciągnęła do niego rękę, którą uścisnęła. - Miło, że wpadłeś.

Kiedy wyszedł przed sklep, jacyś nastoletni gówniarze kręcili się przy jego wgniecionej z boku toyocie, której nadal nie wyklepał, i pomyślał o Arku.

- Anka, jeszcze jedno - rzucił, ponownie wchodząc do sklepu zoologicznego. - Najprawdopodobniej w okolicy pojawił się jakiś syf. Dopalacze - sprecyzował, widząc jej pytające spojrzenie.

- Żartujesz.

- Chciałbym. Uważaj na Arka, przejrzyj czasem jego rzeczy.

- Arek chyba nie...

- Anka, nie mówię, że to bierze, tylko żebyś uważała. Wiesz przecież, jakie durnowate pomysły mają nastoletnie dzieciaki.

- Będę mieć na niego oko - obiecała.

- To dobrze. - Podniósł rękę w geście pożegnania i wyszedł na zewnątrz.

W drodze do domu myślał o Krzyśku. Czas leciał tak szybko, wszystko tak szybko mijało. Była przyjaźń i nie ma,

było życie i przepadło. Mijając cmentarz, miał ochotę zjechać na pobocze i podejść na grób przyjaciela, ale się rozmyślił. Co to zmieni, że będzie tam samotnie sterczał nad zimną marmurową płytą? Gdziekolwiek teraz był Krzysztof, tam go przecież nie było...

Kwiaty kupił w pobliżu domu, w nowo otwartej kwiaciarni. Olbrzymi bukiet czerwonych róż dla Gosi i znacznie mniejszą wiązanek kolorowych frezji. Do tych ostatnich dołączył krótki liścik z przeprosinami i kazał je wysłać na adres pensjonatu Mewa.

- Dla pani Klary Maj - sprecyzował.

Młoda kwiaciarka posłała mu zaciekawione spojrzenie, ale miała na tyle taktu, żeby niczego nie komentować. Może powinienem kupić ten wiecheć gdzie indziej? - zastanawiał się Kiciuś, wychodząc z kwiaciarni. Jeśli ktoś powie Goście, że posłał frezje tej młodej dziennikarce... Ale nie warto się zadręczać takimi pierdołami, pomyślał.

## 25

Poranna odprawa rzadko zaczynała się z opóźnieniem. Szef komisariatu podkomisarz Oziębłowicz bywał zazwyczaj punktualny, tym razem jednak zjawił się w niewielkiej sali mocno spóźniony i z kawą w ręku zasiadł na swoim miejscu za stołem. Kiciński zauważył, że przełożony nie zdążył się ogolić, a jego koszula jest zmięta, co do tej pory chyba jeszcze nigdy się nie zdarzyło.

- Dobra, jedziemy! Sprawa samobójstwa tego dzieciaka. Ktoś się dokopał do czegoś ciekawego? - zapytał podkomisarz, przeciągając wzrokiem po sali.

- Dowiedzieliśmy się, że znęcał się nad nim starszy brat - odezwała się Hanka Piasecka.

- Ktoś już z nim rozmawiał? - zainteresował się Marian.

- Nie, ale...

- To na co czekacie?! - ofuknął ją Oziębłowicz. - W kwestii Jurka mamy już pewność, że to było samobójstwo. Broń wysunięta z ręki, postrzał z przyłożenia, na skroni oparzenia i strefa osmalenia świetnie uwidoczniła na fotografii w podczerwieni. Analiza porównawcza śladów na jego broni nie wykazała niczego podejrzanego. Raport z toksykologii też nie wskazuje na nic niepokojącego, Jerzyk nie był pod wpływem żadnych substancji i mogę ze stuprocentową pewnością powiedzieć, że biegli nie mają w tym wypadku cienia wątpliwości. Pietruszka przyłożył sobie broń do skroni

i nacisnął spust. Niepokoi mnie tylko jedno, mianowicie krew znaleziona na dywanie w kuchni należy do niego. Ktoś już rozmawiał z wdową?

- Tak, ja - podniósł rękę Kiciuś.

- I co?

- Wolałbym o tym pomówić na osobności - powiedział Wojciech, a kilku siedzących najbliżej kolegów odwróciło się w jego stronę i posłało mu krzywe uśmieški.

Tu liczyła się praca zespołowa i nikt nie lubił tego typu sekretów, jednak szef uszanował jego prośbę.

- Jak wolisz - mruknął, po czym zerknął na kartkę i dodał, że w mieście najprawdopodobniej pojawił się kolejny problem z dopalaczami. - Jeden dzieciak świruje z siekierą w rękę, drugi nadal jest w śpiączce. Ktoś rozprowadza jakiś wyjątkowy syf, a wy macie się dowiedzieć, kto! I niech ktoś załatwi nakaz i przejrzy komputer brata tego młodego samobójcy. Jeśli rzeczywiście się nad nim znęcał, może mamy motyw? Chcę wiedzieć, czemu! Rodzice Kacpra są załamani, a ja chcę móc spojrzeć im w oczy i wyjaśnić, czemu ich niespełna szesnastoletni syn postanowił odebrać sobie życie. Czy to jest jasne?

- Tak jest, szefie - mruknęła Piasecka.

- Na razie to tyle. Muszę zaraz jechać do Szczecina, sprawy prywatne. - Marian Oziębłowicz dopił kawę, wstał i skinął na Wojciecha. - Kiciuś, na słowo!

Kiedy weszli do jego gabinetu, Kiciński usiadł na jednym z krzeseł i nerwowo przełknął ślinę.

- No to mów, czego dowiedziałeś się od Aleksandry. Pobili



się, zanim wyszedł? Co tam się właściwie stało? – dopytywał się Oziębłowicz.

- To Olka uderzyła go pięścią w nos, stąd krew na kuchennym dywaniku – oznajmił Wojciech.

- Serio, kobita go biła? A czym sobie tak nagrabił? – przez moment szef wyglądał na prawie rozbawionego.

- Najprawdopodobniej zaraził ją hifem – powiedział Wojciech.

- Pierdolisz? – podkomisarz momentalnie spoważniał.

- Chciałbym... W każdym razie sprawa jest delikatna, sam rozumiesz, szefie. Dla dobra Olki...

- Jasne, to zrozumiałe... Czyli Jerzyk powiedział żonie, że ma hifa i jest opcja, że ją zaraził, a ona wpadła w szał? Tak to wyglądało, prawda?

- Podobno błagał ją o wybaczenie, ale kazała mu się wynosić i nie wracać. No to wsiadł w auto i strzelił sobie w łeb na pustej plaży.

- Kurwa, co za syf. Swoją drogą, w jakich my podłych żyjemy czasach. Człowiek parę razy pociupcia na boku i już łapie jakieś świństwo.

- A dawniej to niby lepiej było? Już Mojżesz kazał wymordować tysiące ludzi zakażonych najprawdopodobniej rzeżączką. Albo taka kiła. Widywałeś na serialach ludzi z tym ohydny charakterystycznym nosem, nie, szefie? Wszystko to jest znane ludzkości od wieków – rzucił Kicius filozoficznym tonem.

Oziębłowicz ryknął śmiechem.

- Widzę, że jesteś w temacie. Mam nadzieję, że nie

posuwasz żadnej laski na boku, bo twoja Gośka to świetna dziewczyna.

- Ja? Nie. Przygodne romanse to była domena Bugiego.

- No tak, racja. Ależ mi brakuje tej jego gęby...

- Jak każdemu...

- Dobra, muszę się zbierać, mam parę rodzinnych spraw. Słuchaj, a ty dobrze przyciśnij tego szczyła Chojnackiego. Jeśli się okaże, że znęcał się nad młodszym bratem, to ma za to beknąć, słyszysz? Bez względu na to, przez co musieli już przejść jego rodzice, jeśli się okaże, że w jakikolwiek sposób pchnął Kacpra do samobójstwa, chcę o tym wiedzieć!

- Zastanawialiśmy się z Hanką, czy to się jakoś nie łączy - powiedział Kiciuś, wstając.

- Co? - zdziwił się Oziębłowicz.

- Samobójstwo Kacpra i Jerzyka.

- Że niby jak i co ma piernik do wiatraka? - zdziwił się Marian.

- Teraz to już chyba nic. Jeśli Olka nie kłamie...

- Myślisz, że mogłaby kłamać? - Oziębłowicz wyglądał na tak zaskoczonego, że Kiciusiowi zachciało się śmiać.

- Nie byłaby pierwsza, która okłamuje policję, nie?

- Zawsze można sprawdzić, gdzie robił badania, wyciągnąć z ośrodka wyniki i przekonać się, czy rzeczywiście miał hifa. Czyli mówisz, że w tej sprawie pełna dyskrecja?

- Tak, przydałoby się. Chociaż parę osób już wie.

- Tak, a kto?

- Jedna z dziennikarek dostała anonimowy telefon. Ktoś jej powiedział, że Jerzyk się zabił, bo mógł zarazić żonę hifem.

- Jaka dziennikarka? - zdziwił się Oziębłowicz.

- Klara Maj, ze Szczecina. Chciała zrobić materiał o śmierci Bugaja, ale póki co kręci się w kółko jak pies, który goni za własnym ogonem.

- Jaki materiał o śmierci Bugaja?! I czemu, do kurwy nędzy, nic mi o tym nie wiadomo?! Niech ona tu lepiej nie węszy, bo takiego rozgłosu nam nie trzeba! - zachnął się Marian.

- Niczego nie ma, wie tyle co my. - Wojciech wzruszył ramionami.

- I niech tak pozostanie! Nikt nie ma z nią gadać, słyszysz?! - Oziębłowicz złapał kurtkę, wyjął z szuflady kluczyki i podzwaniając nimi, ruszył w stronę drzwi. - Jadę. A ty dobierz się do dupy temu szczyłowi Chojnackiemu. Na cito albo i szybciej!

## 26

Paula samotnie włóczyła się po niewielkim centrum handlowym na obrzeżach miasteczka, zastanawiając się, co zrobić z resztą dnia. Rzadko miewała wolne, bo Zielarz lubił, kiedy jego lalki pracowały. Tym razem jednak szefostwo było zagranicą, a ona mogła odpocząć, doleczyć zapalenie pęcherza i nacieszyć się słonecznym popołudniem, jako że po fali chłodu nadeszła w końcu upragniona wiosna. Kręciła się po dziale z artykułami gospodarstwa domowego, wyobrażając sobie, że któregoś dnia będzie miała własną świetnie wyposażoną i przestronną kuchnię, kiedy zauważyła na oko czterdziestoletnią kobietę z nastoletnim synem. Nieznajoma była do niej podobna, dlatego zwróciła na nią uwagę – miała ciemnobrązowe i skręcone w spiralki włosy, śniadą cerę i duże migdałowe oczy podkreślone delikatnym makijażem. Przyglądała się jej przez dłuższą chwilę, zazdroszcząc swobody, z jaką poruszała się po pełnym ludzi markecie. Paula, choć byli w rzęsiście oświetlonej jarzeniówkami sali, założyła okulary przeciwsłoneczne, które przesłaniały pół twarzy. Zawsze kiedy była w tłumie, bała się, że ktoś ją rozpozna. Że jakiś facet splunie jej pod nogi, nazwie kurwą, popchnie, poniży. Zawsze ją zaskakiwała ta dziwna rozbieżność. Jej klientów nikt nie oceniał surowo, najwyżej w żartach nazywano ich dziwkarzami. Za to ona była tą złą, rozwiązłą szmatą, która zwodziła na manowce

niewinnych żonkosiów...

Skrzywiła się, śledząc wzrokiem brunetkę.

- Mamo, może ten? - Chłopak zdjął z półki pudło z kuchennym robotem, a Paula poczuła kolejne wyrzuty sumienia.

Dzieciak wyglądał na jakieś czternaście lat. Takim chłopcom wciskała ostatnio trujące mikstury Zielarza...

- Zostaw, ten jest za drogi. - Matka wyjęła chłopcu z rąk pudło z mikserem i zmierzwiła jasne włosy syna. - Chodźmy na lody, okay? Mam już dość tych zakupów.

- Super! - ożywił się dzieciak.

Mijając Paulę, posłał jej szeroki uśmiech kogoś, kto w innych ludziach widzi głównie dobro, i znowu poczuła się fatalnie.

Prosto z marketu poszła na plażę. Dzień był pogodny, więc chciała poczuć muśnięcie słońca na skórze, przez chwilę nacieszyć się beztroską kwietniowego popołudnia. Dookoła niej śmiali się ludzie, czekały psy i kręciły się rozbrykane dzieciaki, a ona zdjęła buty, podwinęła nogawki dżinsów i boso ruszyła wzdłuż brzegu. Woda była lodowato zimna. Fale lizały jej stopy, ale szybko przyzwyczała się do chłodu.

Była przy jednym z plażowych barów, w którym podawali świetne cappuccino, kiedy zauważyła wysokiego ciemnowłosego mężczyznę. Szedł z żoną, kilka kroków przed nimi biegła mała, na oko czteroletnia dziewczynka. Paula udawała, że za kimś się ogląda i odwróciła głowę, żeby jej nie poznał. Stały klient, w sumie miły gość. Nigdy nie był agresywny, zawsze płacił i w przeciwieństwie do niektórych

nie zdarzyło mu się nazwać jej dziwką czy szmatą. Rzadko miewała wyrzuty z powodu swojej profesji. Chyba przywykła, nie dołowała się zbyt często.

A jednak na widok roześmianej żony, którą jej klient obejmował ramieniem, poczuła się źle. Co, jeśli zaraziłam go hifem? – pomyślała, nie potrafiąc sobie przypomnieć, czy zawsze używał prezerwatywy. Niektórzy upierali się, że nie chcą jej zakładać. On też?

Kiedy ją minęli, ruszyła dalej, jednak jej w miarę dobry nastrój gdzieś się ulotnił. Otaczali ją ludzie, którzy mieli własne miejsce w świecie, a ona snuła się przez życie samotna, obca, bezdomna. Tak, często tak o sobie myślała, czuła się wykorzeniona. Przecież wynajętą przez Maksa dziupłą, w której wszystkie pomieszkiwały, trudno nazwać domem. Wcześniej mieszkała u matki, własnego kąta nigdy nie miała. No może przez chwilę, kiedy była z Radkiem. Ale jakie to teraz ma znaczenie? – pomyślała. Niedługo umrze, a nawet jeśli przeżyje jeszcze kilka bądź kilkanaście lat, jak zapewniał ją lekarz, to co to będzie za życie? Max już teraz ją wyszydzał. Nazywał najstarszą dziwką świata, upokarzał. Wiedział, że przesadza, że zwyczajnie się z niej nabija. Znała znacznie starsze w tym zawodzie, ale problem polegał na tym, że jeśli znudzi się swoim pracodawcom, to wyląduje na ulicy z tą jedną walizką ciuchów, którą posiadała, i wymiętoloną, wielokrotnie czytaną książką Paula Coelho, w której młoda brazylijska prostytutka walczy o własne prawo do miłości i szczęścia. Tyle miała na tym świecie, tylko to do niej należało. To i wspomnienie roześmianej twarzy

Jacka, który wyciągał do niej rączki, wołając: „mamo, mamo, mamoooo!”.

Na wspomnienie synka z trudem powstrzymała łzy. Mijały ją roześmiane rodziny, a ona samotnie patrzyła na morze, myśląc o przeszłości, która już nie wróci. Kiedy rodziła Jacka, miała faceta, pracę i plany na przyszłość. Jednak Radkowi szybko znudziła się odpowiedzialność za rodzinę i zniknął, porzucając ją z półtorarocznym synkiem. Wróciła do matki, załamała się. Rok później upadła firma, w której pracowała, i została z paroma groszami na koncie. Matka początkowo ją wspierała, ale szybko zaczęły się awantury i wzajemne oskarżenia. Wtedy założyła własną działalność, ale nie miała smykałki do interesów – szybko wpadła w długi, zaczęli ją ścigać wierzyciele. Później było coraz więcej wódki, nocne wyzwiska, którymi obrzucała ją matka, płacz wyrwanego ze snu Jacka i jej nienawiść do siebie, która narastała z każdym wypitym kieliszkiem, ale nie powstrzymywała jej przed sięgnięciem po kolejny.

Kiedy poznała kolesia, który ją zwerbował do najstarszego fachu świata, domyśliła się, że chodzi o prostytutkę, ale tonęła w długach i nie widziała innego wyjścia. Wtedy jednak wyobrażała sobie to nieco inaczej. Któregoś dnia obejrzała w telewizji *Pretty woman* i wyobrażała sobie elegancko ubranych biznesmenów, którzy podjeżdżali po nią mercedesami i zabierali na eleganckie kolacje. Rzeczywistość okazała się oczywiście o wiele bardziej rozczarowująca. Przemoc, narkotyki, upokorzenia i wyzysk finansowy sprawiły, że po latach przepracowanych dla

Zielarza czuła się jak zużyta, wielokrotnie wyżęta szmata. Cztery skrobanki, niezliczona ilość facetów, którzy spuszczaali się w nią i na nią, złamana przez klienta szczęka, połamane żebra, hif i wybity przez agresywnego naćpanego koleśia zęb - bilans zysków i strat okazał się dla niej raczej mało opłacalny...

- Mamo! - zawołał biegnący wzdłuż brzegu kilkuletni chłopiec.

Paula się wzdrygnęła. Nie widziała syna przerażająco długo, ale wciąż tak bardzo emocjonalnie reaguje na to słowo...

Schodząc z plaży, zauważyła przystojnego gliniarza, którego kilka dni wcześniej widziała w pubie Kapitan. To przez tamten wieczór tak nękało ją sumienie. Siedziała przy barze, kiedy wpadł ten nastolatek z siekierą w rękę. Nie była głupia i szybko dodała dwa do dwóch - jeśli dzieciak nie był chory psychicznie, taką psychozę mógł zaliczyć tylko po świństwie, które rozprowadzał Zielarz. Kiedy spętanego pasami wynosili go na noszach, a on rozpaczliwie wrzeszczał przekonany, że ktoś go ściga, czmychnęła do łazienki. Nie mogła na to patrzeć, czuła się winna. A jednak wiedziała, że kiedy któregoś dnia podjedzie po nią Max, potulnie wsiądzie do samochodu i wciśnie dzieciakom kolejną porcję syfu. Ale nie, nie musiała się na to godzić! Nie jestem złym człowiekiem, nie jestem potworem, pomyślała, mijając knajpę, w której ciemnowłosy gliniarz samotnie jadł rybę z frytkami.

Wahała się dość długo. Krążyła wokół lokalu, przysiadła



na ławkach z widokiem na morze, wchodziła na piasek, żeby po chwili zejść z plaży, ale w końcu do niego podeszła. Kiedy przystanęła nad jego stolikiem, w tawernie były tłumy, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

- To Zielarz truje dzieciaki, rozprowadzając po mieście nowy towar - powiedziała. - Wyjęła z torebki kilka plastikowych woreczków z ziołowym suszem i dwie z pastylkami, których nie zdążyła wcisnąć nastolatkom, kiedy ostatnio kręciła się przed liceum.

Jeremi odłożył trzymany w ręku widelec i pośpiesznie nakrył dłonią przezroczyste torebeczki.

- To Zielarz - powtórzyła, zanim wybiegła z tawerny.

Jaromirski zgarnął woreczki do kieszeni kurtki i pobiegł za nią.

- Czeka! - krzyknął.

Wpadła do bramy jednej z kamienic, wrzuciła do torebki ciemne okulary i lękliwie się rozejrzała.

- Jak się nazywasz? - zapytał, wchodząc tuż za nią do ciemnego przedsionka.

- Paula - powiedziała cicho, nie patrząc mu w oczy.

- Pracujesz dla niego?

- A jak myślisz, skąd to mam?! - syknęła.

- Mógłbym cię teraz zatrzymać, wiesz o tym?

- Mógłbyś się też odpierdolić! Chciałam pomóc! - podniosła głos.

- Spokojnie, pogadajmy nieoficjalnie.

- No raczej, że nieoficjalnie! Zabiją mnie, jeśli się dowiedzą, że to ja zdradziłam, rozumiesz? Zielarz to zwykły

gangster, żaden biznesmen! Załatw analizę tego świństwa, zdobądź nakaz i wejdź do jego nocnego klubu na Portowej. Na zapleczu ma tysiące takich torebek, a pod miastem laboratorium.

- Dasz mi jego adres? - zapytał Jaromirski, pochodząc bliżej niej.

Stał tak blisko, że wyraźnie czuła nutkę wody po goleniu. Mocną, korzenną, zmysłową. Że też tacy kolesie nie zagląдают do lasku, przeszło jej przez myśl, tymczasem on ujął jej dłoń i zacisnął na niej palce.

- Widziałem cię tamtego wieczoru w Kapitanie. Siedziałaś przy barze i piłaś mojito. To dlatego ruszyło cię sumienie, prawda? Przez tamtego dzieciaka. Po odtruciu trafił na psychiatrię, wiesz o tym?

- Niby skąd? - burknęła.

- Mógł kogoś zabić. Rzucił siekierą i prawie trafił jednego z naszych.

- Byłam tam, nie musisz mi streszczać tego cyrku! Chyba że chcesz, żebym ci pogratulowała bohaterskiej akcji uratowania tyłka kolegi?

- Skoro byłaś, to widziałaś, co się dzieje z człowiekiem po zażyciu tego świństwa - powiedział, ignorując jej złośliwą uwagę o ratowaniu dupy Kiciusia. - Daj mi adres laboratorium - powtórzył z naciskiem.

- Nie znam adresu, ale wiem, że za wszystkim stoi Zielarz! Muszę iść! Zostań tu i nie ruszaj się przynajmniej przez kilka minut - poprosiła.

- Jak masz na imię? - zapytał, kiedy szukała w torebce

ciemnych okularów.

- Paula, przecież ci mówiłam.

- A tak naprawdę?

- Elżbieta - powiedziała, dziwiąc się, jak obco zabrzmiało to imię, jakby należało do kogoś innego.

Bo przecież Elżbieta, którą kiedyś była, dawno nie istniała...

- Cóż, miło było cię poznać, Elżbieto. - Jeremi skinął jej głową i zapisał coś w swoim telefonie.

- Zabiją mnie, jeśli się dowiedzą, że masz to ode mnie, słyszysz?! - powtórzyła z naciskiem.

- Nikt się nie dowie - obiecał.

Oby... pomyślała, wychodząc z ciemnej bramy na rozświetloną słońcem ulicę.

Arek Bugaj kręcił się w pobliżu monopolowego, wypatrując znajomych twarzy, i w końcu dostrzegł Jaśka Ziębę, dziewiętnastoletniego spawacza mieszkającego po sąsiedzku.

- No hej, Johnny. - Zaszedł mu drogę, kiedy Zięba wyjmował z plecaka szlugi. - Słuchaj, kupiłbyś mi ze trzy piwa? - zapytał, wręczając mu zmiętą dwudziestkę, którą dostał przed szkołą na drobne wydatki.

- Hej, szczyłu, nie za młody jesteś na alko? - zapytał Zięba, jednak wziął pieniądze i wszedł do monopolowego, żeby kupić małolatowi trzy żywce. - Wisisz mi przysługę - powiedział kilka minut później, wręczając chłopakowi przezroczystą siatkę z trzema puszkami.

- Jasne, o każdej porze. - Arek wziął od niego resztę, klepnął Ziębę w ramię i ruszył w stronę nabrzeża.

Dzień był wietrzny i chłodny, jednak kiedy przelazł przez betonowy falochron i usiadł na obmywanych przez fale wielkich głazach, wiatr przestał mu dokuczać. Pierwsze piwo wypił duszkiem i z trudem powstrzymał chęć wrzucenia zmiętej puszki do morza. Drugim cieszył się nieco dłużej. Dopijał, kiedy ktoś cisnął w niego patykiem.

- Co tam, Areczku?! - usłyszał.

Podniósł głowę i lekko się skrzywił. Na betonowym falochronie siedział Eryk, kumpel Konrada Chojnackiego, z którego bratem w zeszłym roku się kumplował. Na myśl

o Kacprze coś ścisnęło go w dołku, wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że chłopak się zabił. Był pół roku młodszy od niego. Kto chciałby odwalić kite w takim wieku, pomyślał.

Tymczasem Eryk zeskoczył na olbrzymi głaz u podnóża falochronu i zwinnie przeskakując przez oblane wodą kamienie, usiadł obok młodego Bugaja.

- Piwko? Dasz parę łyków?

- Sorry, impreza zamknięta - rzucił Arkadiusz przez zęby.

- Dobra, wyluzuj, żartowałem. Z jednej puszki z tobą pić nie będę. Chyba że masz coś jeszcze w plecaku?

- A co ty, kurwa, na żebry przylazłeś?! - wkurzył się. - Pracujesz, zarabiasz, to skombinuj sobie własne!

- Pracuję! - zachnął się Eryk. - Ten chuj Rataj i jego tłusta ślubna płacą mi takie grosze, że gdyby mnie stary nie wspierał, tobym z głodu zdechł.

- To zmień pracę. - Arkadiusz wzruszył ramionami.

- Bo dobra robota leży na ulicy, nie? - Eryk posłał mu złe spojrzenie i pożądliwie zerknął na puszkę z resztką piwa, ale nie powiedział już ani słowa.

- Co nowego? - zapytał Arek, chociaż w sumie nie bardzo go ciekawiło, co słyhać u Eryka.

Sam fakt, że kumplował się z Konradem Chojnackim, przekreślał go w jego oczach. Arek unikał starszego z braci Chojnackich jak ognia. Według niego Konrad był zjebem, od którego lepiej trzymać się z daleka.

- A co ma być? - Eryk wygodniej rozsiadł się na podmywanym przez wodę głazie i cisnął do morza wyjętą z ust, przeżutą gumę. - Zwyczajna chujnia. Ojciec się pluje, że

mało zarabiam i na nim żeruję, w pracy syf, kiła i mogiła, a moja panna chyba zaciążyła.

- Chrzanisz? Julka jest w ciąży? - Arek wyszczerzył się w szerokim uśmiechu i klepnął Eryka w plecy. - No to gratuluję, człowieku!

- Jakby, kurwa, było czego! Ciekawe, co ja zrobię z tym bachorem? Kasy nie mam, u Julki też bida z nędzą... Jej matka na kasie w Biedronce przecież robi, a tu jeszcze dwie młodsze siostry są na utrzymaniu. No i mój stary ostro się wkurwi, kiedy się dowie. Zawsze mi powtarzał, żebym na gumki sałaty nie żałował, a ja wolałem tamtego wieczoru kupić piwo. Julia mówiła, że spoko, że ma te niby bezpieczne dni, i nagle bum! Przychodzę do niej dwa dni temu, a ona, że dzieciak w drodze.

- Może tylko jej się spóźnia? No wiesz, ciecinka. Sunie czasem tak mają - rzucił Arek bez większego zainteresowania.

Seks był co prawda tematem, o którym chętnie by pogadał, ale biorąc pod uwagę, że Dominika, za którą łąził od miesięcy, pozwalała mu najwyżej na niewinne macanki, nie chciał sobie robić apetytu.

- Trzy tygodnie spóźnienia? No nie wiem... Ty, a co sądzisz o Kacprze? - zapytał nagle Eryk, zmieniając temat.

- Ale że co? - Arek momentalnie zmarkotniał.

- No czemu to zrobił?

- A skąd niby mam wiedzieć?! Ostatnio raczej rzadko się widywaliśmy. Bujał się z nim Maciek Rataj.

- Nie wspominał ci nic o Konradzie? - zapytał Eryk.

- Kacper? Że niby co? - Arkadiusz wzruszył ramionami.

- Nic, tak pytam. Głupia sprawa, nie? Chuj wie, czemu ten szczył się pociął?

- Jakiś powód pewnie miał.

- Pewnie tak - zgodził się z nim znajomy.

Arek dopił piwo, zmiął drugą puszkę i wcisnął ją w wąską szczelinę pomiędzy kamieniami. Eryk siedział obok zapatrzony w morze i milczący, ale chociaż odegrał przed nim całkiem przekonującą szopkę, młody Bugaj miał wrażenie, że kumpel Konrada Chojnackiego coś przed nim ukrywa.

- Dobra, zbieram się. Muszę jeszcze zajrzeć do Julki, bo dostaje pierdolca od tej ciąży.

- Już? - zarechotał Arek i wymienili wymowne spojrzenia.

- Baby! - Eryk splunął i bez słowa pożegnania wdrapał się na falochron.

Kiedy został sam, Arkadiusz wyjął z plecaka trzecie piwo i zapatrzony w poruszający się gdzieś na horyzoncie kontenerowiec, pociągnął za metalową zawleczkę od puszki, która ustąpiła z przyjemnym sykiem.

Pijąc, pomyślał o ojcu. Gdy staruszek żył, nie poświęcał mu wielu myśli, teraz jednak dałby wszystko, żeby móc z nim porozmawiać. Kiedy wszystko między nimi aż tak bardzo się spierdoliło? - zastanawiał się, samotnie siedząc za falochronem. Czemu nie potrafiłem odpuścić, pogadać z nim, zachować się jak człowiek, a nie jak obrażony gówniarz? Odszedł od matki do innej baby, no cóż, bywa. Czemu nawet nie próbowałem go zrozumieć czy wysłuchać? - pomyślał.

I nagle nawet piwo przestało mu smakować. Połowę zawartości ostatniej puszki wylał do morza, a puszkę cisnął za siebie, na pustawy tego dnia deptak. Jebać porządek!

Przełaząc na drugą stronę falochronu, pomyślał, że ma ochotę pokręcić się przy chacie starego Macieja, gdzie zginął ojciec, i ruszył w kierunku szosy.

Na miejscu poczuł się przybity i prawie pijany. Wypite zbyt szybko, w dodatku na goły żołądek piwo sprawiło, że poczuł zawrót głowy.

- Czemu dałeś się zabić, co?! Czemu, kurwa, przylazłeś tu w środku nocy?! - krzyknął.

Chwilę później podniósł z ziemi kamień i cisnął nim w na wpół zawaaloną rudere, a brzęk tłuczonego szkła w jednym z niewielu okien, które jeszcze były oszklone, tylko go rozsierdził.

- Czemu?! Co sobie wtedy myślałeś?! I czemu akurat ty, tato?! - wrzasnął, ciskając kolejnym kamieniem.

A kiedy wytłukł resztę szyb od frontu, przeszedł na tył, i waląc w ściany znalezionym w trawie kijem, ochryple wrzasnął, uwalniając z zaciśniętego gardła gniew. W końcu padł w trawę tuż obok kamiennej studni, w której tamtej przeklętej nocy Kiciński znalazł zwłoki jego ojca, i rozsłochał się z ukrytą w dłoniach twarzą.

- Czemu, tato? - powtarzał, pociągając nosem i trąc pięściami zaczerwienione oczy. - Czemu ty?

Wstał, dopiero kiedy tak bardzo przemarzł, że rozdzwoniły mu się zęby, i ze zwieszoną głową ruszył w stronę szosy.

Do domu dotarł późnym wieczorem, ale nie udało mu się



niezauważenie wślizgnąć do siebie.

- Arek, gdzieś ty znowu łaził? - zapytała go matka.

Wyglądała na wytrąconą z równowagi i przyglądała mu się z zaciśniętymi w wąską kreskę wargami.

- Pytam cię o coś! - wrzasnęła.

Chciał odpyskować, ale widok jej wychudzonej zmęczonej twarzy sprawił, że coś chwyciło go za gardło.

- Włóczyłem się trochę, nie bądź wściekła. - Podszedł do niej i mocno ją przytulił. - Wszystko będzie dobrze, okay?

Anna znieruchomiała, zaskoczona niespodziewaną bliskością syna, szybko jednak poczuła przyływ ciepłych uczuć do jedynaka.

- Dzięki, synku - powiedziała, gładząc go po plecach.

- No spoko. - Arek chrząknął zażenowany swym wylewnym zachowaniem, poklepał matkę po plecach i starając się nie chuchać w pobliżu jej twarzy, żeby nie wyczuła wypitego alkoholu, ruszył w stronę schodów na piętro.

- Zrobiłam sałatkę z kurczakiem, zjesz? - zapytała Anna.

Przystanął na półpiętrze.

- Tylko jeśli ty też zjesz - powiedział.

- Nie jestem głodna. - Wzruszyła ramionami.

- W takim razie ja też nie - rzucił, chociaż na myśl o ulubionej sałatce aż pociekła mu ślinka.

- Dobrze, zjem odrobinę. Chodź do kuchni. - Anna zaświeciła światło w przedpokoju i poczekała, aż syn zejdzie na dół. - Tylko nie ma już pieczywa.

- Przeżyję. Grunt, że jest mięsiwo. - Puścił oczko matce i wszedł za nią do kuchni.

Zjedli w milczeniu, ale zdał sobie sprawę, że zniknęło nieprzyjemne napięcie, które od długich tygodni wyczuwał w ich relacjach.

- Pozmywam - zaproponował, kiedy skończyli.

- Pozmywasz? Synku, czy ktoś mi cię podmienił?

- Dziwożona. Ale to już wtedy, kiedy się urodziłem.

Anna parsknęła śmiechem.

- Proszę, proszę. Ktoś się zna na słowiańskich wierzeniach.

- Uczą nas takich bzdetów w szkole, wyobraź sobie. -  
Zebrał ze stołu brudne talerze i zaniósł je do kuchni.

- Ostatnio prawie w ogóle ze mną nie rozmawiałeś -  
powiedziała cicho Anna, siadając za stołem.

- To nie przez ciebie. Ja tylko... Nie chcę teraz o tym  
gadać, okay?

- Okay - zgodziła się Anna, z przyjemnością przyglądając  
się krzątaniu syna.

Zmężniał... Gdyby Krzysiek mógł go teraz zobaczyć,  
pomyślała, z trudem powstrzymując łzy.

## 28

- Pani Klaro? - właścicielka pensjonatu Mewa miała irytujący zwyczaj stukania w drzwi jej pokoju grubo przed południem, a Klara fuknęła coś pod nosem, słysząc kręcącą się po korytarzu panią Alinę. - Pani Klaro, jest pani tam?! - stara ponowiła atak, tym razem zabrzmiało to tak, jakby załomotała w drzwi pięścią.

- Kurwa mać - syknęła Klara, odkładając tusz. Przez to, że gospodyni tak się do niej dobijała, malując rzęsy, upaśćkała powiekę.

Kiedy uchyliła drzwi, pani Alina łypnęła do środka, jakby chciała się upewnić, czy jej gość utrzymuje pokój w należytej czystości, i pociągnęła nosem.

- Paliła pani? Nie wolno palić w pokojach - mruknęła.

- Wiem.

- Ale i tak pani pali?

- Czasami, to taki nałóg. Ale zawsze otwieram okno. Coś jeszcze? - Klara nagle straciła cierpliwość.

- No o terminach chciałam porozmawiać.

- Nie rozumiem. Jakich terminach?

- Sezon się powoli zaczyna. Gości mam na majowy weekend, wszystko obłożone, więc musi się pani wyprowadzić najpóźniej do trzydziestego kwietnia, jak ustalałyśmy. Chyba że zacznie mi pani płacić za dobę jak każdy, to może gdzieś panią wcisnę.

- Ile? - zapytała Klara, opierając się o framugę.
  - Sto osiemdziesiąt - rzuciła pani Alina.
  - Sto osiemdziesiąt? Tutaj? - Klara parsknęła śmiechem i rozejrzała się po zaniedbanym korytarzu.
  - Za bliskość morza się płaci. - Gospodyni wyraźnie się nadeła, urażona malującym się na twarzy Klary zaskoczeniem, i szurając kapciami, ruszyła w stronę schodów.
  - Wyprowadzę się jeszcze w tym tygodniu! I tak miałam wyjeżdżać - rzuciła w ślad za nią Klara.
  - Jak pani woli.
  - Sto osiemdziesiąt za dobę? Tutaj? Chyba babie coś się pochrzańiło - syknęła Klara, kiedy wróciła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.
- Owszem, Mewa znajdowała się w miarę blisko morza, ale tak naprawdę była to jedyna zaleta tej zapuszczonej nory. Ponadrywane tapety, stare naddarte komplety pościelowe i poprzepalane obicia foteli z całą pewnością nie były warte aż tak horrendalnej ceny! - pomyślała Klara, czubkiem poślinionego palca ścierając z powieki niewielką plamę z zaschniętego tuszu.
- A śniadanie pani zje? - zagadnęła ją czyhająca w holu pani Alina, kiedy podzwaniając kluczykami od mini coopera, schodziła na dół.
  - Dziękuję, wpadnę na omleta do Coffee Black Jack.
  - O, tam to nie radzę...
  - A czemuż to? Przyjemne miejsce i niezła kuchnia.
  - Miejsce może i przyjemne, ale właściciel mafioso! Zielarz

go nazywają, kawał gangstera! Ma kilka nocnych klubów w miasteczku i okolicy, ale większą kasę robi na prochach i tych biednych dziewczynach...

- Jakich biednych dziewczynach? - zapytała Klara, szukając w torebce telefonu.

- Dziwkach, jeśli już mam nazwać rzeczy po imieniu. Całe okoliczne zagajniki są pełne prostytutek, a wszystko to jego panienki!

- A pani skąd takie rzeczy wie, pani Alino? - Klara uśmiechnęła się krzywo i włożyła do ust miętową gumę.

- Ja wiem wszystko. Od tego mam oczy i uszy, żeby wiedzieć, co się dookoła mnie dzieje! To śniadania nie będzie?

- Nie, dziękuję. - Wyminęła gospodynię i z ulgą wyszła na zewnątrz.

Co za natrętna baba, pomyślała, otwierając samochód. Jednak plotkarska natura gospodyni na coś się przydała, bo dwa dni wcześniej pani Alina powiedziała jej, że Krzysztof był przez jakiś czas w związku z mieszkającą w pobliżu portu rozwódką.

Może dziś uda mi się z nią pogadać, zastanawiała się Klara, wsiadając do auta.

Omlet był świetny, a młoda kelnerka miła, i Klara szybko zapomniała o bajdurzeniu starej. Zresztą co ją to obchodziło, kto był właścicielem knajpy? Chciała dobrze zjeść i zjadła. Żadnego Zielarza z kałasznikowem w ręku nie spotkała.

W okolicy portu dotarła przed południem, i jedząc kupionego w jednej z budek gofra, usiadła na ławce

naprzeciwko rzędu zaniedbanych kamieniczek z otynkowanymi na pastelowe kolory fasadami. Część z nich wyglądała jak rudery, tylko kilka było świeżo odremontowanych. Z tego, co powiedziała jej ta wszechwiedząca raszpla pani Alina, rozwódka, która żyła w nieformalnym związku z Bugajem, mieszkała właśnie tutaj. Siedziała ponad pół godziny, karmiąc pałętające się przy ławce mewy resztkami gofra, kiedy zobaczyła wychodzącą z budynku Iwonę. Nie była do końca pewna, czy to ona, ale podany jej przez panią Alinę opis nawet by się zgadzał - atrakcyjna wysoka blondyna wiozła w spacerowym wózku śliczną niespełna trzyletnią dziewczynkę. Jest spora szansa, że mam przed sobą byłą dziewczynę Bugaja, pomyślała Klara, przez dłuższą chwilę tylko jej się przyglądając. Przypomina Siennę Miller, przeszło jej przez myśl, kiedy wstawiała z ławki.

Dogoniła ją przy porcie. Iwona przystanęła przy metalowej barierce, by pokazać córce łodzie.

- Pani Iwona? - zapytała Klara, a zaczepiona kobieta odwróciła się gwałtownie i rzuciła jej zdziwione spojrzenie. - Możemy porozmawiać?

- A o czym, przepraszam? - Iwona wyglądała na podenerwowaną.

- Przestraszyłam panią? Nie chciałam.

- Nie, przecież nie wygląda pani zbyt groźnie. Po prostu rzadko się zdarza, żeby w tej dziurze zaczepiał człowieka ktoś nieznajomy. - Iwona lekko się uśmiechnęła. - O co chodzi?

- Mogłybyśmy gdzieś usiąść? Zapraszam na kawę.

- Tak, ale w jakiej sprawie? - Nagle ekspartnerka Bugaja zaczęła tracić cierpliwość.

Klara przez chwilę milczała, zastanawiając się, co powiedzieć, żeby wciągnąć tę wyraźnie podejrzliwą kobietę w rozmowę, a mała wychyliła się ze spacerowego wózka i zaczęła szarpać matkę za rękę.

- Mamusiu, na plażę!

- Za chwilę, myszko. - Iwona pochyliła się, pocałowała córkę w czubek głowy i poprawiła jej spięte w koński ogon jasne włosy. - Za chwilę.

- Znałam Krzysztofa - powiedziała cicho Klara.

Iwona momentalnie spochmurniała i burknęła:

- Nie pani jedna.

- Nie o to chodzi, nie tak! - zaproponowała Klara, chociaż w sumie przecież właśnie TAK go poznała.

Ale o tym nie mogła wiedzieć stojąca przed nią Iwona, w końcu nie była jasnowidząca...

- Chciałabym tylko, żeby pani...

- Nie interesuje mnie, czego by pani chciała! - Iwona bez słowa pożegnania popchnęła wózek z córką i szybkim krokiem ruszyła w stronę niewielkiej plaży za portem.

- Pani Iwono, to ważne! Być może wie pani o czymś, co może się okazać istotne w śledztwie, albo...

- Niech się pani tak nie wydziera, tutaj wszystko ma uszy!  
- syknęła Iwona, gwałtownie się odwracając. - I nie, nie wiem niczego istotnego! Nie byliśmy już razem, kiedy Krzysztof zginął! Zresztą co ja mam z tym wspólnego?

Zastrzelił go jakiś bandzior, nie rozumie pani?!

- Tak, ale...

- Odczep się, dziewczyno, albo wezwę policję! - Iwona straciła resztki cierpliwości i zostawiła Klarę z niczym.

Szlag by to trafił, pomyślała, siadając na kamiennym murku z widokiem na morze. I znowu nic, żadnych informacji, żadnej rozmowy, totalne fiasko. Do portu wpłynął kuter. Przyglądała się kręcącym się po jego pokładzie mężczyznom, w końcu wyjęła z torebki papierosy i zapaliła. To jest bez sensu, pomyślała. Jestem tu od kilku tygodni i nie mam nic. Nikt nie chce ze mną gadać, błędzę po omacku, tracąc czas i benzynę...

Gasząc papierosa, zdecydowała, że wyjedzie jeszcze tego samego dnia. Nie miała czego tutaj szukać, zresztą jej pobyt w tej zapyziałej nadmorskiej dziurze był swego rodzaju ucieczką. W Szczecinie wywierał na nią presję ojciec. Chciał, żeby była ambitniejsza, lepiej zarabiała, robiła coś istotniejszego. To dla niego próbowała zrobić ten materiał, pokazać, że coś potrafi. Dla niego i dla Krzysztofa oczywiście. Ale taka ze mnie dziennikarka śledcza jak z koziej dupy trąba, pomyślała, zeskakując z murku.

Jeden z rybaków, którzy właśnie zeszli z kutra, posłał jej zaciekawione spojrzenie, ale szybko stracił nią zainteresowanie. Patrząc na niego, pomyślała o *Juliecie* Almodóvara, którą kilka dni wcześniej obejrzała u znajomych, i uśmiechnęła się pod nosem. Być może młody rybak skojarzył jej się z jednym z bohaterów tego filmu.

Idąc w stronę auta, ostatni raz zerknęła na wyjątkowo tego



dnia spokojne morze. Później otworzyła samochód, cisnęła torebkę na siedzenie pasażera i nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę Mewy. Podjęła już decyzję: zapłaci, spakuje się i wróci do domu zrobić coś ze swoim życiem. Nie może w nieskończoność zajmować się czymś, do czego najwidoczniej nie miała smykałki.

- Jak smakował omlet? - zapytała ją pani Alina, kiedy Klara odbierała od niej kaucję.

- Świetny.

- Cieszę się. - Posłała Klarze chłodne spojrzenie, wciąż mając za złe poranną uwagę o drożyźnie w pensjonacie.

- Do widzenia, pani Alino! - Godzinę później Klara pomachała gospodyni na pożegnanie, podeszła do parkującego na wybrukowanym podjeździe mini i otworzyła bagażnik.

Wyjeżdżając za bramę, uśmiechnęła się na wspomnienie pocałunku, którym zaskoczył ją Kiciński. Fakt, zachował się jak kompletny idiota, ale przynajmniej miał na tyle klasy, żeby przesłać jej kwiaty i liścik z przeprosinami. Jadąc przez miasteczko, w duchu żegnała się z ulubionymi uliczkami, plażą i kafejkami, w których rano lubiła pić kawę.

- Koniec bajki, czas do roboty - mruknęła, mijając tablicę z przekreśloną nazwą niewielkiej miejscowości.

Gdy dojeżdżała do Szczecina, pomyślała o niepokojąco ciemnych oczach aspiranta Jeremiego Jaromirskiego, ale nie, tej obsesji nie będzie dłużej drążyć! Zawsze traciła głowę dla facetów, którzy kompletnie nie zwracali na nią uwagi, taka już była głupia. Tyle że z tym też czas najwyższy skończyć,

obiecała sobie, wjeżdżając do miasta.

Do ojca zadzwoniła godzinę później, kiedy wywietrzyła mieszkanie, reanimowała przywiedłą paproć, o której zapomniała zaprzyjaźniona sąsiadka, i oblekła świeżą pościel.

- Cześć, tato - powiedziała, kiedy odebrał.

- Klara? Skąd dzwonicz? Tylko nie mów, że wciąż siedzisz w tej dziurze.

- Nie, właśnie wróciłam.

- Cieszę się. Wszystko dobrze?

- Tak, wszystko okay, ale mam prośbę.

- Co się dzieje? Mów, bo zaraz mam konferencję.

- Możesz zadzwonić do Malczewskiego? O ile dalej jest dyrektorem programowym w tej stacji, o której kiedyś rozmawialiśmy.

- Jest, a co? Dorosłaś do stałego etatu? - Ojciec zachichotał złośliwie.

Natomiast Klara skrzywiła się. Wiedziała jednak, że czasem trzeba pokornie znieść docinki staruszka, żeby dostać w prezencie coś więcej. Na przykład fuchę w jednej z większych prywatnych telewizji w mieście. Jedno było pewne - tam, gdzie dotąd pracowała, już nie wróci. Zgodnie z umową skończy nagrania do ostatniego sezonu o salonach urody i oleje ich głodowe płace, marne towarzystwo i gównianą ramówkę. Do cholery, jeśli w ogóle ma coś robić, niech to będzie coś ambitniejszego.

Ojciec obiecał, że zrobi, co się da, i dodał, że musi kończyć.

Siedząc w pustym mieszkaniu, Klara przejrzała kontakty

w komórce, zastanawiając się, z kim mogłaby się umówić na wieczornego drinka, ale wszyscy figurujący w jej telefonie znajomi wydali jej się nagle odlegli, jakby od dawna żyli w zupełnie innych bajkach...

## 29

- Słuchajcie, dziś rano do szpitala trafił kolejny ciężko zatruty dopalaczami dzieciak, tym razem piętnastolatek. Znaleziony przy torach, nieprzytomny. Życie uratował mu bezdomny, który kręcił się w tamtych okolicach. To on zaalarmował pierwszą napotkaną na drodze osobę i poprosił o wezwanie ambulansu - powiedział szef komisariatu, kiedy spotkali się na kolejnej odprawie.

- Grubo - mruknął Kiciuś z pełnymi ustami.

Dojadał właśnie kanapkę, którą rano zrobiła mu Gośka, a siedząca obok niego sierżant Hanka Piasecka podjadała trzymane w rękę zbożowe herbatniki.

- Ludzie, to nie jest, kurwa, piknik! - Marian Oziębłowicz, od rana wyraźnie poirytowany, posłał im karcące spojrzenie i dodał, że sprawa znalezienia rozprowadzającego dopalacze dilerą jest obecnie jednym z priorytetów.

- Przecież wszyscy wiedzą, że stoi za tym Zielarz - odezwała się siedząca z tyłu sali starsza posterunkowa i kilka głów odwróciło się w jej stronę.

- No to teraz spróbuj mu to udowodnić - burknął jeden z gliniarzy.

Oziębłowicz chciał coś dodać, kiedy odezwał się aspirant Jaromirski:

- Niedawno zgłosił się do mnie świadek, który również twierdzi, że stoi za tym Zielarz i jego ludzie. Dostałem nawet

próbki towaru – powiedział.

– I dopiero teraz to mówisz?! – podniósł głos Oziębłowicz.

– Czekałem na wyniki, wczoraj wysłałem towar do znajomego z laboratorium w Szczecinie.

– O takich rzeczach chcę wiedzieć od razu! – warknął szef komisariatu, po chwili dodając jednak coś, co zabrzmiało jak „dobra robota”.

– Co za świadek? – zapytał Jeremiego Kiciński.

– Chyba nie sądzisz, że ci powiem?

– Nie ufasz mi? A powinieneś. Po tym, jak uratowałeś mnie przed siekierą, powinno nas łączyć coś w rodzaju braterstwa krwi – Kicius wyczerzył się w idiotycznym uśmiechu i klepnął Jeremiego w ramię. – Nie ma co czekać na wyniki. Załatwiał nakaz i wchodzimy, żeby w końcu przeszukać cały ten bajzel Zielarza. I tak zbyt długo przymykaliśmy oczy na jego dziwki, nielegalnego pokera i całą resztę cyrku.

– To nie ma nic wspólnego z zaufaniem do ciebie, Wojtuś. Po prostu obiecałem, że nikomu nie powiem.

– Przecież wiem. – Kiciński cisnął do kosza srebrną folię po kanapce i wyszedł z sali odpraw.

Kilka godzin później, uzbrojeni w kuloodporne kamizelki i prokuratorski nakaz, wpadli do dwóch nocnych klubów należących do Zielarza.

– Co jest, kurwa?! – powitał ich jeden z ochroniarzy, ale szybko stracił rezon i cofnął się w głąb lokalu, skąd tylko im się przyglądał.

Początkowo niewiele znaleźli. Wszystko legalne, żadnych prochów. Dopiero kiedy jeden z funkcjonariuszy odkrył

sprytnie zamaskowaną klapę w podłodze gabinetu Zielarza, trafili do prawdziwego skarbcza.

- Człowieku, oczom nie wierzę. - Pochylony nad wejściem do niewielkiej betonowej komórki Kiciński aż gwizdnął, przyglądając się tysiącom owiniętych bąbelkową folią woreczków z dopalaczami.

- Dobra, to zabieramy towar i grzecznie się zegnamy! - zarządził dowodzący akcją gliniarz, a stojący dotąd w milczeniu ochroniarz zaczął nieśmiało protestować.

- Przecież oni mnie zajebią, jeśli to zabierzecie. Panowie, miejcie litość, no. Przecież to nic straszego, produkty kolekcjonerskie i tyle.

- Cofnij się! - warknął Kiciński i wziął od tkwiącego w ciasnej komórce kolegi pierwszy worek z prochami.

Po Zielarza pojechała druga grupa. Zgarnęli go w salonie SPA, którego był współwłaścicielem.

Godzinę później szef komisariatu postawił na stole dyktafon i spojrzał na siedzącego naprzeciwko Zielarza.

- Zaczynam przesłuchanie podejrzanego o rozprowadzanie nielegalnych środków odurzających. Podejrzany Olgierd Małecki, pseudonim Zielarz. Obecni: prokurator Nina Morawska, starszy sierżant Wojciech Kiciński i podkomisarz Marian Oziębłowicz.

- Nie bardzo wiem, czemu tu jestem! - warknął Małecki, pochylając się nad blatem stołu.

Kajdanki na jego dłoniach cicho zabrzęczały, poza tym w niewielkiej sali przesłuchań panowała niczym niezmacona cisza.

- Nie wiesz, co na ciebie mamy?! - parsknął Kiciński. - Człowieku, jeden dzieciak biegał po mieście z siekierą, drugi jest w śpiączce, a jeszcze inny ciężko zatruty!

- A co ja niby mam z tym wspólnego?

- To, że nastoletnie szczyły nażarły się rozprawdzanych przez ciebie prochów.

- W chuja sobie leccie?! Ja niczego nie rozprawdzam! Prowadzę kilka knajp, płacę podatki i z całą pewnością was pozwę! Nie macie prawa wywlekać mnie ze SPA na oczach pracowników i zakuwać jak jakiegoś mordercę! - warknął Zielarz.

- Czy mamy prawo, dopiero się okaże - wycedził Oziębłowicz.

- Chcę rozmawiać z moim prawnikiem!

- Z prawnikiem? A podobno nie masz niczego na sumieniu - rzucił Kiciński z krzywym uśmiechem.

- Nie przypominam sobie, żebyśmy byli na ty, psie! - Zielarz pochylił się w kierunku Wojciecha i spojrzał mu prosto w oczy. - Zapłacicie mi za to, że spierdoliliście mi dzień. Wszyscy!

- Przypominam, że przesłuchanie jest nagrywane, więc radzę się liczyć ze słowami - powiedział Oziębłowicz.

- Traci grunt pod nogami, to ujada - wtrąciła Nina Morawska.

- Zamknij się, lesbo! - warknął Zielarz.

Morawska skrzywiła się w pełnym pogardy grymasie i zerknęła na wyświetlacz swojego telefonu.

- Co? Twoja cipa nie dzwoni? - zakpił Zielarz.

Nina nie odpowiedziała, nie dała się sprowokować. Wstała, uchyliła okno i z powrotem usiadła za stołem.

- To jak? Opowiesz nam, skąd się wzięło pod podłogą twojego gabinetu kilka tysięcy woreczków z towarem? Wszystko już odważone i elegancko zapakowane na handel. Może powiesz, że to nie twoje? - zapytał Kiciński.

- Jasne, że nie moje! Kupiłem ten klub od Estończyka, może to jego? - Zielarz wciąż szedł w zaparte.

- Okay, widzę, że nie jesteś jeszcze gotowy do rozmowy. Zabierzcie go - polecił Oziębłowicz i do pomieszczenia weszło dwóch młodych funkcjonariuszy.

- Zaraz, co jest, kurwa?! Mówię, że nic nie wiem o żadnych prochach i nic na mnie nie macie! - wrzasnął Zielarz, ale w jego głosie rozbrzmiały pierwsze nutki paniki, jakby wreszcie zdał sobie sprawę, w jak głębokie szambo wdepnął.

Był w drzwiach, kiedy odwrócił się i spojrzał Ninie prosto w oczy:

- A gdybym dał wam coś naprawdę mocnego, jakoś by mi to pomogło? - zapytał.

- Niby co? Chcesz nam opylić kilka gramów twoich kolekcjonerskich specyfików? - zakpił Kiciuś.

Morawska zmierzyła go wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: „przymknij się” i podeszła do Zielarza.

Bandzior zmrużył oczy, zmierzył ją kpiącym spojrzeniem i z powrotem usiadł na krześle.

- Powiedzmy, że wiem co nieco o zakończonym śmiercią ofiary zbiorowym gwałcie. Ich trzech, ona jedna. Wchodzicie w to?



- O czym ty pierdolisz?! Nie było w okolicy żadnego zbiorowego gwałtu! - warknął Oziębłowicz.

- Był. - Zielarz uśmiechnął się, a w kącikach jego zielonych oczu pojawił się zły błysk. - Tyle że wy jeszcze jakimś cudem nie odkryliście zwłok.

- Kto? Ktoś stąd? - zapytała cicho Nina.

- Stąd, jak najbardziej. Dziewczyna ze znamieniem. Niektórzy nazywają ją córką czarownicy. Mówi wam to coś?

- Irka Wilczyńska? - zapytał cicho Kiciuś.

- Może i Irka.

- Nie żyje? - Wojciech wyglądał na kompletnie zaskoczzonego.

- Wygląda na to, że nie. A jeśli przez chwilę poszukacie, znajdziecie ją w piwnicy jej domu. Teraz prawdziwa wisienka na torcie: zgadnijcie, kto włamał się do niej w środku nocy, zgwałcił i udusił to dziewczę?

- Wnioskuje, że nie ty - rzucił Oziębłowicz przez zaciśnięte zęby.

- Bardzo słuszny wniosek, panie oficerze.

- Podkomisarzu.

- Jeden pies - burknął Zielarz i spojrzał na Ninę. - Jesteś zainteresowana dalszą rozmową, słońce?

- Słońce będziesz niebawem widywał jedynie zza krat - syknęła.

- Uuuu, chyba w końcu udało mi się lekko wytrącić panią prokurator z równowagi.

- Uwierz mi, nie chciałbyś być blisko mnie, gdy naprawdę coś mnie wytrąci z równowagi. - Nina zastukała o blat stołu

długopisem i zapytała, kto zabił.

- Zgadnij. Coś ci świta? Jakies podejrzenia? - Zielarz najwyraźniej zaczynał się dobrze bawić.

- Nie mam całego dnia, Małecki, więc daruj sobie tę zgaduj-zgadulę! Kto?! - podniosła głos prokurator Morawska.

- Konrad Chojnacki, mówi wam to coś? Jego młodszy brat, Kacper, wymeldował się niedawno z naszego pięknego świata, o tym pewnie słyszeliście. Zabił Konrad, ale zgwałcili ją we trzech, bo Kacper też tam był.

- A ten trzeci?

- O trzecim pogadamy sobie później. - Zielarz wstał i wyciągnął przed siebie ręce. - Czy ktoś może mnie rozkuć?

- Nie łudzisz się chyba, że dziś stąd wyjdiesz? - z uśmiechem skwitowała Nina.

- Przecież współpracuję! - Zielarz wyglądał jak dziecko, któremu odebrano lizaka.

- To może tylko trochę zmniejszyć ci wyrok. Tak czy inaczej, w najbliższym czasie będziesz gościem aresztu na Targowej - powiedział Kiciński z satysfakcją w głosie.

- Moment, jeszcze jedno. Skąd to wiesz? - zapytała Nina.

- Gówniarz mi się pochwalił - skłamał Zielarz, nie dodając nic o przegranej Konrada w pokera i ich rozmowie w jego czterdzieste urodziny. - Wpadł do klubu, pokazał mi nawet jakiś filmik. Był wyjątkowo marnej jakości, ale w sumie było widać, co i jak. Zgwałcili ją we trzech. Ten najmłodszy coś tam nawet protestował, jakby chciał się zabawić w rycerza wybawcę, ale w końcu sam też zdjął gacie i zrobił swoje.

To dlatego Kacper się zabił, zrozumiał Kiciński. Starszy brat wciągnął go w coś, z czym nie potrafił sobie poradzić, i dopadły go wyrzuty sumienia, pomyślał, zerkając na siedzącego za stołem Małeckiego, który wyraźnie nie przejął się swoją ponurą opowieścią, tylko przyglądał się skutym kajdankami dłoniom, jakby nadal dziwił go ich widok na jego przegubach.

- Dobra, na razie to tyle. - Oziębłowicz oficjalnie zakończył przesłuchanie i wyłączył kamerę.

Zielarz wstał i w asyście funkcjonariuszy ruszył w stronę drzwi. Zrobił się niezły syf, ale może jakoś z tego wybrnę, pomyślał. Był niezłe naćpany, kiedy zaproponował młodemu Chojnackiemu ten układ, i nawet sobie nie wyobrażał, że gnojek może wyciąć taki numer, co nie? Był pewny, że nastraszy jakąś staruchę albo przejdzie się pod kościół i pokaże fujarę którejś z dewotek, a ten idiota wziął, kurwa, i zabił. Owszem, w pewien sposób mu zaimponował, jednak kiedy sprawa się wydała, nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Na szczęście mieli tylko jego słowo przeciwko słowu Konrada. Zresztą kiedy już Chojnackiemu udowodnią, że zgwałcił i zabił, nikt nie będzie pytać o ich powiązania. Gnojek pójdzie siedzieć, a ode mnie się odpierdolą, pocieszył się.

- Dobra, trzeba sprawdzić, czy nie ściemniał, a później dorwać Konrada Chojnackiego - zdecydował Oziębłowicz.

- Nie lepiej od razu iść po szczyła? - zapytał Kicius.

- I niby z czym do ludzi? Jeszcze nawet nie widzieliśmy zwłok. Skąd wiesz, że ten skurwiel nie robi nas w wała? -

zapytał Oziębłowicz.

- Kłamałby? Mając nóż na gardle? Nie sądzę - powiedział Wojciech.

- Nie sądzisz? To jeszcze niewiele w życiu widziałeś - skwitowała Nina, zanim złapała torebkę i w pośpiechu wyszła z sali przesłuchań.

Znaleźli ją! Kurwa, w końcu ją znaleźli! Eryk zakradł się w pobliże domu Irki, przemykając wśród drzew, i już z daleka dostrzegł kilka samochodów z kogutami na dachu, dwa cywilne pojazdy, biało-niebieską taśmę z napisem „policja” rozwieszoną wokół starej chałupy i kręcących się przy niej ludzi. Część z nich była ubrana w białe uniformy z kapturami, na twarzach mieli maseczki. Eryk przycupnął za jednym z krzewów i przyglądał im się przez lornetkę. Wyglądają jak w telewizji, pomyślał. Policjantów zauważył dwóch – same znajome twarze w małym miasteczku, pomyślał z niechęcią. Wśród kręcących się wokół domu mężczyzn stała oparta o barierkę werandy prokurator Nina Morawska. Wbita w wąskie spodnie moro, w skórzanej czarnej kurtce, z obciętymi na jeża włosami wyglądała groźnie, budziła respekt.

Eryk powoli wycofał się głębiej pomiędzy drzewa i skulony wbiegł w głąb lasu. Gdyby go tu znaleźli... Wolał nie myśleć, jak by się to skończyło. Biegąc w stronę szosy, pomyślał o Irce. Teraz, kiedy się nią zajęli, zaistniała realna groźba, że jakimś cudem wpadną w końcu na jego trop. Nigdy nie był notowany, więc nie mieli w bazie jego odcisków, ale i tak czuł lęk na myśl, że jej ciało zbadają i potną obce ręce, a wymaz z pochwy i cholera wie, skąd jeszcze, na pewno trafi do jakiegoś laboratorium. Jak w telewizji, pomyślał,

przygryzając wargę. Kurwa! Wiedział, że ten dzień nadejdzie, ale paralizujący strach, jaki w tej chwili czuł, wygrał z przyjemnym uczuciem podniecenia i przebywania w centrum uwagi. Nie bezpośrednio, a jednak.

Wszedł jeszcze głębiej w las, starając się iść tak, żeby robić jak najmniej hałasu. Policjanci i technicy zostali daleko za nim, na polu wokół domu, ale i tak coś ścisnęło go za gardło. Znaleźli ją - to jedno zdanie kołatało mu się po głowie przez kilka kolejnych minut. W końcu usiadł, oparty o gruby chropowaty pień schował do plecaka lornetkę i wyjął butelkę z resztką mineralnej. Zastanawiał się, co powinien zrobić, w końcu wybrał numer Konrada.

- Stało się - powiedział, kiedy kumpel odebrał.

- Skąd wiesz? Miałeś tam nie łązić! - warknął Chojnacki.

- Miałem i co z tego? Nogi same niosą, nie? - Eryk wzruszył ramionami i cisnął w ściółkę butelkę z niewielką resztką mineralnej, jednak szybko się zreflektował i włożył ją z powrotem do plecaka.

- I jak? - zapytał Konrad cicho. - No wiesz...

- Jak w telewizji - powiedział Eryk równie stłumionym głosem. - Słuchaj, nie wiem, jak ty, ale ja zwijam się stąd.

- Że jak? - zdziwił się Konrad.

- No, na przykład odwiedzę kuzyna, wspominałem ci o nim, nie?

- Miałeś siedzieć na dupie, mówiłem ci przecież! - wrzasnął Konrad.

Tyle że właśnie w tej samej chwili Eryk zdał sobie sprawę, że już nie musi go słuchać.

Kiedyś blisko się przyjaźnili, a starszy z braci Chojnackich nawet mu imponował. Niedawno jednak zrozumiał, że Konrad to w sumie zakompleksiony, zakłamaný dupek, który poprawia sobie samopoczucie, zastraszając innych.

Telefon rozdzwonił mu się w rękę, kiedy wstawał. Eryk zerknął na wyświetlacz i zdecydował, że nie odbierze. Pieprzony Konrad nie będzie mu więcej mówić, co ma robić! Wyciszył komórkę, lekliwie oglądając się przez ramię. Ale nie, nie musiał się już bać i kryć, był przecież dość daleko. Nawet gdyby ktoś go tu teraz przyłapał, zawsze mógł powiedzieć, że spaceruje. Las to przecież miejsce publiczne, takie samo jak port czy plaża, powiedział sobie.

Zanim zaszedł do domu, wyjął kilkaset złotych z owiniętej w reklamówkę z Biedronki metalowej skrzynki po herbacie, którą zakopał w ogrodzie na tyłach budynku, i schował pieniądze do kieszeni kurtki.

- Już jesteś? - zdziwił się ojciec, który w samych kraciastych bokserkach, z butelką piwa w rękę, moczył nogi w starej beżowej miednicy.

- Rzygać mi się chce, kiedy to robisz na samym środku kuchni - burknął chłopak, wyjmując z lodówki resztkę wieprzowych kabanosów.

- Proszę, proszę, jaki wrażliwy. Mój dom, moje zasady! - Ojciec wyjął nogi z miski, zachlapując przy tym podłogę, postawił przy krześle flaszkę z niedopitym piwem i wytarł stopy w ręcznik. - Zrób mi jakąś kolację, z głodu padam! - poprosił, ale syn miał inne plany.

- Sorry, wyjeżdżam.

- Wyjeżdżasz? - Stary wyglądał na nieźle zaskoczonego.

- Przecież mówię. - Eryk wyjął z lodówki opakowanie sera w plasterkach, które zamierzał wziąć na drogę, i dopił tkwiące na drzwiach wino, o którym zapomniał zeszłego wieczoru.

- Ty, ale co się dzieje, że nagle zwijasz manatki?

Eryk wzruszył ramionami.

- Nic, a co się ma dziać?

- Czeka, a może chodzi o Julkę? Zrobiłeś dziewczusze brzuch i nawiewasz? - zapytał go ojciec, któremu niedawno się przyznał, że zmajstrował swojej pannie brzuch.

- Może. - Eryk ponownie obojętnie wzruszył ramionami, a stary ochryple zarechotał.

- Moja krew! Moja! - krzyknął. - Ciężkim frajerem w końcu, kurwa, nie jesteś, żeby się od razu żenić, nie?!

- Co racja, to racja. - Eryk uśmiechnął się krzywo, nie wyprowadzając ojca z błędu.

Niech sobie myśli, co chce. Grunt, że się stąd zawijam, pomyślał.

- Gdzie jedziesz? - Ojciec wylał do zlewu wodę z miski, w której moczył nogi, i podrapał się po porośniętej siwą szczeciną brodzie.

- A nie wiem, może bym do Szwecji skoczył i spróbował się tam zahaczyć? Ale jak ktoś zapyta, to nic nie wiesz, co? Powiesz, że pojechałem do znajomych, do Szczecina.

- A kto ma pytać?

- Bo ja wiem? Julka chociażby.

- Nie zadzwonisz do niej?



- Niby po co? Żeby w histerię wpadła?

- W sumie racja. - Zgodził się z nim stary. - To co? Do miłego! - Klepnął go w ramię i krótko utulił. - Dbaj o siebie, synu, bo życie masz tylko jedno - dodał filozoficznym tonem, którego Eryk od zawsze nie znosił.

- Cześć, też się trzymaj. - Skinął ojcu głową, szybko upchnął do plecaka kilka niezbędnych drobiazgów, w tym ładowarkę od starej nokii, i nie oglądając się za siebie, wyszedł z domu.

Idąc w stronę szosy, zastanawiał się, jak zdoła dotrzeć do Świnoujścia. Ściemniało się, a on nie miał nawet pojęcia, czy o tej porze coś jeszcze jeździ. Okazało się jednak, że szczęście mu dopisało - ledwo dotarł na przystanek, jak podjechał pekaes.

Przespał się u kumpla. Marcin nie był co prawda zachwycony jego niezapowiedzianą wizytą, tym bardziej że akurat była u niego jego nowa panna Kama, ale w końcu Eryk skoczył do monopolu po flaszkę i atmosfera znacznie się ociepliła. Pili we dwóch do pierwszej czterdzieści nad ranem, w końcu Marcin pościelił mu na wąskiej niewygodnej sofie i rzucił na nią kraciasty pled.

Wstał wcześniej, i chociaż męczył go kac, szybko otrząsnął się ze zmęczenia, zaparzył kawę i samotnie usiadł za stołem. Śniadania nie zjadł, nie chciał objadać kumpla, któremu z tego, co wywnioskował, raczej marnie się ostatnio powodziło.

Kama zjawiła się w kuchni, kiedy dopijał kawę.

- Hej - mruknęła, nawet na niego nie patrząc.

Czuł, że go nie polubiła, ale prawdę mówiąc, miał to głęboko w dupie. Jeśli dobrze pójdzie, niebawem dotrze do Szwecji, gdzie Piotrek na pewno jakoś mu pomoże stanąć na nogi.

- Długo jesteście razem? - zapytał Kameę, która przyglądając się swoim polakierowanym na złoto pazurom, czekała, aż zagotuje się reszotka wody w czajniku.

- Trzy miesiące, bo co? - burknęła.

- Nic, z grzeczności pytam. - Wzruszył ramionami.

- Z grzeczności to możesz kubek za sobą umyć i wyrko pościelić - rzuciła Kama, posyłając mu złe spojrzenie.

Wredna suka, pomyślał. Gdyby była okazja, pokazałby jej, z kim zadziera, ale tym razem jej się udało. Śpieszył się, cała reszta świata musiała poczekać. Uśmiechnął się pod nosem, pakując kilka drobiazgów do swojego starego wysłużonego plecaka.

- Będę lecieć. Jeszcze raz dzięki za nocleg! - Klepnął w ramię Marcina, który zaspany i skacowany pojawił się w kuchni, wrzucił do zlewu garnek po kawie, złośliwie go nie myjąc, żartobliwie zasalutował i w pośpiechu założył podniszczone adidasy.

Na prom do Ystad wsiadł rano. Wystarczyło mu na bilet i solidne śniadanie, a w portfelu zostało jeszcze trochę zaskórniaków na czarną godzinę. Kiedy wypłynęli z portu, wybrał numer Piotrka, ale kuzyn nie odbierał. Nagrał mu więc wiadomość, że właśnie do niego płynie i chciałby się na jakiś czas zatrzymać w Szwecji, a później wyjął z telefonu kartę, przełamał ją na pół i cisnął do morza. Jak w telewizji...

W ślad za nią wyrzucił za burtę starą nokię, której od dawna nie znosił. Zarobię na nowy telefon, pomyślał. A tymczasem nikt mnie nie namierzy i nie wpadnę przez głupotę. A gliny niech się skupią na Chojnackim, bo mnie już nie dorwą, powiedział sobie, wyjątkowo zadowolony z własnego planu.

## 31

Po telefonie Eryka Konrad Chojnacki zszedł na parter i rozejrzał się po pustej kuchni. W domu było cicho. Ojciec pracował, a matka, zapewne otumaniona lekami, które od śmierci Kacpra łykała regularnie, leżała na sofie. Wzdrygnął się. W takim stanie przypominała bezwolną kukłę, czasem miał ochotę nią potrząsnąć. Z drugiej jednak strony jej stan był mu na rękę, przynajmniej przestała go pilnować i mógł chodzić tam, gdzie chce. Podszedł do okna. W uliczce było pusto i cicho, ale nagle wyobraził sobie, że przed ich domem zjawia się radiowóz, może nawet kilka. W dodatku doszły go słuchy, że zgarnęli Zielarza, a on nie był pewien lojalności gangstera, w końcu ledwo się znali. Co, jeśli Małecki okaże się złamasem, pójdzie na współpracę i go wsypie? - zastanawiał się Konrad, samotnie stojąc w oknie.

Z zamyślenia wyrwał go głos matki.

- Jadłeś obiad? - zapytała.

Odwrócił się i spojrzał na jej zmierzwione włosy, głębokie cienie pod oczyma i blade zapadnięte policzki. Ja jej to zrobiłem, pomyślał, ale nie czuł się winny. Wręcz przeciwnie, miał to gdzieś. Teraz liczyło się tylko to, żeby wymknąć się psiarni. Chuj z maturą, szkołą, przyszłością i całą resztą świata. Po prostu trzeba wiać, pomyślał, bo chociaż w głębi duszy wierzył, że kolejna zakazana zabawa ujdzie mu płazem, niepokój zaczął go podgryzać, kąsać, atakować.

- Konrad, pytałam czy...

- Tak, jadłem - skłamał i matka przestała się nim interesować.

Zanim wyszedł z kuchni, jeszcze raz zerknął przez okno. Pusto. Żadnych radiowozów przed domem, żadnych gliniarzy łomoczących pięściami w drzwi. A jednak zaczął się bać. Nienawidził tego uczucia i rzadko mu się poddawał, ale teraz niemal wpadł w panikę. Muszę się gdzieś przycząić, zdecydował. Zaszyć się na jakiś czas w miejscu, w którym mnie nie znajdą, zebrać myśli. Nie miał jednak pojęcia, dokąd mógłby się udać. Ich letni domek na Kaszubach ojciec sprzedał ponad rok temu, by spłacić długi. Kasy miał na tyle, żeby przeżyć kilka dni, może nawet wynająć na tydzień jakąś norę. Później zostanie bez grosza przy duszy i z policją na karku. A może nie uciekać? Siedzieć na dupie i udawać niewinnego, zastanawiał się. Ale przecież gliniarze nie byli idiotami, a on wszedł i spuścił się w tę szpetną dziwkę bez gumy, no i w całym jej domu zostawił odciski. Kurwa, jak mógł być takim idiotą?! Przecież mówiąc Zielaarzowi, co zrobił, zakładał sobie na szyję stryczek. Ale wtedy nie myślał przyszłościowo, coś mu odjechało. Był naćpany, nakręcony sytuacją i z chujem się na łby zamienił, jak mawiał Eryk. A Małeckiemu chciał się jedynie pochwalić tym, co zrobił córce czarownicy, i zyskać uznanie w oczach bandziora. To oraz anulowanie cholernych pokerowych długów. A teraz psy miały Zielaarza, a on robił pod siebie na myśl, że już wszystko wiedzą.

- Konrad, przejdziesz się ze mną na grób babci? - zapytała

go matka.

- Teraz? - burknął.

- Za jakieś pół godzinki.

- Nie dam rady, wychodzę.

- Ale...

- Mówię, że nie dam rady! - warknął i wyminął stojącą pośrodku kuchni matkę.

Na grób babci, też wymyśliła! - zachnął się, wbiegając na piętro. Ze swojego pokoju zabrał kasę, resztę trawy, której nie zdążył wypalić, i trochę kupionych od Zielarza tabletek. Towar ponoć był nowy na rynku i dawał niezłego kopa, a mnie przyda się zastrzyk energii, pomyślał. Zmieniając przepoconą koszulkę, zerknął na wyświetlacz komórki, ale oprócz niedawnego telefonu od Eryka nikt nie próbował się z nim skontaktować.

W garażu się zawahał. Brać vespę? Kończyła mu się benzyna, a kasy miał tyle co nic. Poza tym na skuterze będzie się bardziej rzucać w oczy, przeszło mu przez myśl, więc zdecydował, że pójdzie pieszo. Zawsze może złapać stopa. Jego jasne włosy, błękitne oczy i niewinna budząca zaufanie uroda zawsze w takich sytuacjach pomagały. Kiedyś zaprosiły go nawet do auta dwie zakonnice, z którymi przez całą drogę do Mielna rozmawiał o Włoszech - na wspomnienie dwóch rozszczebiotanych pingwinów w wieku okołomenopauzalnym uśmiechnął się krzywo i wyszedł przed dom. W uliczce wciąż było cicho, wolał jednak nie ryzykować i zamiast w stronę centrum, od razu pobiegł do lasu. Mijając miejsce, w którym znaleziono jego martwego brata,

przystanął i zapatrzył się na stos pluszowych zabawek, skręconych przez wilgoć laurek z kartonu, sztucznych kwiatów i zniczy. Cud, że lasu nie puścili z dymem, paląc tu wszystkie te durne światełka, pomyślał z pogardą i ruszył przed siebie.

Kiedy zaczęło się ściemniać, zdał sobie sprawę, że musi mieć jakiś plan. Dni były już znacznie cieplejsze, a śnieg w końcu się stopił, ale noce wciąż były zimne. Nie może spać na zewnątrz i z całą pewnością nie może godzinami włączyć się bez celu.

Las gęstniał, drzewa pochylały się nad nim, korony zamykały się nad jego głową, i poczuł dziwny lęk, jakby atak klaustrofobii. Miał ochotę wypalić skręta, ale wiedział, że nie czas na przyjemności. Szedł więc przed siebie i potykając się o wystające z ziemi korzenie, starał się zmusić do obmyślenia jakiegokolwiek planu. Kiedy wydostał się lasem poza granice miasteczka, a za linią drzew były tylko pola rzepaku, fermy drobiu i ciągnące się wzdłuż drogi rolne nieużytki, pomyślał o ojcu. Kiedy się dowie, co zrobił, nie będzie już miał domu. Matka jest słaba, może kiedyś mu wybaczy, ale stary... W życiu! Wyjął z plecaka latarkę i rozświetlił panujący dookoła mrok. Wciąż stał pomiędzy drzewami, jednak do ciągnącego się przy szosie pola brakowało jedynie dwudziestu metrów. Dobra, chłopie, czas na jakąś decyzję, powiedział sobie, niemal po omacku przeszukując plecak. Na zeszyt od polskiego trafił, próbując znaleźć miętowe gumy, i ze złością cisnął na ściółkę. Zapomniał wyjąć go z plecaka, ale nie zamierzał dłużej dźwigać.

- Wal się, Adamie Mickiewiczu, na spółę ze Słowackim - burknął.

I nagle go olśniło. To było jak jakaś iluminacja, jakby w jego mózgu rozbłysła stuwatowa żarówka. Profesor Lachowicz! Rycząca trzydziestka, ich wychowawczyni i polonistka w jednym. Mieszkała sama w domu na obrzeżach miasteczka, jakieś półtora kilometra stąd. Interesował się nią od dawna, pociągała go. Wiedział, że nie należy do jej ulubieńców, ale to tylko dodawało pikanterii. Zresztą w tym akurat zadurzeniu nie był odosobniony - chłopacy z jego klasy ślinili się na jej widok, robili z ukrycia zdjęcia, żeby w domowym zaciszu móc się na nie spuszczać. Radek walił sobie do nich regularnie, podobnie zresztą jak Waldek i Olaf. Ale chrzanić tych złamasów. Teraz on złoży wizytę seksownej pani profesor. Tak, to było to! Lachowicz, pomimo atrakcyjnego wyglądu i młodego wieku, była raczej samotnicą. Wieczory spędzała, czytając z kieliszkiem wina w rękę i z czarnym kotem na kolanach - bywało, że razem z Erykiem podkradali się pod jej okna i zaglądali do środka przez nie do końca zasłonięte zasłony, a ona, nieświadoma tego, że ma widownię, tak cudownie przeciągała się na sofie, przeczesywała palcami ciemne kręcone włosy albo tańczyła pośrodku salonu. Kiedyś udało im się podejrzeć, jak wyłoniła się spod prysznic, niestety szybko wyszła z łazienki, a okna w sypialni były szczelnie zasłonięte. Teraz jednak ma szansę na coś więcej niż skradanie się pod jej domem. Teraz stanie w progu, pomyślał. Wiedział, że to plan raczej krótkoterminowy, ale zaszycie się pod jej dachem da mu czas



na zastanowienie się, przesiedzenie kilku najgorętszych dni. Szczęśliwym dla niego trafem było akurat piątkowe popołudnie, więc w sobotę i niedzielę nikt nie będzie jej szukał. Dopiero w poniedziałek będzie musiał wykombinować, co zrobić, ale do tego czasu może już być daleko. Przy odrobinie szczęścia znajdzie u niej jakąś gotówkę i będzie o kolejnych parę stówek do przodu. Co dalej? Nad tym wolał się na razie nie zastanawiać. Trzeba żyć chwilą, jak mawiali wielcy mędracy.

Kiedy dotarł na miejsce, u Danuty Lachowicz paliło się światło.

- No cześć - szepnął, przykucając skryty za wysokim żywopłotem.

Zanim podbiegł pod okno jej kuchni, wyłączył komórkę i uważnie się rozejrzał. Ciemność panująca wokół nie ułatwiała mu zadania, jednak nie wydawało mu się, żeby ktoś u niej był. Żadnego obcego samochodu na podjeździe, żadnych dochodzących od strony domu stłumionych głosów. Dla pewności przez dłuższą chwilę przyglądał się kręcącej się po kuchni polonistce, ale nie sprawiała wrażenia kogoś, kto ma gości. Zrobiła sobie kromkę z masłem i dżemem, zaparzyła herbatę, pogłaskała kota i umyła naczynia. Nuda, rutyna, zwykły samotny wieczór kogoś, kto od towarzystwa przyjaciół czy faceta woli książki.

- Pokręcona laska - mruknął pod nosem i starając się poruszać bezszelestnie, wszedł na ganek.

Dzwonek wcisnął chwilę później.

Danuta Lachowicz otworzyła mu w spranych dżinsach

i różowym podkoszulku z napisem „supreme bitch”. Na bosych stopach miała śmieszne futrzane kapcie z pomponami, ciemne włosy spięła w koński ogon, a w ramionach trzymała kota.

- Ciekawy styl - zakpił. - Mocno odmienny od tego, który zazwyczaj widzimy w szkole.

- Konrad? Co ty tu robisz?! - zapytała ostro, nie komentując jego bezczelnej uwagi pod adresem jej stroju.

Wyglądała na mocno poirytowaną niezapowiedzianą, zupełnie niewłaściwą wizytą, i nawet nie ukrywała, że nie jest zachwycona jego widokiem.

- Niespodzianka - uśmiechnął się krzywo.

- Nie powinieneś tutaj... - zaczęła, ale on nie czekał na zaproszenie.

Naparł ramieniem na frontowe drzwi, których nie zdążyła zatrzasnąć, wyrwał jej z ramion kota i wywalił miauczącą kreaturę na zewnątrz, a później złapał Danutę za kark i przyciągnął ją do siebie.

- Dobry wieczór, pani profesor.

Zaczęła krzyczeć, ale szybko ją uciszył.

- Zamknij się, dziwko! - syknął.

Znieruchomiała sparaliżowana strachem, ale też zaskakująco szybko pojęła, że tym razem nie stoi za profesorskim biurkiem. Tym razem to on wyznacza reguły gry...

Anna wysiadła z pekaesu i ruszyła poboczem w stronę widniejącego niedaleko ponurego betonowego budynku, w którym mieścił się zakład karny. Tyle razy obiecywała sobie, że go nie odwiedzi i proszę – oto była. Skulona na wietrze, z wilgotnymi od siąpiącej mżawki włosami, szła prosto w stronę bramy. Widzenie załatwiła pod wpływem impulsu. Nagle zrozumiała, że musi go zobaczyć, zamknąć pewien etap, odciąć się od niego, udowodnić sobie, że to, co do niego czuła, było tylko zwykłym zauroczeniem, niczym więcej. Nie mogła przecież kochać mordercy! A może jednak?

Formalności więzienne związane z wizytą ciągnęły się w nieskończoność i zanim dotarła do dusznej sali widzeń, w której niemiłosiernie cuchnęło potem, rozboleła ją głowa.

Na jej widok Filip Czaplicki lekko się uśmiechnął, nie był to jednak ten promienny charyzmatyczny uśmiech, jakim obdarzał ją dawniej. Zauważyła, że zmizerniał i sposępniał, nieodwracalnie tracąc swój chłopięcy urok. Zniknęły gęste lekko kręcone ciemne włosy; głowę miał ogoloną niemal na łyso, w podkrążonych oczach zagościło poczucie beznadziei.

- Dobrze wyglądasz - powiedział, kiedy usiadł naprzeciwko niej.

- Za to ty zmarniałaś - szepnęła.

- Dziwi cię to? Zamknęli mnie tu jak zwierzę! - syknął.

- Zabijałeś ludzi.
- Wyświadczałem im przysługę!
- Zamordowałeś siedmioletnie dziecko!
- Śmiertelnie chore! Uwolniłem jego rodzinę od cierpienia i patrzenia na to, jak odchodzi, a jego ojcu nie pozwoliłem do reszty się zadłużyć.
- Za to wpakowałeś go do więzienia. Niedawno mu udowodnili, że działaliście w zмовie.
- To akurat nie moja wina! - powiedział były duchowny, odwracając wzrok.
- Dobrze cię traktują? - zapytała Anna.
- Czytasz moje listy? - odpowiedział pytaniem. - Nie odpisujesz...
- Nie pisz do mnie więcej - poprosiła. - Chcę, żeby dzisiejsza rozmowa była naszym pożegnaniem.
- Myślałem, że się przyjaźnimy? - Czaplicki spojrzał jej prosto w oczy.
- Zaczerwieniła się pod jego spojrzeniem.
- Nie znałam cię...
- A teraz mnie znasz? Możesz bez wahania podnieść kamień i nim we mnie cisnąć? - zapytał.
- Nie chcę ciskać w ciebie kamieniami. Chcę się pożegnać.
- Ale mnie oceniasz, prawda?
- Dziwisz mi się?! - Anna podniosła głos, przyciągając uwagę stojącego przy drzwiach wysokiego strażnika. - Pieprzyłeś się z nią, a później ją zabiłeś - dodała ciszej.
- Wtedy sama do mnie przyszła, płakała. Powiedziała, że umiera, a chciałaby jeszcze raz poczuć się kobietą.

- I zerznąłeś ją w akcie chrześcijańskiego miłosierdzia, tak? - syknęła Anna.

- Tamtego wieczoru oboje pragnęliśmy bliskości. Kościół uważa seks za grzeszny, ale nigdy się z tym nie zgadzałem. To tylko wymiana energii, odrobina zapomnienia w całym otaczającym nas chaosie.

- Jak na byłego księdza masz zaskakująco liberalne poglądy.

- Już nim nie jestem. - Uśmiechnął się. - A ty? Jak sobie radzisz po śmierci męża?

- Jakoś sobie radzę.

- I tyle? Jakoś? Nie chcesz pogadać, zwierzyć mi się, wyżalić?

- Nie. Mówiłam ci, przyszłam się tylko pożegnać. I nie pisz do mnie więcej, proszę.

- Pisanie do ciebie jest jedną z niewielu przyjemności, jakie tutaj mam.

- Przykro mi.

- Pamiętasz nasze nocne spacerunki po lesie? W tamtych dniach byłem pewny, że coś do mnie czujesz...

- Bzdura! - zachnęła się, ale wypełzający na jej policzki rumieniec zdradził mu prawdę.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, że ja też coś do ciebie czułem - powiedział tym swoim aksamitnym, kojącym głosem, którym zwykł przemawiać na organizowanych przez siebie pseudomodlitewnych spotkaniach.

I wtedy zrozumiała, w końcu to do niej dotarło - nawet tutaj, odbywając wieloletni wyrok, usiłuje ją manipulować,

chce ją zmiękczyć, urobić na własną modłę, omamić czułymi słówkami. Ale ona nie jest już taka naiwna jak kiedyś. Już mu nie wierzy, jego czar przestał działać, skończyło się.

Wstała.

- Usiądź, ledwo przyszłaś. - Czaplicki złapał ją za rękę.

Momentalnie ją cofnęła, jakby jego dotyk ją parzył, ale jeszcze na moment usiadła.

- Mówiłam ci, chcę tylko się pożegnać - powiedziała cicho.

Kobieta przy stoliku obok głośno się rozpłakała i nazwała siedzącego naprzeciwko mężczyznę skurwysynem. Anna się wzdrygnęła, poczuła obrzydzenie do tego miejsca i żalonych losów zamkniętych tu ludzi. Myśl o tym, że być może ona sama również powinna odsiadywać tu karę, była nie do zniesienia. Ale nie, nie chciała nawet tak myśleć. Przecież działała w obronie własnej, nie była zimnokrwistą morderczynią. A może jednak, zastanawiała się, nerwowo wyłamując palce.

- Powinnaś więcej jeść, został z ciebie już tylko cień - odezwał się nagle Czaplicki.

- Jem tyle, ile mi trzeba.

- Nie jesz. Ale pewnie nie chcesz o tym rozmawiać? - Uśmiechnął się złośliwie, chociaż w jego ciemnych oczach dostrzegła troskę. - Czemu nie może być jak dawniej, Anulka? Czemu nie umiesz już ze mną rozmawiać? Osądzasz mnie? To, co zrobiłem, w żaden sposób nie dotyka ciebie. - Filip mówił coraz szybciej, maska chłodnego manipulanta opadała z każdym jego słowem, gdyż właśnie się przed nią odsłonił i pokazał, jak panicznie się boi, że ona wyjdzie, a on

zostanie całkiem sam wśród zimnych ponurych murów.

- Tak łatwo się usprawiedliwiasz, co? Zabiłeś w imię wyższego dobra, nie zraniłeś mnie, jesteś człowiekiem z zasadami... Naprawdę w to wierzysz? Jesteś mordercą, Filipie - powiedziała Anna, patrząc mu prosto w oczy. - Mordercą - powtórzyła.

Tak jak ja, pomyślała. Różnica między nimi była jednak taka, że Anna potrafiła poczuć na swoich barkach ciężar tego, co przed laty zrobiła, i przyznać przed samą sobą, że odebrała komuś życie. On siedział naprzeciwko niej i twierdził, że pomagał swoim ofiarom, działał z czystych pobudek. Ale nie, on zabijał. Dla zysku, słodkiego poczucia bezkarności, chęci zapanowania nad cudzym losem, odegrania roli Boga. Zabijał i czuł się bezkarny. A teraz usiłował wmówić jej, że wciąż mogą być przyjaciółmi?! Nie, Filipie. Już nigdy ci nie uwierzę, pomyślała.

- Pójdę już. Dbaj o siebie.

Tym razem nie dała się zatrzymać. Wstała i nie oglądając się za siebie, przeszła przez zatłoczoną duszną salę widzeń.

- To nie mów mi, kurwa, co mam robić! - krzyknęła jakaś kobieta za jej plecami.

W korytarzu oparła się o ścianę i wzięła kilka głębszych oddechów.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał mijający ją strażnik.

- Tak, wszystko w porządku - zapewniła go.

Kiedy wyszła z budynku, przypomniała sobie o wyczytanej w Internecie informacji - w pobliżu miało się znajdować niewielkie urokliwe jeziorko. Doszła do szosy i po kilkunastu

metrach zeszła z głównej drogi na mniej uczęszczaną polną ścieżkę. Miała nadzieję, że dotrze do jeziora, ale równie dobrze mogła po prostu się przejść. Po wilgotnym dżdżystym poranku dzień się wypogodził i zza chmur nieśmiało zaczęło wyglądać słońce. Szła zakurzoną polną drogą, dopóki nie dotarła do opuszczonej drewnianej altanki. Dookoła niej stało kilka pniaków. Przysiadła na największym i wystawiła twarz do słońca. A gdybym w końcu, po latach myślenia o innych, zaczęła myśleć o sobie? Gdybym przestała się zadrećzać o syna, tak jak dawniej bałam się o męża, i wreszcie zadbała o siebie. Gdybym zaczęła cieszyć się życiem i uznała, że moja pokuta już się skończyła? Czy dam radę wstać z łóżka i powitać nowy dzień uśmiechem, zastanawiała się, siedząc wśród poruszanych lekkim wiatrem wysokich traw. Krzysiek, który przez długi czas był centrum jej wszechświata, już nie żył. Nie potrafiła go ochronić, chociaż przez tyle lat robiła wszystko, żeby ich małżeństwo przetrwało. Ale on nie tylko ją opuścił, ale i dał się zabić... Arek z kolei dorastał i miał własne życie. Nie łudziła się, że jest w nim wiele miejsca dla niej. Za jakiś czas się wyprowadzi i zostanie sama. Może właśnie dlatego powinna się w końcu nauczyć żyć tylko i wyłącznie dla siebie, zdecydowała.

Wstając z pniaka, ostatni raz spojrzała w stronę majaczącego w oddali ponurego budynku więzienia, i nagle Filip wydał jej się tak samo odległy jak cała traumatyczna przeszłość, którą zapragnęła za sobą zostawić.

Kiedy wróciła do domu, zdjęła czarną żałobną sukienkę i weszła do pełnej gorącej wody wanny. Nie będę dłużej się



zadręczać, powtarzała sobie jak mantrę. Nie będę się zamartwiać tym, co może się wydarzyć, i nie będę się więcej obwiniać o to, co się kiedyś stało, obiecała sobie. Żyłka, którą się cięła, wciąż leżała za jedną z doniczek na parapecie. I chociaż chwilowo nie miała zamiaru po nią sięgać, wiedziała, że któregoś dnia to zrobi. Nie uciekniesz od swoich koszmarów, odezwał się cichy głos w jej głowie.

- Zamknij się - syknęła.

Ucichł, ale tylko na chwilę. Czekał na sposobniejszą okazję, żeby odezwać się ponownie.

Związał ją, zakneblował i usadził pośrodku sypialni na przyniesionym z kuchni krześle! Danuta wciąż nie mogła uwierzyć, że cały ten koszmar dzieje się naprawdę. Był jej uczniem, do cholery! Chłopcem, który pisał pod jej okiem wypracowania i przygotowywał się do matury. Psychopatą, pomyślała nagle i przeszły ją ciarki. Tak, od dawna wyczuwała w nim coś mrocznego, jakby jego miła powierzchowność była tylko przykrywką dla żyjącego w jego wnętrzu ohydneho kłębowiska robaków.

- Wygodnie pani, pani profesor? - zapytał kpiąco Konrad, przysiadając na łóżku.

W ręku trzymał jej bawełniane majtki, które przed chwilą wyjął z komody.

- Jak na kogoś tak gorącego jak ty spodziewałem się raczej koronek - mruknął, rozciągając w dłoniach gumkę od kwiecistych majtasów, która w końcu z cichym trzaskiem pękła. - Upsss...

Danuta szarpnęła głową, usiłując jednocześnie poluzować związane z tyłu dłonie, jednak srebrna taśma, którą znalazł w jej łazience, była zaskakująco mocna.

- Chcesz coś powiedzieć? - zapytał, rzucając majtki na podłogę.

Zerwał z jej ust kawałek taśmy i usiadł na łóżku, naprzeciwko niej.

- Co? Zaniemówiłaś? A może pogadamy o sonetach krymskich? - zarechotał.

Przez dłuższą chwilę milczała, w końcu podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Konrad, cokolwiek się dzieje...

- Nie masz pojęcia, CO się dzieje! - warknął, pochylając się w jej stronę.

- To mi powiedz - poprosiła, starając się nie okazywać paniki.

W środku cała się trzęsła i z trudem panowała nad własnym ciałem, jednak starała się mówić do niego w taki sposób, jakby wciąż odgrywali znaną jej rolę nauczycielka - uczeń. Tyle że on nie był już jej uczniem. Był gniewnym młodym mężczyzną, który z niezrozumiałych dla niej przyczyn wtargnął do jej domu, związał ją i upokorzył.

- Konrad, proszę cię... - zaczęła. - Porozmawiajmy. Mogę ci pomóc, przysięgam! Cokolwiek się stało, zawsze jest jakieś wyjście. Opowiedz mi, w co się wpakowałeś.

- Nie chciałybyś tego usłyszeć, nie spodobałoby ci się - wycedził z uśmiechem, a w jego błękitnych oczach pojawił się zły błysk.

On mnie zabije, przeszło jej przez myśl. Nie wiem, co zrobił, ale przyszedł tu w chwili, gdy nie ma już nic do stracenia, zdała sobie sprawę.

- Zmarkotniałaś. - Mrugnął do niej. - Może jakaś muzyka? - podszedł do stojącej w kącie sypialni wieży, przejrzał ułożone alfabetycznie na regale kompakty i wyjął *Du hast Rammsteina*. - Wyglądasz mi na maniakalną pedantkę, ale

przynajmniej słuchasz niezłej muzy - dodał, wkładając płytę do odtwarzacza.

Kiedy w niewielkiej sypialni rozbrzmiały pierwsze dźwięki, burknął, że musi się odlać, sprawdził, czy Danuta nie poluzowała sobie więzów, i ruszył na poszukiwania łazienki.

Kilka minut później, kiedy już się załatwił, spuścił wodę i umył ręce, pobieżnie przejrzał jej szafki. W tej z lekami nie znalazł niczego ciekawego. Aspiryna, apap, pomarańczowe tabletki na ból gardła, plastry na obtarte pięty i no-spa - tyle upchnęła do niewielkiej apteczki nad umywalką. Za to w jednej z szuflad stojącej pod oknem komody odkrył wibrator - widok imponująco dużego sztucznego penisa z różowego plastiku sprawił, że Konrad parsknął śmiechem.

- Proszę, proszę, pani profesor. Jednak nie samym Żeromskim żyje kobieta - mruknął, podrzucając erotyczną zabawkę w dłoni.

Odłożył ją na pralkę i wyjął z szuflady obrębione sztucznym futerkiem kajdanki.

- Coraz ciekawiej - uśmiechnął się pod nosem. - Opowiesz mi coś o tym? - zapytał, kiedy wrócił do sypialni.

Na widok wibratora, który przyniósł razem z kajdankami, Danuta gwałtownie się zaczerwieniła.

- No wiesz, co cię kręci, jak go sobie wkładasz, tego typu klimaty. Jestem cholernie ciekawy. - Rozsiadł się na łóżku i założył sobie na przeguby kajdanki z futerkiem. - Jednak kogoś masz? Spore zaskoczenie... Ale chyba tu dziś nie przyjdzie, co?

- Nie - powiedziała cicho Danuta.

- Mam nadzieję, bo jeśli tak, mogę mieć dla niego niemiłą niespodziankę.

- Rozstaliśmy się rok temu, a te kajdanki to idiotyczny prezent od przyjaciółek.

- Przyjaciółek? - roześmiał się. - Tylko nie mów, że one też uczą? Myślałem, że polonistki wręczają sobie w prezencie opasłe tomy klasyki polskiej literatury, względnie coś nowszego. Czytasz Mroza? Mnie się nawet podoba.

- Nie - powiedziała.

- W takim razie żałuj, bo biorąc pod uwagę tempo, z jakim koleś pisze, raczej już nie nadrobisz zaległości - zarechotał Konrad, odkładając kajdanki na łóżko. - Dobry był? No wiesz, twój były...

- Nie będę z tobą o tym rozmawiać - powiedziała Danuta, jeszcze bardziej pąsowiejąc na twarzy.

- Okay. W takim razie, skoro nie masz mi nic do powiedzenia, zamknę ci buźkę. - puścił do niej oczko i z powrotem zakleił jej usta. - Dobra. Czas pozwiedzać - rzucił do siebie.

Przeczesywał jej komodę, bez większego zainteresowania przyglądając się mało seksownej bieliźnie, rajstopom i beżowym stanikom, kiedy w głębi domu odezwał się telefon.

- O, jednak nie jesteś aż taką pustelnicą. Jak myślisz, kto dzwoni? O, przepraszam, przecież nie możesz mówić. - Ponownie do niej mrugnął i przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, czekając, aż umilknie sygnał komórki. - Dobra, poszukajmy jakiejś kasy - mruknął pod nosem, otwierając szufladę niewielkiego stojącego pod oknem biurka. - Szlugi?

Pani profesor pali? Nieładnie – zakpił.

Pieniędzy jednak nie znalazł. Przeszukał nawet torebkę, ale w portfelu miała tylko sto dwadzieścia złotych.

- Dobra, koniec zabawy. Gdzie trzymasz kasę? – zapytał, zrywając z jej ust knebel.

Jęknęła.

- Boli? No nie bądź taką mimozą. Przynajmniej wydepiluję ci wąsik nad górną wargą. U brunetek to ponoć spory problem – zarechotał. - Gdzie trzymasz kasę? Potrzebuję gotówki!

- W banku – szepnęła.

- Nie kłam! – wrzasnął. - Coś musisz mieć w domu!

- Nie mam. Nie zdążyłam dzisiaj podejść do bankomatu, a...

- Kłamiesz! – warknął.

- Nie mam, słyszysz?! Sprawdź w kuchni, w pudełku po kakao, może znajdziesz tam parę dych, ale to wszystko.

- Paroma dychami to sobie możesz tyłek podetrzeć.

- Przykro mi – powiedziała.

- Przykro to ci dopiero będzie!

Zakładał jej na usta taśmę, kiedy przed dom zajechał samochód, którego reflektory omiotły przednią ścianę i zgasły.

- Siedzisz i ani piśniesz! Zresztą nie bardzo masz jak! – warknął Konrad, podchodząc do okna.

Zasłonę uchylił na tyle, żeby móc zerknąć przez wąską szczelinę w materiale, i zobaczył idącą w stronę drzwi otyłą kobietę w czerwonym płaszczu.

- Ja pierdołę, przecież to Madejska. - Na widok nauczycielki chemii Konrad prawie parsknął śmiechem. - Nie wiedziałem, że się przyjaźnisz z tą nudną starą krową - rzucił półgłosem.

Madejska wcisnęła dzwonek. Później jeszcze kilkakrotnie usiłowała się dostać do domu, w końcu zrezygnowała.

- Umawiałaś się z nią na dziś? - warknął Chojnacki, kiedy starsza nauczycielka odjechała. - Może ją zaniepokoić to, że nie otwierałaś drzwi?

- Nie - szepnęła Danuta, kiedy po raz kolejny zerwał z jej ust taśmę. - Proszę, nie zakładaj mi tego. Błagam cię.

- A będziesz grzeczna?

- Tak, przysięgam! I rozwiąż mnie na moment, chociaż ręce. Cała zdrętwiałam.

- Mam cię rozwiązać? - roześmiał się.

- Ścierpły mi nogi - poskarżyła się.

- Jakoś przeżyjesz. - Wzruszył ramionami.

Nie założył jej jednak taśmy na usta, co przyjęła z wdzięcznością.

- Więc czego chciała Madejska?

- Nie wiem, nie umawiałam się z nią na dziś.

- Przyjaźnicie się?

- Nie. Po prostu czasem stawiam jej karty.

- Stawiasz jej karty? - Chojnacki parsknął śmiechem. - Jaja sobie ze mnie robisz?

- Nie. Jestem w tym dobra, moja babcia przekazała mi dar.

- To może mnie też postawisz karty?

- Wolałabym nie.

- A to czemu? Gdzie je trzymasz?

- Nieważne, zapomnij.

- Mam zapomnieć? Nic z tego, słońce. Zaciekawiałaś mnie. -  
Wciąż ubawiony zaczął otwierać wszystkie szuflady komody.

- W biurku, w najniższej szufladzie - powiedziała cicho  
Danuta.

Znalazł komplet tarota i położył go na łóżku.

- Rozwiąż mi ręce.

- Oczywiście, pani profesor.

- Przetasuj je i przełoż. Pierwsza, którą wyciągniesz, to karta, która cię opisuje - powiedziała, chwilę później biorąc od niego kartę z podobizną diabła. - Diabeł. Nienawiść, żądza władzy, ostrzeżenie przed nałogami - powiedziała. - Wybierz kolejną. - Wyjął z rozłożonej na łóżku talii Wieżę. - Najgorsza z kart tarota - dodała, a w jej głosie Konrad wychwycił nutkę mściwej satysfakcji. - Zapowiedź konfliktów i złych zmian, katastrof, kłótni i życiowych rewolucji.

- Pierdoły! - Konrad jednym ruchem rozrzucił rozłożone przez nią karty i posłał jej złe spojrzenie. - Chyba jednak wolę, kiedy trzymasz głowę na kłódkę - wycedził i pomimo jej protestów, zakleił jej usta.

Ręce związał lżej znalezionymi w komodzie rajstopami. Przed nocą to poprawi, teraz musi pomyśleć, powiedział sobie.

W salonie, samotnie krążąc po ciemnym pokoju, coraz bardziej gorączkowo zastanawiał się, co dalej. W końcu przypomniał sobie o kupionych u Ziellarza tabletkach i wyjął je z plecaka. Zanim je łyknął, poszedł do kuchni, zjadł



kawałek znalezionego w lodówce kabanosa i wyjął piwo. Widok heinekena na dolnej półce lodówki mocno go zaskoczył. Może Lachowicz nie jest jednak aż taką nudną pizdą, pomyślał, otwierając flaszkę znalezionym w szufladzie otwieraczem. Przy okazji zlokalizował czekoladę z orzechami i z piwem w dłoni przeszedł do salonu.

W pokoju było ciemno. Usiadł na sofie i zerknął w stronę okna. Przez nie do końca zasłonięte zasłony widział kawałek pustego podjazdu przed domem i aksamitną czerń chłodnej kwietniowej nocy.

Dopijał piwo, kiedy gdzieś za jego plecami ponownie rozdzwoniła się komórka.

- Kurwa! - zaklął i wstał, żeby zlokalizować telefon.

Dzwoniła Madejska, na widok jej nazwiska na wyświetlaczu aż zazgrzytał zębami. Czego chce to wścibskie zmurszałe babsko?! - zastanawiał się. Po chwili zdecydował, że odbierze. Szansa, że przygłucha, zbliżająca się do sześćdziesiątki nauczycielka pozna go po głosie, była raczej znikoma.

- Dobry wieczór. Danka bierze prysznic, mam coś przekazać? - zapytał obcym, mocno modulowanym głosem, a w słuchawce na dłuższą chwilę zapadła cisza.

W końcu wyraźnie zmieszana Madejska wymamrotała coś o tym, że odezwie się kiedy indziej, i w pośpiechu się rozłączyła.

- No i spierdalaj - mruknął Konrad, cisnął komórkę na sofę i dopił resztkę heinekena.

Pigułki od Zielarza zażył chwilę później. Smakowały nijako,

ale dawały prawdziwego kopa. Najpierw poczuł mrowienie w całym ciele, jakby swędziały go żyły, później lekki zawrót głowy i gorąco. Uczucie gorąca wzmagало się z minuty na minutę, żeby stać się przemożne, trudne do zniesienia. Jednocześnie przez głowę gnały mu tysiące myśli, a on czuł się jednocześnie lekki i skołowany.

- Kurwa - mruknął, siadając na sofie.

Zawroty głowy się nasiliły, serce zaczęło bić dziwnie nierównym rytmem, w ustach zaschło. Z trudem przetykał ślinę, uczucie pragnienia dominowało nad wszystkim innym, wzięło go we władanie. Wstał i zaczął nerwowo krążyć po salonie. Głowę atakowały mu wspomnienia z nocy, w której zgwałcił Irkę, niemal słyszał jej błagalne prośby o litość, jęki i wrzaski. Przyłożył dłoń do piersi i przez dłuższą chwilę ją tam trzymał. Serce biło coraz szybciej, a może on wariował? Przypomniawszy sobie o Danucie i podtrzymując się ściany, przeszedł do sypialni. Zawroty głowy były tak silne, że z trudem utrzymywał się na nogach.

Kiedy wszedł do pokoju, Lachowicz szarpała się na krześle, usiłując rozerwać więzy. Ale rajstopy, którymi skrępował jej ręce, były zaskakująco mocne, zimowe.

- Miałaś być grzeczna. Miałaś siedzieć spokojnie, nie wkurwiać mnie, nie wiercić się, kurwa! - wyrzucił z siebie.

Szarpnęła głową.

Podniósł z podłogi srebrną taśmę, urwał kawałek i po tym, jak rozwiązał prowizoryczny sznur z rajstop, ponownie skrępował jej dłonie.

- Śpij słodko - wymamrotał, czując, jak zalewa go pot.

Kurwa, co to za świństwo, zastanawiał się, siadając na łóżku. Nigdy wcześniej nie reagował na prochy w taki sposób, teraz z trudem udawało mu się zebrać myśli.

Zasnął, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki. Obudził się kilkanaście minut później w zarzyganej pościeli.

- Ja pierdolę - wymamrotał, zanim szarpnęły nim kolejne torsje.

W sypialni cuchnęło. Kwaśny odór wymiocin mieszał się z wyraźną wonią jego potu i duchotą, która powstaje w dawno niewietrzonych pomieszczeniach. Wstał, przetarł usta podniesioną z podłogi koszulką Danuty, którą cisnął na ziemię, przegrzebując komodę, i szarpnął za zasłony, chcąc otworzyć na oścież okno.

Danuta siedziała na krześle z lekko przechyloną na bok głową, a on w pierwszej chwili pomyślał, że nie żyje. Kiedy jednak szarpnął zasłoną, otworzyła oczy.

- Zarzygałem ci łóżko. - Mrugnął do niej.

Nie zareagowała. Zwiesiła głowę i nie starała się już nawiązać z nim jakiegokolwiek kontaktu, wyglądała na zrezygnowaną.

Konrad przez dłuższą chwilę stał w otwartym na oścież oknie, w końcu je zamknął i podszedł do Danuty.

- Wynosimy się stąd, moja piękna - zdecydował. - W tej chujni siedzieć nie będziemy - dodał, uwalniając ją.

Kiedy ją podniósł, zawisała mu w ramionach. Nogi miała tak ścierpnięte, że nie potrafiła iść. Przeciągnął ją do salonu bezwładną niczym kłodę, posadził na krześle i rozejrzał się za taśmą. Załapała go za rękę, posyłając mu błagalne

spojrzenie.

- Chcesz czegoś? - zapytał.

Skinęła głową na „tak”.

Zerwał jej z ust taśmę.

- Pić. I do łazienki - wychrypiała.

- Pić, dobry pomysł. - Konrad przyniósł z kuchni butelkę mineralnej, wypił połowę i przyłożył jej do ust. - Pij, tylko nie za wiele. Chyba że nad ranem chcesz się zeszczuć w spodnie? Bo nie wiem jak ty, ale ja się muszę zdrzemnąć. Łyknąłem jakieś świństwo, które totalnie mnie rozpierdoliło.

- Nie powinieneś zażywać takich rzeczy - powiedziała cicho Danuta, kiedy już oderwała się od butelki. - Muszę do łazienki - dodała.

- Chodźmy więc. - Uśmiechnął się krzywo.

- Wyjdź - poprosiła chwilę później.

Roześmiał się.

- Niby czemu? Chcę popatrzeć.

- Konrad, proszę cię. Wciąż jeszcze możesz się wycofać, zakończyć to, uwolnić mnie i...

- I co?! Myślisz, że mam do czego wracać?!

- Co ty zrobiłeś, że zaszliśmy aż tu? - zapytała.

- Szczaj, skoro musisz! - ponaglił ją.

- Wyjdź stąd! - krzyknęła, ale nie zamierzał się ruszyć.

Usiadł na wannie i nie spuszczał z niej wzroku. W końcu się poddała. Rozpięła dzinsy, zsunęła je razem z majtkami i usiadła na sedesie.

- Dobra dziewczynka - powiedział, oblizując usta.

Nagle zdał sobie sprawę, że pomimo całego szamba,

w jakie wdepnął, ma ochotę ją zerznąć. Przeciągnął wzrokiem po jej częściowo nagich udach i uśmiechnął się pod nosem, kiedy strumień moczu popłynął po ściance muszli. Danuta nie patrzyła w jego stronę, po jej policzku spłynęła pojedyncza łza upokorzenia.

- Płaczesz? Chyba się mnie nie wstydzisz? - zakpił.

- Odwróć się - poprosiła, chcąc wstać.

- Strasznie nieśmiała jesteś. Myślisz, że nie widziałem w życiu cipki? Ty, a może ty nigdy z nikim? Ten twój były chłopak naprawdę istnieje czy dogadzasz sobie tylko fiutem na baterie? - zapytał.

- Odwróć się! - wrzasnęła Danuta, zrywając się z sedesu.

- Noo, prawie mnie przestraszyłaś - zakpił.

Kiedy się schyliła, myślał, że chce podciągnąć spodnie. Dopiero kiedy oberwał w pysk szczotką od kibla, zorientował się, że zdążyła za nią złapać i chwilowo oślepić go na jedno oko.

- Kurwa mać! - wrzasnął, łapiąc się za policzek.

Tymczasem Danuta zdążyła podciągnąć dżinsy i pognać w stronę łazienkowych drzwi.

- Dokąd, suko?! - rzucił się za nią i dorwał w salonie, kiedy rozpaczliwie szukała komórki. - Trzeba było biec do drzwi. Twój błąd. Chociaż nie. Na tym pustkowiu nie miałabyś szans, żeby mi uciec - wycedził, łapiąc ją za ramię. - Walnęłaś mnie w gębę szczotką od czyszczenia kibla, zdajesz sobie z tego sprawę?

- Konrad, proszę cię...

- Nagrabiłaś sobie, moja pani. Od teraz szczasz pod siebie!

- Wypuść mnie, nikomu nie powiem! - rozplakała się.  
- Masz mnie za idiotę?!  
- Przysięgam, że...  
- Zamknij się! - pchnął ją na krzesło. - Muszę się przespać,  
a ty grzecznie tu sobie posiedzisz - dodał, krępując jej ręce  
i nogi.

Zakładając jej knebel, zerknął w dekolt rozciągniętego różowego podkoszulka, ale nagle stracił ochotę na seks. Po kilkunastominutowym pobudzeniu chciał już tylko spać, oczy dosłownie mu się kleiły. Krzesło, na którym ją posadził, stało jakieś trzy metry od sofy, na którą się walnął. Od strony uchylonych drzwi od sypialni zalatywało kwaśnym odorkiem rzygowin, ale nie miał siły, żeby wstać i je zamknąć. Zasnął niemal od razu, zapadł się w ciemność snu bez snów, a w salonie młodej nauczycielki zapadła złowroga cisza.

## 34

Siedzieli we czwórkę w dusznej sali konferencyjnej: szef komisariatu, sierżant Hanna Piasecka, Jeremi i Kiciuś.

- Kurwa mać, nie wierzę! - zaklął Oziębłowicz, dla lepszego efektu waląc pięścią w stół.

- Mówiłem: trzeba było od razu po niego iść - triumfował Kiciński.

- Skąd mogłem wiedzieć, że szczeniak gdzieś przepadnie?!  
- warknął Marian Oziębłowicz, posyłając Wojciechowi złe spojrzenie.

- Dostaliśmy cynk, że zgwałcił i zabił. Trzeba było od razu go zamknąć - zgodziła się z Kicińskim Hanka.

- I co? Zlinczujecie mnie?! To nie było potwierdzone! Nawet prokurator Morawska uważała, że nie możemy na słowo uwierzyć Zielaarzowi. - Oziębłowicz poczerwieniał na twarzy i zacisnął ręce w pięści. - Kurwa mać! - powtórzył.

- To tylko szcyl przed dwudziestką, chłoptaś, który dotąd grzecznie chodził do szkoły. Znajdziemy go, nie ma co panikować. - Hanna wzruszyła ramionami.

- Nie doceniasz go. Ten chłoptaś najprawdopodobniej był prowodyrem, który zainicjował brutalny zbiorowy gwałt na dwudziestokilkulatce, a później ją zadusił - zauważył Marian.

- Tym bardziej trzeba było od razu go zgarnąć. - Kiciński napawał się swoją racją, irytująco podkreślając to, że doradzał natychmiastowe zatrzymanie Konrada

Chojnackiego.

- Może trzeba jeszcze raz przycisnąć jego rodziców? Jest cień szansy, że przy odrobinie nacisku z naszej strony wpadną na to, gdzie ten gnojek mógł się zaszyć - zasugerowała Hanka.

- Po co? Przecież chłopacy już i tak zaczęli namierzać jego komórkę. - Jeremi Jaromirski sięgnął po leżące na stole paluszki. - Jeśli jest w okolicy, znajdziemy go. Jeśli nawet gdzieś dalej, to tylko kwestia czasu. Jego ojciec twierdzi, że nie powinien mieć przy sobie żadnej większej kasy. Karty płatniczej jeszcze nie posiada, comiesięcznie dostawał od rodziców gotówkę. To się miało zmienić po maturze, do której teraz najpewniej nie podejździe. Matka powiedziała nam, że nie ma pojęcia, czemu zniknął bez słowa i nie wrócił na noc, ale ojciec sprawiał wrażenie, jakby coś pomału zaczynało do niego docierać. Chyba przeczuwa, że mamy na jego starszego syna coś więcej niż chęć rozmowy o rzekomym znęcaniu się nad młodszym bratem.

- Paskudna sytuacja. Tyle ostatnio przeszli, a teraz może się jeszcze okazać, że jedyny syn, który im został, może być zamieszany w śmierć ich młodszego dzieciaka. - Hanna z niedowierzaniem pokiwała głową i w sali zapadła cisza.

- Aha, najważniejsze. Właśnie przefaksowano mi raport z sekcji Ireny Wilczyńskiej. Dziewczyna została ciężko pobita i skopana, o czym świadczą dwa złamane żebra, żuchwa i mnóstwo innych obrażeń. Do tego brutalnie ją zgwałcono, najprawdopodobniej wszyscy trzech napastnicy odbyli z nią stosunek. Liczne podbiegnięcia krwawe na całym ciele,



zwłoki obnażone, w stanie rozkładu. Mamy farta, że niska temperatura i niewielka wilgotność panujące w piwnicy znacznie powstrzymały proces gnilny. Denatka zmarła w wyniku uduszenia, wcześniej najprawdopodobniej była podtapiana. Na ciele i w ciele ofiary znaleźliśmy mnóstwo materiału dowodowego. Sprawcy albo nie byli wcześniej notowani i czuli się bezkarnie, przekonani o tym, że nigdy nie zdołamy powiązać ich z tą sprawą, albo byli czymś odurzeni, co w dużej mierze ograniczyło ich rozsądny osąd sytuacji. Dzięki profesjonalizmowi i oddaniu doktora Darka Krawczyka sekcja została zrobiona na tak zwane cito. Czekaemy jeszcze na wyniki badań toksykologicznych, ale to, czy znajdziemy cokolwiek we krwi ofiary, niczego przecież nie zmienia. Dziewczyna została bestialsko zamordowana przez tych trzech zwyrodnialców. Ja z kolei nie znalazłem żadnych prywatnych bądź innych więzi łączących Irenę Wilczyńską z napastnikami, i po prostu nie wiadomo, czym się kierowały te bydlaki, wybierając akurat ją. Być może to, że żyła w pewnej izolacji społecznej i mieszkała w dość odludnym miejscu, sprawiło, że pomyśleli właśnie o niej. Wabikiem mogło być również szkarłatne znamię na jej twarzy – w swojej bucie i arogancji sprawcy mogli zakładać, że Irka jest kimś gorszym od innych, niezastępowalnym na szacunek. Ale to tylko moje przypuszczenia – powiedział Oziębłowicz. – Znałem jej matkę, lubiliśmy się. Długo nie mogłem odżałować, że tak młodo zmarła – dodał i w sali na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- Dobra, czyli co? Priorytetem jest dopadnięcie Konrada

Chojnackiego i odkrycie, kto był trzecim z napastników? – zapytał Kiciński.

- Tak. Czekam na telefon. Jeśli tylko namierzą jego komórkę, zaczynamy gnojka szukać. A tymczasem wypadałoby pogadać z tym Senegalczykiem – rzucił Oziębłowicz. – Hassan Niang, przez ostatnie miesiące ponoć chłopak ofiary. Kobieta, u której Irka kupowała jajka, zdradziła nam, że często u niej bywał, sypiali ze sobą. Chociaż ostatnio go nie widywała...

- A skąd kobieta, która sprzedaje jajka, wie, kto z kim sypia? – zdziwił się Wojciech, ale nikt nawet lekko się nie uśmiechnął.

- Kiciński, pojedziecie z Hanką pogadać z tym Niangiem. Koleś pracuje na kurzej fermie. Może wie coś ciekawego, czego my nie wiemy?

- Jest szansa, że to on był trzecim sprawcą? – zapytała cicho Hanka.

- Raczej nie. Nie znaleziono na ciele ofiary ani w piwnicy żadnego włosa z nerkowatym przekrojem charakterystycznym dla czarnoskórych, mamy natomiast kilka włosów należących do białych mężczyzn. Technicy zebrali próbki z sypialni Irki i z piwniczki. Jak mówiłem, materiału dowodowego nie brakuje – powiedział Marian Oziębłowicz i zerknął na zegarek.

- Skoro tam bywał, to musiało coś się ostać – zdziwiła się Hanka.

- Może jest łysy? Może od jakiegoś czasu jej nie odwiedzał? – spekulował Kicius. – A może Wilczyńska umiała odkurzać?

Nie to co moja Gośka. Mówi, że przejechała dywan odkurzaczem, a wszędzie pełno kudłów.

- To sam lepiej odkurz - syknęła Hanka, w której nagle obudziła się feministka.

- Odkurzam. - Wyszczrzył się w szerokim uśmiechu, tymczasem Marian ponownie zerknął na zegarek i mruknął, że musi się zbierać.

Kiciusia nieco śmieszyło to, że jeszcze w ogóle go nosił, on sam od paru lat zerkał na wyświetlacz telefonu, by sprawdzić godzinę. Ale może to była pamiątka, a może po prostu Marian należał do pokolenia, które nie potrafiło się pożegnać z pewnymi relikami minionej epoki? - pomyślał, wstając.

- Chodź, pojedziemy na tę kurzą fermę i przy odrobinie szczęścia zastaniemy tam pana Hassana - rzucił nieco kpiarskim tonem, a kiedy wyszli przed budynek, spytał: - Jedziemy moim czy twoim autem?

- Twoim. Głowa mnie boli, nie mam ochoty prowadzić - powiedziała Hanna, rozmasowując skronie.

Kwadrans później dotarli przed bramę fermy, ale tu ich fart się skończył.

- Nie mogą państwo wjechać na teren zakładu - powiedział siwiejący pracownik, odmawiając otwarcia bramy.

- Jesteśmy z policji.

- A macie nakaz?

- Nie chodzi nam o fermę, chcemy tylko pogadać z Hassanem Niangiem - powiedziała Hanna.

- Nie ma go dziś - skłamał.

- Nie? A ten Murzyn na wózku widłowym to kto, Snoop

Dogg? - zakpił Kiciuś.

Zmieszany pracownik odwrócił się, a Wojciech zdołał pchnąć bramę i wbiec na teren zakładu.

- Hassan Niang?! Policja, chcemy porozmawiać! - krzyknął, wymachując swoją legitymacją.

Hassan gwałtownie się odwrócił, ale bynajmniej nie zamierzał ułatwiać im zadania. Manewrując wózkiem widłowym, przejechał pomiędzy ustawionymi na ziemi klatkami z dostawą kurczaków i ciężarówką, po czym śmignął w stronę hali i objechał ją, znikając im z oczu. Kiciński rzucił się do biegu, ale dopadła go kolka. Hanna, która przez jakiś czas biegła za nim, w końcu została w tyle i zdyszana oparła się o ścianę olbrzymiej i pełnej drobiu hali.

- Kurwa! - zaklął Kiciuś, bezradnie przyglądając się, jak jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej Niang wspina się na drucianą siatkę, zwinnie z niej zeskakuje i gna w stronę pobliskiego lasu.

- Z czarnym to pan władza żadnej szansy nie miał - klepnął go w plecy jeden z pracowników fermy, przyglądający się nieudanemu pościgowi. - Zwinni są, to trzeba im przyznać.

- Pytałem pana o zdanie?! - burknął Kiciuś i wyjął z kieszeni papierosa. - A ty wlokłaś się jeszcze bardziej ode mnie - rzucił na widok Hanki.

- Kolano mnie boli, okay? Daj fajkę.

- Od kiedy palisz? - zdziwił się.

- Od dzisiaj. Jezu, jak tu cuchnie, czujesz? Jakby amoniakiem zajeżdża z tej hali. Chybabym się zabiła, gdybym miała pracować w tym syfie.

- Pewnie kwestia przyzwyczajenia, jak wszędzie. - Kiciuś podsunął jej paczkę cameli.

Palili oparci o ścianę hali, w końcu Wojciech wdusił w ziemię niedopałek i zerknął w stronę lasu.

- Chodź, podjedziemy kawałek tamtą drogą i się za nim rozejrzemy.

- A co my właściwie na niego mamy?

- Póki co nic. Chciałem pogadać, przecież wiesz. Ale skoro uciekł...

- To cudzoziemiec, Senegalczyk. Pewnie po prostu boi się policji.

- Tia, bo policja usmaży go na wolnym ogniu i pożre. - Kiciński schował papierosy do kieszeni wiatrówki i szybkim krokiem ruszył w stronę toyoty.

## 35

Jeremi wchodził do odziedziczonego po Bugaju gabinetu, kiedy z głębi korytarza zawołał go Kiciuś.

- Kumpel właśnie do mnie dzwonił z informacją, że kilka minut temu włączył się i zalogował do sieci telefon Konrada Chojnackiego. Z tego, co mówił Paweł, gnojek jest gdzieś tutaj. - Wojciech stuknął palcem w wiszącą na ścianie mapę okolicy. - Z dokładnością do jakichś kilkuset metrów, o ile szczył nie zdołał się już przemieścić. Paweł ma trzymać rękę na pulsie.

- Co to za okolica? - zapytał Jeremi, przystając obok Kicińskiego.

- Zadupie pod miasteczkiem. Lasy, trochę fortyfikacji, kilka domów.

- To co? Zbieramy ludzi i rozejrzemy się tam? - zapytał Jaromirski.

- Trzeba by - zgodził się z nim Wojciech.

Tam, gdzie miał się ponoć znajdować Konrad Chojnacki, dotarli w kilka minut. Razem z nimi wybrał się do lasu jeden z posterunkowych i Ewa, jednak choć przez ponad dwie godziny kręcili się po lesie, nie znaleźli chłopaka.

- Można by ściągnąć psy, szkoda czasu na kręcenie się po omacku - zaproponował Jeremi.

- Dobra, podzwoję. - Kiciński poszedł do samochodu i na dłuższą chwilę zniknął Jaromirskiemu z oczu. - Dzisiaj nie da

rady. Wszyscy pojechali szukać młodej matki z sąsiedniego miasteczka – powiedział, kiedy wysiadł z auta i podszedł do Jeremiego.

- Gdzieś przepadła?

- Tak, razem z dwumiesięczną córką.

- Kurwa, co się na tym świecie dzieje?

- Mąż podejrzewa depresję poporodową. Boi się, że żona zrobi krzywdę sobie lub ich dziecku.

- Oby nie. - Jaromirski oparł się o maskę należącej do Kiciusia toyoty i spojrzał na pobliską ścianę lasu. - Gnojek może być wszędzie.

- Zorganizuję więcej ludzi. Pościąga się parę osób, znajdziemy go.

- Dzieciak przed maturą... W pale się nie mieści. - Jeremi pokiwał głową.

- No, ciężko uwierzyć – przyznał Kiciuś. - Dobra, zbieramy się, zanim lunie. Nie ma co tu sterczeć. W kilka osób i tak gównowo działamy.

Po siedemnastej wznowili poszukiwania, ale mimo że ochotniczo pomagało im kilkunastu mieszkańców miasteczka, nie trafili na ślad Chojnackiego. Przed dziewiętnastą mocno się rozpadało, a panujące w lesie ciemności nie ułatwiały zadania i ekipa zaczęła się wykruszać. Ludzie byli głodni, zniechęceni i przemarznięci.

- Jutro Oziębłowicz pewnie będzie musiał podjąć jakąś decyzję, co dalej. Czy prosimy o pomoc kogoś z zewnątrz, czy radzimy sobie sami – powiedział Kiciuś, kiedy razem z Jeremim wsiedli do toyoty.

- Jutro mam wolne - mruknął Jaromirski.
- Wątpię. Kiedy coś się dzieje, stary stawia na nogi wszystkich swoich ludzi.
- Czyli się nie wyśpię?
- Na to bym raczej nie liczył. - Kiciński zawrócił na wąskiej i pełnej kolein leśnej drodze, po czym ruszył w stronę miasteczka. - Słyszałem, że w Szczecinie zajmowałeś się sprawą Krejzola?
- Stare dzieje...
- No nie bądź taki skromny. - Kicius na moment oderwał wzrok od drogi i posłał koledze krzywy uśmiezek. - Udupiliście w końcu jednego z najbardziej poszukiwanych bandziorów.
- Mieliśmy fart. Koleś wkurwił swoją byłą, która nam go wystawiła. Gdyby nie to, szukalibyśmy pewnie tego cwela do usranej śmierci.
- Nie ma na tym świecie bardziej przerażającej ręki sprawiedliwości od wkurwionej, żadnej zemsty samicy, co? - mruknął Kicius.
- W tym akurat wypadku wszystkim to wyszło na dobre.
- Zazdroszczę. Nigdy nie brałem udziału w takiej akcji.
- Uwierz mi, nie masz czego żałować.
- Czy ja wiem? Zawsze to bardziej spektakularne niż ściganie tłukących teściowe miejscowych kmiotów.
- A kto się znęca nad teściową? - parsknął śmiechem Jeremi.
- Był tu taki jeden. Ślusarz, mieszkał pod miasteczkiem. Pobił teściową pogrzebaczem, powybił kobiecie zęby,



masakra.

- Bohater, kurwa - zaklął Jeremi.

- Cieszę się, że zaczęliśmy ze sobą gadać. Miałem cię za nadętego gogusia.

- A ja ciebie za nudnego służbistę.

- Dzięki, dobrze wiedzieć. - Kiciuś zarechotał. - Wracasz na komendę czy jedziesz do domu?

- Do domu.

- Podrzucę cię. Klonowa, tak?

- Tak, sam koniec uliczki.

- Ładna okolica, nieźle trafiłeś.

- Nie narzekam.

Kiedy dotarli przed dom Moniki Wiśniewskiej, aspirant podziękował koledze i wysiadł na deszcz.

- Do jutra! I bądź pewny, że stary każe ci się rano stawić na komendzie - rzucił jeszcze Kiciuś, zanim Jaromirski zatrzasnął drzwi od strony pasażera.

Był przy furtce, kiedy Kiciuś zatrąbił i zatrzymał się na skraju jezdni.

- Czekaaj, zapomniałem ci się pochwalić! - krzyknął, wyjmując coś ze schowka.

Jeremi podszedł do samochodu i zmrużył oczy, starając się dostrzec cokolwiek wśród deszczu i ciemności.

- Łażę czasem po lasach z wykrywaczem metalu i trafiła mi się saszetka z monetami. Patrz, pięć reichspfennigów. Tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty! - pochwalił się Kiciuś.

Jeremi wziął do ręki kilka monet z orłem i swastyką i przez dłuższą chwilę przyglądał im się w nikłym świetle latarki,

którą przyświecał mu Wojciech.

- Ciekawe, jak skończył ich właściciel i co robił w tych lasach?

- Cholera wie - burknął Wojciech, wyciągając rękę po swoje znalezisko. - Zaniosę je do muzeum, nie chcę tego trzymać w domu - dodał.

- Sprawdź, pewnie są coś warte - powiedział Jeremi, podnosząc kołnierz kurtki.

- Dobra, na razie! Nie truję ci już dupy, bo nieźle się rozpadało. - Kiciński skinął kumpłowi, podniósł szybę i wolno ruszył w stronę wylotu ulicy.

Jeremi pchnął furtkę i wszedł do domu. Moniki chyba nie było, na parterze panowała niczym niezmacona cisza. Wchodząc na piętro po niemiłosiernie trzeszczących schodach, stłumił ziewanie i zdjął przemoczoną sztruksową kurtkę. W mieszkaniu było duszno. Uchylił okno w salonie i poszedł pod prysznic. Stojąc w kłębach pary, zdał sobie sprawę, że nadciąga kolejna migrena. Zaczęło się jak zwykle od dziwnego ciągnięcia u podstawy czaszki, jakby nagle miał za krótkie żyły, a godzinę później miał już wrażenie, że ból i mdłości nasilają się z każdym ruchem gałek ocznych. Wyciszył telefon, zjadł kawałek żółtego sera tylko po to, żeby móc zażyć tabletkę, a później pogasił światła i położył się na sofie.

Ból głowy zelżał dopiero po dwudziestej pierwszej, łaskawie mu odpuszczając. Jeremi nienawidził tych ataków, czuł się bezsilny w starciu z bólem i mało męski. Migrena kojarzyła mu się raczej z kobiecą przypadłością, może

dlatego nikomu nie wspomniał o tym, że od lat nękają go tak silne bóle głowy. Kiedyś, wieki temu, usiłował o tym pogadać z ojcem, ale stary poradził mu, żeby nie zwracał uwagi na pierdoły, jak to określił, i wyraźnie olał temat.

- Pierdoły - mruknął Jaromirski, powoli siadając na sofie.

Zemdliło go, ale tylko na moment. Przez resztę wieczoru buszował w sieci, w końcu umył zęby i poszedł spać.

Hassan zdjął z metalowego wieszaka na ubrania jedną z niewielu eleganckich koszul, jakie posiadał, i rozłożył deskę do prasowania. Na co dzień ubierał się raczej swobodnie. Bluzy, sprane dzinsy, rozciągnięte podkoszulki. Ale sobotnie wieczory należały do Danuty, a w jej oczach chciał wyglądać lepiej niż zazwyczaj. Uczyła go polskiego i bardzo lubił te dwie godziny w tygodniu, kiedy spotykali się w jej domu. Przychodził na dziewiętnastą, wychodził o dwudziestej pierwszej. Czasem zostawał dłużej i robiła dla niego kolację. Świetnie gotowała, dzięki niej pierwszy raz spróbował wielu przysmaków tradycyjnej polskiej kuchni, nawet wziął od niej kilka przepisów. Może kiedyś, kiedy będzie go stać na mieszkanie, w którym jest piekarnik, zrobi gołąbki? Teraz musiał sobie radzić na elektrycznej dwupalnikowej płycie, na której mógł co najwyżej coś odgrzać czy upichcić szybkie spaghetti. Ale był optymistą, zawsze patrzył w przód z nadzieją. Życie było jak koryto rwącej rzeki, niosło ze sobą wiele niespodzianek, pomyślał, zabierając się za prasowanie prążkowanej koszuli.

Kiedy skończył, wziął szybki prysznic, ogolił się i wklepał w policzki płyn po goleniu. Krótkie mocno skręcone włosy przygładził z pomocą niewielkiej ilości żelu i zadowolony z siebie założył rozłożone na łóżku ciuchy. Zanim wyszedł, włożył do plecaka podręcznik z polską gramatyką.

- Pies, psa, piesowi - mruknął, zamykając drzwi. - Nie, cholera! Pies, psa, psu - przypomniał sobie. - Trudna język, ale piękna kobiety - dodał pod nosem i nagle poczuł obezwładniający smutek na myśl o tym, że nie zobaczy już Irki.

To przecież dla niej zaczął się uczyć polskiego. Wcześniej znał jedynie kilka najpotrzebniejszych zwrotów, a gdzie mógł, tam mówił po angielsku. Ale ona angielskiego nie знаła. Mówiła, że nie ma głowy do nauki, od czytania bolały ją oczy. Zaczął się więc uczyć i to, co na początku wydawało mu się męką, dzięki Danucie i jej świetnemu podejściu do ciemnoskórego ucznia stało się czystą radością.

Pod jej dom dotarł pieszo. Wieczór był wietrzny i chłodny, ale przyzwyczał się już do takiej pogody i zdołał ją polubić. Spacer wzdłuż lasu świetnie oczyszczał umysł, a jednocześnie pozwalał na poukładanie w głowie najważniejszych bieżących spraw. Jak na przykład upchnięcie gdzieś w sam jej kąt wyrzutów sumienia z powodu tego, jak potraktował Irkę, kiedy ją znalazł...

Ruszył przez podjazd. W salonie Danuty było ciemno, co go zaskoczyło. Zazwyczaj czekała na niego w rześkim oświetlonym domu, witając go lampką wina bądź gorącą herbatą. W tle słychać było muzykę, albo chociaż telewizor. Lubiła światło, tak mu kiedyś powiedziała. W ciemności czuła się jak przerażona mała dziewczynka; mrok ożywiał wszystkie stare demony. Może dlatego, że w dzieciństwie, pod nieobecność jej ojca, macocha na długie godziny zamykała ją w szafie? Kiedy mu o tym opowiedziała,

pomyślał, że mają podobne doświadczenia. Jego z kolei za nieposłuszeństwo zamykano w niewielkiej ciemnej komórce pod schodami domu dziadka i do dziś miał ciarki na myśl o tych godzinach, które tam spędził...

Podszedł do frontowych drzwi i przyłożył ucho. Cisza... Wyszła? Coś się wydarzyło i musiała gdzieś pojechać? Ale przecież jej stary opel stał na podjeździe, a w sypialni była zapalona lampka. Nikła poświata sączyła się przez niewielką szparę w niestarannie zasłoniętych zasłonach. Hassan przez dłuższą chwilę stał przy drzwiach, nie mając pojęcia, co robić. W końcu sięgnął po komórkę, by wybrać numer nauczycielki, ale jego od dawna nieładowany telefon zdążył paść. *Fuck*, pomyślał. Chwilę później wszedł na trawnik i podszedł do sypialnianego okna. W pokoju było pusto i zaczął już wierzyć, że z jakichś powodów nie spotka się dziś z Danutą, chociaż nie napisała mu nawet esemesa z informacją o odwołaniu lekcji.

Wtedy zobaczył kota. Futrzak kręcił się po podjeździe, cicho pomiaukując. Ten widok mocno go zaskoczył. Wciąż niewiele wiedział o swojej nauczycielce, ale jednego był pewien - ten kot był dla niej jak dziecko. Nie wypuszczała go na zewnątrz, nigdy. Farciarz rezydował wyłącznie w domu, a jeśli brała go na spacer, chodził na smyczy. Pamiętał, jak rozbawił go ten widok. W Senegalii mało kto aż tak się przywiązywał do domowych zwierząt, ale w Europie wszystko było inne. W Stanach zresztą też. Do dziś parskał śmiechem, gdy widział w telewizji paniusie wożące psy w dziecięcych wózkach. Jeszcze raz zerknął przez szczelinę

w zasłonach, jednak niczego nie zobaczył.

Miał się zbierać, kiedy to usłyszał. Gniewny, pełen agresji męski głos:

- Zamknij się, dziwko!

Nie znał jeszcze dobrze polskiego, ale to akurat świetnie rozumiał. Znieruchomiał, a po chwili powoli wycofał się spod okna i przylgnął plecami do frontowej ściany domu. Co się dzieje, do kurwy nędzy? - zastanawiał się, samotnie stojąc w mroku. Kot cicho miauknął i otarł się o jego łydkę. Zwierzak sprawiał wrażenie głodnego i przestraszonego, o ile kot może odczuwać strach... Nagle Hassan pomyślał o Irenie. Wtedy też nic nie zrobił i leżała tam sama samiuteńka przez kilka kolejnych dni. Kurwa... Zrozumiał, że musi iść na policję.

Do miasteczka dotarł biegiem. Mokry od potu, zdenerwowany, dezorientowany. Po drodze spotkał dwóch młodych mężczyzn, których poprosił o pożyczenie telefonu, ale jeden wulgarnie kazał mu spierdalać, a drugi minął go bez słowa, nawet na moment nie przystając.

Wchodząc na komendę, już w drzwiach wpadł na gliniarza, który chciał z nim rozmawiać na kurzej fermie. Tego, któremu uciekł...

Na jego widok starszy sierżant Kiciński, który wrócił na komisariat po tym, jak odwiózł Jeremiego do domu, stanął jak wryty i krzywo się uśmiechnął.

- Proszę, proszę... Pan do nas? - rzucił kpiącym tonem.

- Musieć z kimś rozmawiać. - Hassan rozejrzał się nerwowo, jakby wciąż jeszcze nie wierzył, że z własnej woli

zamierza przekroczyć próg komisariatu, a później błagalnie spojrzał na Kiciusia. - Kobieta niebezpieczna. Niebezpieczeństwo przy kobieta - wyrzucił z siebie łamaną polszczyzną.

Wojciech natychmiast stał się czujny.

- Zapraszam do środka - powiedział i obaj weszli do budynku.

- O, mamy gościa - rzuciła Piasecka na widok Hassana.

- Dobra wieczór - powiedział, a ona posłała mu cierpki uśmiech.

- Proszę, tu sobie przycupniemy. - Kiciński otworzył pustą salę konferencyjną i weszli do środka. - Hanka, chodź tu! Lepiej znasz angielski, może łatwiej mu będzie mówić w tym języku. - Spojrzał na Nianga. - Dobra, co się dzieje?

- Ja się uczyć polskiego. Ja mieć, ja mam nauczycielka. Ona miła kobieta. Dzisiaj lekcja, ale na ona ktoś krzyczeć. W jej dom. Facet. Zły. Krzyczeć, że ona kurwa i cicho siedzieć - wyrzucił z siebie Hassan.

- Czekał, chłopie, bo nie bardzo ogarniam - zaczął Kiciuś, ale Hanna złapała go za rękę i kazała mu się przymknąć.

- Danuta Lachowicz! - krzyknęła, zrywając się z krzesła.

- Tak, ona Danuta! - potwierdził Hassan.

- Kto? - zdziwił się Kiciuś.

- Profesor Lachowicz. Polonistka i wychowawczyni Konrada Chojnackiego!

- Pieprzysz? - Kiciński ze zdziwienia aż rozdziawił usta. - Myślisz, że zamelinował się u niej? Czemu akurat tam?

- Bo jej nie znosił! Bo chciał ją jakoś ukarać i nadarzyła się



okazja. Bo to bandzior i psychopata, który myśli, że wszystko ujdzie mu na sucho! Bo jest weekend, więc nikt nie będzie jej szukał w szkole. Ona samotnie mieszka na odludziu, a on nie ma już nic do stracenia! Mam ci podać jeszcze tysiąc innych powodów?

- Kurwa... Że też o tym nie pomyśleliśmy... Przecież Paweł mówił, że to w tej okolicy logował się do sieci jego telefon, kiedy ten gnojek na moment go włączył.

- Dobra, zbieraj ludzi! A pana będziemy musieli jeszcze raz oficjalnie przesłuchać - powiedziała sierżant Piasecka, zanim wybiegła z sali.

Zgarnęli go niecałą godzinę później. Zaskoczeniem było dla nich to, że nie stawiał oporu. Dał sobie założyć kajdanki i z błakającym się w kącikach warg uśmiechem spojrzał na siedzącą na krześle związaną, zapłakaną i nagą Danutę.

Kiedy do niewielkiego domu wtargnęło kilku gliniarzy, Kiciński zarzucił pled na ramiona upokorzonej nauczycielki i posłał nienawistne spojrzenie Chojnackiemu. Pierdolony psychol!

Idąc do policyjnego radiowozu, Konrad obejrzał się za siebie, jakby chciał zachować w pamięci każdy szczegół tego wieczoru. Na wspomnienie przerażonej, zapłakanej polonistki, która w szkole uwielbiała zadawać mu najtrudniejsze i podchwytliwe pytania, uśmiechnął się krzywo. Kiedy mnie zamkną, będę miał co wspominać, pomyślał. Bo przecież nieźle się razem zabawili. Przynajmniej jemu się podobało, bo co do niej, nie miał stuprocentowej pewności...

Po południu, kiedy już się wyspał, doszedł do siebie po zażyciu wyjątkowego świństwa od Zielarza i zjadł jajecznicę na boczku, rozwiązał Danutę i kazał jej się rozebrać. Ileż było łez, błagań i szlochów... Nie chciała, twierdziła, że nie potrafi, że woli umrzeć. Ale kiedy przyciągnął ją do siebie i przyłożył do jej szyi ząbkowany nóż, nagle zmieniła zdanie. Gdy już była naga, zrobił sobie dobrze i z rosnącym zadowoleniem obserwował, jak roztrzęsiona Lachowicz kuli się w kącie pokoju, zasłaniając rękoma drobne piersi. Na nadchodzącą noc planował znacznie więcej atrakcji. Niestety skończył im się czas. Szkoda, ale cóż...

Wsiadając do radiowozu, z nienawiścią pomyślał o ojcu. Rodzice zawsze bardziej kochali Kacpra, był ich wychuchanym grzecznym synusiem. Może właśnie dlatego poszedł w końcu na całość? Żeby ukarać ojca i zadać matce śmiertelny cios w serce, pomyślał. Ale nie, to było coś więcej. Przecież od dawna wyobrażał sobie, że zakrada się do Irki w środku nocy, zdiera z niej ubranie i się z nią zabawia. Wszystko, co zdarzyło się później, było tylko konsekwencją tego, co zrobił córce czarownicy. Na myśl o Wilczyńskiej poczuł przyjemne mrowienie w podbrzuszu. Wybrał ją nie bez przyczyny. Planował to od dawna, od dnia, w którym w swoje piętnaste urodziny zakradł się z Erykiem pod jej dom i głuchą nocą masturbował się pod jej oknami. Wtedy jeszcze żył jej dziadek i nie mogli sobie pozwolić na nic więcej. Ale myśl o tym, że któregoś dnia pójdzie z nią na całość, rozrastała się w jego umyśle, niebezpiecznie pęczniąc. Nie chodziło nawet o to, że Irena mu się

podobała. Była szpetna, zdziwaczała i głupawa. Chodziło o władzę, poczucie, że jest się Bogiem. Mógł jej zrobić to, na co tylko miał ochotę, i to było w tym wszystkim najlepsze, pomyślał, wyglądając przez okno jadącego w stronę aresztu radiowożu.

Myśl o tym, że najbliższe lata spędzi za kratami, jeszcze do niego nie docierała...

- Wstawaj, mamy do pogadania! - Max zjawił się w ich niewielkim domku koło trzeciej nad ranem, wszedł do pokoju, w którym spały, zdarł kołdrę z Pauli i szarpnął za ramię.

Brutalnie wyrwana ze snu przez alfonsa, Paula cicho krzyknęła i starając się oprzytomnieć, usiadła na łóżku.

- Co, wystraszyłem cię? - zaśmiał się Max. - Rusz się, nie mamy pół nocy! - dodał ostrym, mało przyjemnym tonem.

Paula zsunęła stopy na podłogę i rozejrzała się za kapciami, ale nie potrafiła ich znaleźć. W pokoju było ciemno, Max przyświecał sobie jedynie latarką z telefonu. Drżąc z chłodu w marnie ogrzewanym domu, wstała i boso przeszła do łazienki.

- Muszę się przebrać - powiedziała.

- Nie musisz! - warknął Max.

- Jest zimno, mam na sobie nocną koszulę!

- Masz trzy minuty! - powiedział, kiedy roztrzęsiona przeszukiwała stertę rzuconych pod okno ciuchów, próbując znaleźć dzinsy i sweter.

- Idę zapalić. - Max wyszedł z pokoju i ruszył w stronę frontowych drzwi, a Paula z dzinsami i swetrem w dłoni pobiegła do łazienki.

Oksanę obudził podniesiony głos alfonsa. Inne dziewczyny spały. Część z nich położyła się pijana, część zażyła

zamulające prochy bądź po prostu była śmiertelnie zmęczona. Ona jednak zawsze miała lekki sen, co tu, w tym ciasnym, zagrzybionym domu było jej przekleństwem.

W łazience coś trzasnęło, jakby Pauli coś wypadło z ręki, w końcu w domku zapadła cisza. Młoda Ukrainka podeszła do okna i odsłoniła ciężką kwiecistą zasłonę. Max palił oparty o drzewo, kilka metrów dalej stało czarne bmw. Samochód należał do Zielarza, ale w sumie nie zdziwiło jej, że Maksymilian połasił się na nocną przejażdżkę wozem szefa. Małecki wciąż był przecież w areszcie i nie zanosilo się na to, że szybko stamtąd wyjdzie, a Max od lat był jego prawą ręką, pomyślała, przyglądając się otulonej ciemnością sylwetce alfonsa i żarzącej się w mroku końcówce papierosa. Kiedy skończył, cisnął na ziemię niedopałek, z którego w locie posypały się iskry, zdusił go czubkiem eleganckiego skórzanego buta i zerknął w stronę domu. Oksana odskoczyła od okna, przerażona wizją tego, co mógłby jej zrobić, gdyby przyłapał ją na szpiegowaniu.

Chwilę później usłyszała, jak pogania zakładającą buty Paulę.

- Dokąd jedziemy? - zapytała jej przyjaciółka. - Do klubu?

- Zobaczysz - powiedział.

- Musimy akurat dziś? Źle się czuję, a jeśli masz dla mnie klienta, to...

- Przymknij się i chodź! - warknął Max.

Oksana wciąż stała przy ścianie, starając się nie uronić żadnego słowa z toczącej się w ciemnym przedpokoju rozmowy. Kiedy wyszli na zewnątrz, usłyszała zgrzyt

przekręcanego w zamku klucza – Max miał swój komplet do ich drzwi. Jak mógłby go nie mieć, pomyślała ze łzami w oczach i wyjrzała przez okno. Paula chciała wsiąść i otworzyła sobie tylne drzwi, jednak Max złapał ją za kark i zaciągnął na tył auta. Oksana nawet w nikłym świetle pobliskiej latarni zauważyła paniczny strach w oczach przyjaciółki i sama na moment zamarła. Boże, on ją chce władować do bagażnika! – dotarło do niej. Paula coś krzyknęła, ale cios w żołądek zgiął ją wpół i skutecznie uciszył. Oksana wpadła w panikę, czuła, że ma sekundy, może minuty, żeby coś zrobić. Max otworzył bagażnik i złapał Paulę za ramię, a Oksana przyglądała się bezradnie z zaciśniętymi w pięści dłońmi i łzami w rozszerzonych strachem oczach.

Nagle przypomniała sobie o pistolecie. Ulka, która ponoć planowała wielką ucieczkę, pochwaliła się jej kiedyś, że facet, z którym od czasu do czasu sypia, podarował jej glocka. Zerknęła w stronę łóżka, na którym spała Urszula, ale nie wyglądało na to, żeby koleżanka miała się obudzić. Oksana uklękła i poluzowała jedną z płytek za fotelem, skąd wyjęła owinięty w starą bluzkę Ulki pistolet.

Za oknem trzasnęły samochodowe drzwi. Poderwała się na nogi, przerażona, że jest za późno. Jeśli odjadą, nie zrobi już nic. Ale miała szczęście. Max wrzucił coś na tylne siedzenie wozu, splunął na ziemię i ruszył w stronę domku. O Boże, idzie tu! Oksana zacisnęła palce na zimnej kolbie glocka i przywarła plecami do ściany. Po chwili bezszelestnie wślizgnęła się do łóżka i po uszy okryła kołdrą. W zamku

zachrobotał klucz. Max musiał czegoś zapomnieć. Albo przyszedł po którąś z nas, pomyślała, zaciskając powieki. Boże, spraw, żeby nie przyszedł po mnie, zmówiła bezgłośnie modlitwę.

Trzasnęły łazienkowe drzwi. Ulka wymamrotała coś przez sen, a śpiąca pod oknem Renata niespokojnie się poruszyła. Oksana leżała bez ruchu, nasłuchując, i w końcu zrozumiała. On się po prostu przyszedł odlać. Z łóżka zerwała się tak szybko, że zakręciło jej się w głowie, i nie zastanawiając się, nie myśląc ani chwili, szarpnęła za klamkę od łazienkowych drzwi.

- Co jest, kurwa?! - Stojący plecami do wejścia i opróżniający pęcherz Max odwrócił się tak gwałtownie, że struga moczu popłynęła po zewnętrznej stronie sedesu i trysnęła na kafelki. - Co ty odpierdalasz, głupia dziwko?! Odłóż tę klamkę! - warknął, usiłując zapiąć sobie rozporek.

Ale ona była szybsza. Spust nacisnęła, patrząc mu prosto w oczy. Dostał w szyję i trysnęła krew. Otworzył usta, spazmatycznie łapiąc powietrze, a jego dłonie ślizgały się po zalanej posoką szyi. Oksana strzeliła jeszcze raz i jeszcze. Za jej plecami rozległ się kobiecy krzyk, ktoś zaczął histerycznie płakać, a ona naciskała spust, dopóki w magazynku nie został nawet jeden nabój. Max osunął się na purpurowe od krwi kafelki, a jego szklisty wzrok mówił sam za siebie - alfons nie żył. Pochyliła się i wyjęła z jego kieszeni kluczyki. Portfel zabrała chwilę później.

W drzwiach zderzyła się z Ulką, która blada jak śmierć wykrztusiła:

- To mój pistolet?

- Już nie. - Oksana zacisnęła dłoń na rękojeści glocka i wyminęła koleżankę w wąskim korytarzu.

Zanim wyszła, w pośpiechu zamieniła grubą flanelową piżamę na welurowy dres, owinęła szyję apaszką i założyła zamszowe kozaczki.

Po chwili uwolniła z bagażnika przerażoną, zapłakaną Paulę i kazała jej wsiadać do auta.

- Rusz się, zanim któraś z tych dziwek wykaże się lojalnością wobec szefów i zadzwoni po psy! - warknęła.

- Żadna nie zadzwoni, nienawidziły go. - Paula wsiadła do auta i zatrzasnęła drzwi.

- Zabiłam go. Zastrzeliłam jak psa - powiedziała Oksana, kiedy wsiadła do bmw i przekręciła w stacyjce klucz.

- Masz prawo jazdy? Nie wiedziałam.

- A co? Ukraińska dziwka nie może mieć? - burknęła.

- Skąd, ja...

- Mniejsza z tym, jedziemy.

- Jesteś pewna, że on nie żyje? - zapytała Paula, lękliwie zerkając w boczne lustro, w którym odbijała się otaczająca je ciemność i nikłe światła niewielkiego domu.

Wyobraziła sobie spanikowane, wyrwane ze snu dziewczyny, i zachciało jej się płakać. Dokąd pójdzie? Kto się nią zajmie? Jak sobie poradzi, zastanawiała się.

- Nie żyje, bądź tego pewna - powiedziała Oksana, przyśpieszając na wąskiej drodze.

- Skąd umiesz strzelać?

- Pochodzę z okolic Doniecka, mówi ci to coś?



- Jezu...

- Właśnie.

- On po mnie przyjechał, prawda? Gdyby nie ty, już bym nie żyła. Domyślił się, że to ja podkablowałam Zielarza.

- Chciał ci zafundować przejażdżkę w bagażniku, więc pewnie o to chodzi - zgodziła się z nią Oksana.

Paula zerknęła na młodą przyjaciółkę i pogłaskała ją po ramieniu.

- Dziękuję.

- Nie dotykaj mnie, kiedy prowadzę.

- Mówiłaś, że masz prawo jazdy.

- Nie mam. Ale umiem jeździć. - Oksana uśmiechnęła się, odsłaniając te swoje szkaradne wystające zęby, i Paula poczuła przypływ ciepłych uczuć do tej młodej Ukrainki, która właśnie uratowała jej życie.

- Jezu Chryste, to nie jest sen! Ty tak po prostu zabiłaś tego gnoja i jesteśmy wolne. A on już nigdy nie nazwie mnie starą kurwą, nie uderzy, nie dotknie, nie wymaca.

- Mnie pierwszego dnia rozebrał w obecności swoich pijanych kumpli. Mówił, że muszą sprawdzić towar.

- Zgwałcili cię? - zapytała Paula ze współczuciem.

- A czy da się zgwałcić dziewczkę? - Oksana parsknęła głośnym śmiechem, jednak w jej głosie słyhać było zgorzknienie.

- Dokąd jedziemy? - zapytała ją Paula.

- Przed siebie, dopóki wystarczy benzyny. Później zobaczymy.

- Jesteśmy jak Thelma i Louise - uśmiechnęła się Paula.

- Kto?

- Thelma i Louise. Dwie przyjaciółki, które podczas spontanicznej babskiej wyprawy wpadły w kłopoty z prawem i musiały uciekać.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - mruknęła Oksana, zjeżdżając w stronę portu.

- Myślisz, że dziewczyny nas nie wydadzą? - zmieniła temat Paula.

- Myślę, że właśnie pakują bety i się stamtąd wynoszą. W jednej chałupie ze sztywnym kołesiem żadna raczej nie chce być złapana.

- Jebaniec! Mam nadzieję, że już się smaży w piekle! - syknęła Paula.

- Piekło jest puste, a wszystkie diabły są tutaj. Wiesz może, kto to powiedział?

- Nie mam pojęcia, ale z całą pewnością miał rację. Co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem jeszcze. Może pojedę do Warszawy? Zawsze chciałam tam zamieszkać - powiedziała Oksana. - Znajdę normalną pracę, będę mogła wysłać do domu trochę pieniędzy, zadzwonić do taty. A ty?

- Wrócę do matki. Zobaczę syna i będę ją błagać o wybaczenie. Może pozwoli mi zostać? - Na myśl o synu Pauli zaświeciły się oczy.

Przez następne półtorej godziny jechały przez noc, dopóki nie skończyło im się paliwo. Tankując bmw, Oksana przyciągnęła uwagę młodego pracownika stacji, ale nie przejęła się tym za bardzo. Potrafiła się ukryć. Zniknie

w tłumie, przefarbuję włosy, zapomni o tym, co było...  
Płacąc, kupiła przy kasie kilka zbożowych batonów,  
czekoladę i paczkę truskawkowych gum.

- Masz. - Podała Pauli przekąskę i sięgnęła do zapięcia pasów.

- A gdybym zabrała się z tobą? No wiesz, do Warszawy. Może razem coś wynajmiemy? Masz jakąś kasę? Nie wiem, czy zwalenie się na głowę matce to dobry pomysł. Może najpierw powinnam jakoś stanąć na nogi?

- Mamy bmw.

- Nie uda się nam go sprzedać, nie przyciągając uwagi psów. Zabiłaś Maksa. Jeśli powiążą cię z...

- Wystarczy mieć znajomości, żeby to załatwić, i powiedzmy, że je mam - z uśmiechem skwitowała Oksana, przekręcając kluczyk w stacyjce. - Mój kuzyn mieszka na warszawskiej Pradze. Gdyby nie dorwał mnie ten pierdolony alfons Max, dawno bym się tam przeniosła.

- I pomoże nam sprzedać ten wóz? To nowiutkie bmw, rzuca się w oczy.

- Naprawdę masz ochotę się tym zamartwiać? Przejrzyj jego portfel, rzuciłam go na tylne siedzenie. - Oksana zawróciła i ruszyła w stronę stolicy.

Paula znalazła portfel Maksa i z niedowierzaniem przeliczyła upchnięte do niego pliki banknotów.

- Ponad siedem tysięcy w gotówce. Kto nosi przy sobie taką kasę?

- Alfonsi. - Ukrainka uśmiechnęła się złośliwie i dodała gazu. - To auto nie jedzie, ono płynie. Życie jest jednak

nieprzewidywalne. Powiedziałybyś, że dziś w nocy wybierzemy się na przejażdżkę nową beemką?

- Raczej nie.

- Sama widzisz. - Oksana jeszcze bardziej przyśpieszyła, zostawiając za sobą cały ten koszmar, który stał się ich udziałem.

O świcie, kiedy niebo nad szosą zaróżowiły pierwsze światła budzącego się dnia, wypily kawę w przydrożnym barze i obiecały sobie, że nigdy nie będą wracać do tej nocy.

- Nie chcę o tym mówić, nie chcę wspominać tego, co było, chcę zapomnieć - powiedziała Oksana. - Obiecujesz, że nigdy nie będziemy o tym mówić?

- Obiecuję - powiedziała Paula, zaciskając palce na filiżance z gorącą kawą.

Po tym, co zaszło w nocy, wciąż jeszcze lekko drżały jej dłonie, jednak uczucie wolności, jakie ją ogarnęło, kiedy obserwowała przez panoramiczne okno baru wstający gdzieś nad środkową Polską dzień, było niemal euforyczne. Odzyskały wolność i mogły same decydować o sobie, a skurwiele, którzy zamienili ich życie w piekło, nie mogli ich już skrzywdzić. Szkoda tylko, że resztę życia spędzi z wyrokiem. Ale o chorobie nie chciała teraz myśleć. Są lekarze, są leki. Może jeszcze będzie szczęśliwa? Chociaż przez krótki czas... Uśmiechnęła się do siedzącej naprzeciwko Oksany.

- Masz plamkę krwi na kołnierzyku - zauważyła, zniżając głos do szeptu.

Oksana wygięła głowę, usiłując dostrzec plamkę na

kołnierzu znoszonego welurowego dresu, ale chwilę później wzruszyła ramionami.

- Możesz mnie uznać za złego człowieka, ale przez chwilę poczułam prawdziwą satysfakcję, gdy patrzyłam, jak on zdycha - powiedziała.

Paula nie odpowiedziała. Dopija kawę, zjadła kawałek ciasta i spojrzała w okno.

- Zobacz, jaki piękny świt.

- Chodźmy stąd, szkoda czasu. - Oksana wstała i wyjęła stówkę z zabranego Maksowi portfela.

Przez chwilę miała ochotę zostawić suty napiwek młodziutkiej kelnerce, ale zdecydowała, że nie powinny rzucać się w oczy. Zapłaciła więc samą należność i pchnęła ciężkie drzwi od baru.

- Cześć, słodziutka - mruknął do niej jeden z kierowców TIR-a, kiedy szła przez parking.

Uśmiechnęła się do niego, wyobrażając sobie jednocześnie, że wyciąga ze schowka glocka i posyła mu kulkę prosto w ten nalany, czerwony pysk. Spierdalaj, chuju! - pomyślała, otwierając samochód. Dopiero po chwili dotarło do niej, że w magazynku nie ma już naboju. Zresztą jakie to miało znaczenie? I tak by przecież gnoja nie zastrzeliła. Gdyby kobiety zabijały facetów za tego typu debilne teksty, świat od dawna byłby wyludniony...

Do Warszawy dotarły bez przeszkód, jakby nagle cały wszechświat zaczął im sprzyjać. A później wypily kolejną kawę i jeszcze raz obiecały sobie, że nigdy nie będą wracać do tej nocy, podczas której wyrwały się na wolność.

W Ystad mżyło. Eryk zszedł z pokładu promu kilka minut po dziewiętnastej i ruszył w stronę osiedla, gdzie mieszkał kuzyn. Na Dahlbergsgatan postanowił dotrzeć pieszo. Wiedział, że czeka go męczący spacer, ale nie miał kasy na taryfę. Zresztą z jego zenującą znajomością angielskiego bał się w ogóle podejść do którejs z czekających obok promowego terminalu taksówek. Idąc przez mokre od mżawki miasto w nasuniętym na głowę kapturze, pomyślał, że to ekscytujące znaleźć się w miejscu, o którym właściwie nic się nie wie. Piotrek powiedział mu kiedyś, że w Ystad mieszka komisarz Kurt Wallander, fikcyjny bohater kryminalnego cyklu jakiegoś szwedzkiego pisarza, którego nazwiska Erykowi nie udało się zapamiętać, ale niewiele go to obchodziło. Książki czytywał z musu, tylko i wyłącznie te, z którymi kazali mu się zapoznać nauczyciele, a teraz skrzywił się na to wspomnienie.

Mijając budkę z kebabem, przy której stało kilku młodych męczczyzn, poczuł nieprzyjemny ssący głód, ale nie chciał zaraz po przyjeździe wywalać kasy. Zresztą jak już dotrze do Piotrka, to się nażre. Kuzyn zawsze podejmował go w Szwecji po królewsku. Żarcie, piwo, nocne wycieczki do klubów, zwiedzanie Skanii. Piotrek zenująco lubił się chwalić kasą, co zazwyczaj Eryka mocno wkurzało. Tym razem jednak cholernie się cieszył, że starszemu o kilka lat

ciotecznemu bratu tak się w życiu powiodło. Dzięki temu będzie mógł na dłużej zamelinować się w Szwecji i uniknąć konsekwencji tego, co nawywijał w Polsce, pocieszał się w duchu, idąc wzdłuż nabrzeża. Na widok cumujących w porcie promów przystanął i sięgnął do kieszeni, by zrobić kilka zdjęć, zaraz jednak przypomniał sobie, że wywalił komórkę za burzę.

- Kurwa! - zaklął pod nosem, a mijająca go starsza kobieta z różowymi pasemkami w platynowych włosach posłała mu zde gustowane spojrzenie. - Co, paniusiu? Oburzona? Tylko nie mów, że znasz polski? - rzucił w ślad za nią, a ona przyśpieszyła kroku, nerwowo szarpiąc za smycz, na której truchtał śmiesznie pękaty jamnik.

Po godzinie marszu strasznie zachciało mu się pić i co gorsza, szczać. Z drugim problemem szybko się rozprawił - zszedł z głównej ulicy, wlaźł za wiatę przystanku i odlał się prosto na jej szklaną ściankę. Jednak pragnienie nasilało się z każdym krokiem, w gardle miał tak sucho, jakby najadł się trocin.

- Kurwa - szepnął, zwalniając.

Był zmęczony, niewyspany i wściekle głodny, w dodatku bolało go kolano, z którym od czasów wypadku na motocyklu miewał problemy. Przez chwilę odpoczywał na jednej z ławek pod rozłożystym kasztanowcem, w końcu wstał i ruszył przed siebie. Po kolejnych minutach marszu zrobiło mu się zimno. Chłód przenikał przez zawilgoconą od deszczu kurtkę, obłapiając go mokrymi łapskami. Wzdrygnął się i rozejrzał po ulicy, zastanawiając się, czy uda mu się złapać stopa, szybko

jednak zrozumiał, że musi liczyć tylko na siebie.

Na Dahlbergsgatan dotarł skonany, ale widok pomalowanej na obciachowy róż połówki kilkunastoletniego „bliźniaka”, w której razem z czterema kumplami mieszkał kuzyn, od razu poprawił mu nastrój. Wcisnął dzwonek. Kurwa, w końcu się tu dowlókł, cieszył się, rozcierając przemarznięte dłonie.

Drzwi otworzył mu Jakup, trzydziestokilkuletni Albańczyk, który od początku mieszkał tu razem z Piotrem.

- Hej - rzucił Eryk po polsku, zaskoczony widokiem chłopaka. Wiedział, że to idiotyczne, ale miał przeczucie, że otworzy mu Piotr.

Jakup zaczął coś mówić po szwedzku, a Eryk bezradnie rozłożył ręce, jakby chciał pokazać, że nic nie rozumie. Na szczęście po chwili w drzwiach stanął Daniel, najlepszy przyjaciel Piotra.

- Cześć, chłopie! Wpuść i nakarm wędrowca - rzucił Eryk, ładując się do środka. - Gdzie Piotrek? Tylko nie mów, że go nie ma.

- Piotrek? On tu już nie mieszka - powiedział Daniel. - Będą ze cztery tygodnie, jak się wyprowadził.

- Co ty gadasz, człowieku? - Eryk aż się zachłystnął ze zdziwienia.

- A co? Nie odzywał się do ciebie? Widocznie gdzieś się zaszył i się nie wychyla. Musiał wiać przed psiarnią, bo ciężko pobił właściciela warsztatu, w którym robił - wtrącił się Adrian.

- Dobra, to dajcie mi namiary na niego. - Eryk usiadł za



kuchennym stołem i rozejrzał się po zabałaganionym pomieszczeniu. – Kurwa, takiego chlewu to nawet ja nie potrafię zrobić – burknął, a rozbawiony Daniel zarechotał.

– No wiesz. Ja nie sprzątam, Jakup też nie, a Adriana w zeszłym miesiącu rzuciła panna, która nam dotąd cały ten syf ogarniała – wyjaśnił.

– No, i nieźle jej to wychodziło. Tęsknię. – Adrian otworzył lodówkę i wyjął opakowanie parówek. – Zjesz coś? – zapytał Eryka, któremu zaczęło już głośno burczeć w brzuchu.

– No pytanie! Konam z głodu – Eryk zdjął kurtkę, którą cisnął na wolny taboret, i zsunął z nóg adidasów.

– Masz. – Kilka minut później Adrian postawił przed nim talerz z dwoma upačkanymi musztardą parówkami i rozkrojoną na pół, posmarowaną masłem razową bułką.

Piwo pojawiło się na stole zaraz potem i Eryk poczuł ulgę, że wszystko skończyło się dobrze, dokładnie tak, jak sobie zaplanował. Wyciskał na talerz resztkę musztardy, kiedy Daniel powiedział coś, co jednak zwarzyło mu nastrój.

– Ty, ale my serio nie mamy żadnych namiarów na Piotrka. Telefonu chyba się pozbył, bo nie odbiera, a adresu nie podał.

– Jak to? Nie macie na niego namiarów? – wykrztusił kompletnie zaskoczony Eryk. – Przecież przyjaźnicie się od lat.

– No nie mamy, głupia sprawa, ale nie. Kiedy Piotrek się stąd zabierał, obiecał, że prędzej czy później sam się do nas odezwie.

– To co ja teraz zrobię?

- Wrócisz do Polski, nie? Noc czy dwie możesz przekimnąć u nas, a później wsiadasz na prom i żegnaj, Szwecjo. - Adrian nie widział problemu.

- Człowieku, ja nie mogę tam wrócić! - podniósł głos Eryk.

- No to niewesoło, bo tu na pewno nie zostaniesz - z brutalną szczerością oznajmił Daniel.

- Znajdę pracę i będę się dokładał do czynszu, tylko...

- A szwedzki znasz? Wiesz chociaż, jak się mówi „dzień dobry”?

- Nie, ale...

- No to zapomnij.

- Chłopie, ja nie mogę wracać do Polski!

- To nie wracaj. Ale lokum znajdź sobie inne.

- A łóżko Piotrka? Przecież macie miejsce.

- Jeszcze tylko przez cztery dni. Później wprowadza się tu znajomy Turek. Sorry, ale nawet mieszkanie w tej starej budzie kosztuje. To jest Ystad, nie Goleniów.

- Kurwa, to jestem w czarnej dupie - zaklął Eryk, odsuwając na bok talerz.

- A do Polski czemu nie chcesz wracać?

- Zrobiłem brzuch pannie, z którą raczej nie chcę się dłużej widywać - sprzedał im skąpą część prawdy, przemilczając, że jest zamieszany w brutalny zbiorowy gwałt zakończony śmiercią ofiary.

- No to niefart. - Adrian wyszczerzył się w szerokim uśmiechu i klepnął go w plecy. - Przykre, chłopie, ale chyba będziesz musiał wypić piwo, którego nawarzyłeś - dodał, a Daniel zarechotał.

- Ładna chociaż?

- Julka? No niezła, ale ten dzieciak... Co ja zrobię z bachorem, jak ledwo mam na żarcie i fajki?

- Na gumki też nie miałeś, co? Trzeba myśleć głową, nie chujem! - Adrian wyraźnie się z niego nabijał.

- Aż tak cię to bawi? - warknął rozsierdzony Eryk.

- No raczej.

- Dobra, panowie. Bez kwasów, co? - Daniel otworzył opakowanie słonych krakersów i wysypał je prosto na nakryty kraciastą ceratą stół. - Częstujcie się - mruknął.

Eryk zjadł, ile mógł, przerażony wizją czekającego go dnia, tygodnia i miesiąca. Co teraz? - zastanawiał się godzinę później, bezsennie leżąc w pachnącej kwiatowym proszkiem pościeli. Łóżko Piotrka było wąskie i niewygodne, a dzielący z nim pokój Daniel chrapał. Może gdyby pozwolili mu tu zostać, jakoś by sobie wszystko poukładał, ale wyrazili się jasno - niebawem ma się stąd wynieść...

Dwa i pół dnia później Adrian w dość jasny sposób dał mu do zrozumienia, że ich gościnność właśnie się skończyła. Było późne popołudnie, kiedy po zdawkowym pożegnaniu z chłopakami opuścił dom przy Dahlbergsgatan. Dupki! Kiedy mieszkał z nimi Piotr, pili ze mną i imprezowali, ale teraz wywalili mnie na pysk. Teraz nie jestem już kumplem. Jestem intruzem, który wyżera im z lodówki kabanosy, pomyślał, wędrując wzdłuż ulicy.

Na myśl o tym, że nie ma gdzie spać, poczuł pierwszą falę ogarniającej go paniki. Dzień był chłodny i wietrzny, a on miał na grzbiecie jedynie znoszoną bluzę i cienką wiatrówkę

z kapturem. Ma się szwendać po parkach? Przekimać na ławce? Ukryć się wśród pełnych samochodowych warsztatów zaułków, czy krążyć po ulicach, dopóki niosą go nogi?

Noc spędził w jednym z opuszczonych budynków w naprawdę nieciekawej okolicy. Obok, w pustym magazynie z powybijanymi szybami, rezydowała grupka bezdomnych Turków. Ich ochryple pijackie okrzyki towarzyszyły mu do świtu. W końcu dogasło ognisko, które rozpalili w zaułku, i zapadła cisza, a on zdołał na chwilę zasnąć.

Obudził go kopniak w zębra i krzyki w języku, którego nie rozumiał. Zerwał się na nogi i zaczął biec, ale dorwali go chwilę później.

- Człowieku, zostaw mnie! - krzyknął po polsku, osłaniając głowę przed ciosami.

Ale zaniedbany, zarośnięty i brodaty mężczyzna tylko się roześmiał, demonstrując przerażające braki w uzębieniu. Skopali go w pięciu, po czym zabrali mu portfel i resztę pieniędzy, które trzymał na czarną godzinę. Kiedy w końcu dali mu spokój, zakrwawiony, przerażony i rozdygotany położył się na stercie zawilgoconych kartonów pod ścianą magazynu i rozpłakał się jak dziecko. Chciałby zadzwonić do ojca, ale nie miał telefonu. Mógł się co prawda z powrotem dowlec na Dahlbergsgatan i poprosić o pożyczenie komórki jednego z kumpli Piotrka, ale myśl, że miałby się tym dupkom pokazać w takim stanie i zebrać o litość, była nie do zniesienia.

Przez kolejną noc szwendał się w pobliżu dworca i portowych terminali. Tam czuł się bezpieczniej niż

w pełnych szczurów i śmieci zaułkach, w które zawędrował dzień wcześniej.

Rano padł na ławkę i dygocząc z chłodu, okryty wygrzebanym ze śmietnika cuchnącym wełnianym płaszczem na jedną chwilę się zdrzemnął. Obudził go patrol policji. Na widok mundurów zerwał się do biegu, ale złapali go w parę sekund - wykończony, przemarznięty i wycieńczony głodem organizm poddał się bez walki. Kiedy poprosili go o dokumenty, znowu zaczął się mazać. Chciał tylko, żeby ktoś dał mu dach nad głową i miskę ciepłej zupy. Dowodu nie miał, skradziono mu go razem z portfelem. Zabrali go do samochodu i zaczęli się ze sobą naradzać, zapewne zastanawiając się, dokąd go zawieźć. Złapał za klamkę, by uciec, ale w drzwiach była blokada.

Dwie godziny później nakarmiony i napojony herbatą o dziwnym smaku siedział w niewielkiej sali z zakratowanym oknem.

- Polak? - zapytała go młoda rodaczka, która weszła do środka w towarzystwie dwóch gliniarzy.

- Skąd wiesz? - burknął.

- Bilet. Wypadł ci z kurtki w radiowozie - powiedziała, machając mu przed nosem wejściówką na prom.

Kurwa, zaklął w myślach.

- Posiedzisz tu, dopóki nie ustalimy twojej tożsamości - powiedziała, odgarniając za ucho kręcone rude włosy.

- To jakiś żart?! - warknął. - Jestem turystą!

- Jesteś włóczęgą, którego ktoś pobił i okradł. Poza tym tacy jak ty są zazwyczaj w coś zamieszani.

- A może jestem studentem medycyny, który w wyniku pobicia doznał amnezji?! - warknął Eryk, siląc się na wyżyny swojej elokwencji.

- Studentem medycyny? A ile kości ma człowiek? - zapytała go ruda kpiarskim tonem.

- Nie mam, kurwa, pojęcia! - odburknął.

- Oświecę cię. Masz ich dwieście sześć. - Uśmiechnęła się złośliwie.

- Chcę wrócić do kraju.

- Ale nie masz na bilet powrotny, co?

- Nie mam. To zbrodnia?

- Nie. Ale jak ci już wspomniałam, nie wypuścimy cię, dopóki nie dowiemy się, kim jesteś.

- To jest bezprawne zatrzymanie! - Eryk rzucił tekstem, który zasłyszał kiedyś w telewizji, a ona znowu się uśmiechnęła.

- To jest dbanie o prawa człowieka. Jesteś wrakiem, dlatego zebraliśmy cię z ławki i wdrazamy w życie dalsze procedury.

- Walcie się! - krzyknął wytracony z równowagi.

Wieczorem przewieźli go do aresztu. Po skontaktowaniu się z polską policją okazało się, że jest poszukiwany za udział w zbiorowym gwałcie i zabójstwie.

- To nie ja zabiłem tę głupią cipę, to Konrad! - krzyczał, kiedy zamykali go w celi, ale nikt go nie słuchał.

Zresztą nikt go nawet nie rozumiał, bo rudej Polki już z nimi nie było.

Kilka dni później policyjnym konwojem wrócił do kraju, do

którego tak bardzo nie chciał wracać... Ten psychol Chojnacki musiał zacząć gadać, zrozumiał, kiedy szwedzcy gliniarze oddali go w ręce polskich policjantów. Prawdziwy, kurwa, przyjaciel!

Gdy Danuta otworzyła okno, do salonu wdarł się intensywny zapach bzu. Na zewnątrz właśnie zakwitł krzew, który od lat rósł na tyłach jej domu. Przez chwilę stała w oknie, głęboko wciągając w płuca rześkie majowe powietrze. W końcu sięgnęła po stojący na komodzie kubek z kawą i upiła kilka łyków. Tego dnia wstała bladym świtem, przez całą noc bardzo źle spała. Czuję się tak, jakby to miał być mój pierwszy dzień w szkole, pomyślała. Po tym, co się stało, wzięła zwolnienie, jednak w końcu nadszedł dzień, w którym miała stanąć przed uczniami. Nie mogła dłużej uciekać, nie chciała ich zawieść. Klasa, której była wychowawczynią, zdawała przecież w tym roku maturę, a ona nie mogła dłużej chować głowy w piasek. Nie wolno mi, powiedziała sobie. A jednak strach, który ją opanował, był tak przemożny, że przez chwilę balansowała na skraju paniki.

W sypialni, po tym, jak już wzięła szybki prysznic i związała włosy w skromny ciasny kok, przez dłuższy czas zastanawiała się, co na siebie włożyć. Chciała wyglądać w miarę zwyczajnie, ale też wybrać coś, w czym poczuje się pewnie. Żadnych wyzywających ciuchów ani tych zbyt skromnych. W końcu zdecydowała się na wąską czarną spódnicę za kolano i prostą szarą bluzkę z kołnierzykiem i długimi rękawami. Żadnej biżuterii, żadnych ostrych kolorów,



żadnych szpilek.

Zapinając sandaalki, wzdrygnęła się na wspomnienie dnia, w którym znalazła ją policja. Kiedy Wojciech Kiciński zarzucił jej na ramiona pled, a ona zobaczyła w jego oczach zmieszaną z zażenowaniem litość, miała ochotę zapaść się pod ziemię. Naga, związana, upokorzona... Bardzo chciała wierzyć, że to, co zobaczyli gliniarze, trafi tylko i wyłącznie do policyjnych akt, ale przecież nie była aż tak naiwna... Na pewno ktoś już coś chlapnął, plotka poszła w świat, rozrosła się. „A wiesz już, że Lachowicz, tak, ta polonistka, została znaleziona goła?” – prawie słyszała, jak ludzie powtarzali to zdanie, obracając je w ustach, a ono krążyło po miasteczku, zataczając coraz szersze kręgi. Skubiąc drożdżówkę, pomyślała o uczniach. Reakcji dziewczyn się nie bała. Nawet jeśli coś wiedziały, pewnie wykażą się taktem. Ale chłopcy? Danuta wzdrygnęła się, wyobrażając sobie ścigające ją spojrzenia, szepty i uśmieszki.

W głębi domu zadzwoniła komórka. Dźwięk tak ją przestraszył, że aż podskoczyła. Czy już zawsze będę taka nerwowa? – zastanawiała się, idąc w stronę telefonu.

- I jak? Gotowa? Czekamy na ciebie w nauczycielskim. Kinga upiekła nawet ciasto – usłyszała Bartka Kruka, wuefistę.

- Będę za jakiś kwadrans.

- Czekamy – powiedział Kruk i się rozłączył.

Danuta odłożyła komórkę i podeszła do wielkiego ściennego lustra. Wyglądała całkiem nieźle, udało jej się nawet zatuszować sińce pod oczyma, jednak czuła się

fatalnie. I chociaż wiedziała, że to głupie i infantylne, miała ochotę zwinąć się w kłębek i przespać cały dzień. Najlepiej na sofie, ostatnio w salonie czuła się znacznie lepiej niż w sypialni, i chociaż wymieniła materac, na który zwymiotował Konrad, wspomnienie jego twarzy na jej poduszce było zbyt natrętne. Nie potrafiła już tam spać, Chojnacki zbrukał spokój jej nocnego sanktuarium, zabrał jej nawet ten ulubiony kąć, który kiedyś z taką radością urządzała.

Do samochodu doszła na nogach jak z waty. Naga i uwięziona. Uwięziona i naga, kołatało jej się po głowie.

- Przestań! - syknęła w końcu, przekręcając kluczyk w stacyjce.

W szkole, kiedy już przywitała się z zaprzyjaźnionymi nauczycielami i wmusiła w siebie kawałek upieczonego przez Kingę ciasta, złapała za dziennik i ruszyła w stronę swojej klasy. Korytarz był pusty, były jakieś dwie minuty po dzwonku i dzieciaki siedziały już na swoich miejscach. Zanim złapała za klamkę, wzięła głęboki oddech. Poradzę sobie, pomyślała i pchnęła drewniane lekko skrzypiące drzwi.

Na jej widok w sali lekcyjnej zapadła cisza, a uczniowie podnieśli się z miejsc. Danuta stanęła pod tablicą, wzruszona widokiem znajomych twarzy, na których gościły zaduma, współczucie, skupienie i smutek. Wtedy zauważyła białe róże, leżały na każdej ławce. Pierwsza podeszła do niej Gosia Lasota, która wręczyła jej kwiat i wycięte z kolorowego papieru serce, na którym coś napisała:

*To podczas nocy trzeba wierzyć w światło. Edmond*

*Rostand.*

W oczach Danuty zalśniły łzy.

- Jesteśmy z panią, pani profesor - powiedziała Ania Bojarska, która podeszła do niej i niepewnie objęła.

Danuta przytuliła drobną rudą dziewczynę i z trudem powstrzymując łzy, podziękowała jej za różę i kolejne serce z napisanym odręcznie cytatem.

- Przykro mi, że spotkało panią coś takiego - powiedział Jędrrek Zieliński, podając jej rękę.

Nie patrzył jej w oczy i wyglądał na mocno speszonego, ale zdała sobie sprawę, że jest wzruszony. Kilka minut później na jej biurku leżało dwadzieścia sześć białych róż i tyle samo wyciętych z kolorowego kartonu serc z cytatami o miłości, nadziei, życiu, świetle i wybaczeniu.

- Dziękuję wam wszystkim, jestem ogromnie wzruszona - powiedziała Danuta, kiedy już zapanowała nad cisnącymi się do oczu łzami i usiadła za swoim biurkiem. - To najpiękniejsze powitanie, jakiego mogłabym się spodziewać.

Reszta lekcji upłynęła zaskakująco normalnie, jakby nigdy nic złego się nie wydarzyło. Dzieciaki szybko zrzuciły maski powagi i zaczęły zachowywać się znacznie swobodniej, a ona przestała się zastanawiać nad tym, jak wiele wiedzą i co o tym wszystkim myślą. Niedługo o tym z nimi pogada. Znajdzie w sobie siłę, żeby zdobyć się na szczerą rozmowę i opowiedzieć, co czuła, kiedy Chojnacki uwięził ją w jej własnym domu. Nie zdradzi wszystkich szczegółów, ale przecież nie mają aż takiego znaczenia. W tej historii będzie chodziło o arogancję sprawcy i bezradność ofiary. Ale też

o nadzieję. To ona pozwoliła jej tamtego dnia wierzyć, że wszystko skończy się dobrze, nawet jeśli momentami była pewna, że on ją zabije. Żeby było śmieszniej, w stresie i panice zapomniała nawet o Hassanie, który tamtej soboty miał się u niej zjawić na korepetycjach. Dopiero policja uświadomiła jej, dzięki komu została ocalona.

Wieczorem, kiedy już opadły z niej emocje związane z powrotem do szkoły, robiła sobie drinka, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Na dźwięk dzwonka w pierwszej chwili wpadła w panikę. Wiedziała, że policja zatrzymała Konrada i Eryka, którego młody Chojnacki im wydał, ale i tak wyobraziła sobie czekającego w progu zamaskowanego sprawcę, który puka do jej drzwi, żeby zrobić jej krzywdę.

- Nie rób z siebie idiotki - szepnęła, odkładając na bok woreczek z lodem, który akurat wrzucała do wysokiej szklanki.

Kiedy zerknęła przez wizjer, lekko się uśmiechnęła. W progu, wbity w niemodną i nieco za szeroką w ramionach marynarkę, stał Hassan, jej najbardziej pilny uczeń. Mężczyzna, który ją uratował. W ręku trzymał olbrzymi bukiet kwiatów i wyglądał na lekko zażenowanego.

Danuta otworzyła drzwi i wpuściła go do środka.

- Dobrze, że jesteś. Będę miała okazję, żeby jeszcze raz ci podziękować - powiedziała.

- Dla ciebie - wręczył jej kwiaty.

Pocałowała go w policzek i zaprosiła do salonu.

- Napijesz się ginu z tonikiem?

- Tak, poproszę.

Zrobiła mu drinka i usiadła obok.

- Jak ty się czuć? - zapytał. - Czujesz? - poprawił się po chwili.

- Dobrze. Tylko nie mogę spać. Każdej nocy budzę się przynajmniej kilka razy i nasłuchuję. Czy nikt nie kręci się koło domu, czy nikt nie wdarł się do środka. A później wstaję i z młotkiem w dłoni obchodzę wszystkie pokoje, sprawdzam okna... Przepraszam. Mówię za szybko i pewnie niewiele z tego rozumiesz - roześmiała się Danuta.

Chwilę później przeszła na angielski, którym on zaskakująco dobrze władał. Kiedyś zdradził jej, że od dziecka marzył o ucieczce w świat i prawie codziennie wkuwał nowe słówka. Wtedy nie wiedział jednak, że jego wyjazd z rodzinnego domu będzie powodowany koniecznością, a nie chęcią przeżycia przygody. Ale dzieci rzadko zdają sobie sprawę z tego, jak naprawdę wygląda wielki świat, o którym tak marzą...

Rozmawiali do późna. Dochodziła północ, kiedy Niang w końcu zdał sobie sprawę, jak bardzo zrobiło się późno, i zaczął się zabierać.

Byli na werandzie, kiedy przyszło jej do głowy coś zupełnie zaskakującego.

- Hassan, zaczekaj - poprosiła, kiedy był już na podjeździe.

Zatrzymał się i posłał jej zdziwione spojrzenie. W świetle zapalonej nad frontowymi drzwiami lampy wyglądał niemal komicznie.

- To dość dziwne, ale tak sobie pomyślałam... Wspominałeś mi kiedyś, że wynajmujesz ciasne i paskudne mieszkanie.

A ja mam pokój, którego nie używam. Gdybyś się tu wprowadził, przestałabym się bać po nocach, a ty mógłbyś więcej zaoszczędzić, nie płacąc czynszu. Składalibyśmy się tylko na opłaty - wyrzuciła z siebie, zanim w ogóle się zastanowiła, co mówi.

Ale tak, pomysł był całkiem niezły. Lubiła go, świetnie jej się z nim rozmawiało. Ludzie widzieli w nim jedynie pracującego na kurzej fermie słabo wykształconego Afrykańczyka, który tułał się po Europie w poszukiwaniu godnego życia, ale ona dostrzegła w nim coś więcej. To, jak barwnie opowiadał o Senegalu, jak spostrzegawczy był w opisach ludzi i wydarzeń, sprawiło, że uwielbiała z nim rozmawiać. A teraz pod wpływem chwili zaproponowała mu miejsce we własnym domu i po krótkim wahaniu zdała sobie sprawę, że to naprawdę niezły pomysł.

- Mówisz serio? - zdziwił się.

- Jasne - posłała mu blady uśmiech.

Przez chwilę milczał zbyt zaskoczony, żeby cokolwiek z siebie wykrztusić. W końcu ruszył w jej stronę i skinął głową na „tak”.

- Okay - powiedział. - Ty przyjaciółka.

Wprowadził się następnego dnia, przynosząc ze sobą zaskakująco niewiele rzeczy. Urządziła mu pokój, pościeliła wąskie łóżko i zrobiła kolację. Doprawiała spaghetti, kiedy Hassan wyniósł na werandę wiklinowe krzesła i niewielki stolik. Zanim podała carbonarę, pomyślała, że jak na ironię to, co zrobił jej Konrad Chojnacki, sprawiło, że znowu zbliżyła się do ludzi. A ostatnio, jeszcze zanim uczeń uwięził

ją w jej własnym domu, zazwyczaj trzymała się od nich z daleka. Wydawało jej się, że nikogo nie potrzebuje, nie chciała się otwierać na zbyt bliskie znajomości. Wierzyła, że wystarczy jej obecność ukochanego kota, dobra książka i kieliszek czerwonego wina. Myliła się. Wszyscy potrzebują przyjaciół.

## 40

Wojciech zadzwonił, kiedy Jeremi dojadł omleta. Ostatnio wspiał się na wyżyny swojej sztuki kulinarnej i nauczył się samodzielnie przygotowywać kilka prostych dań. Żarcie z puszki jest dobre dla psa, powiedział mu ostatnio kumpel i można powiedzieć, że wziął sobie jego słowa do serca.

- Halo? - powiedział z pełnymi ustami.

- Co jesz?

- Omleta z warzywami.

- To przełknij i podjedź na nabrzeże. Chcę pogadać - poprosił Kiciuś, z którym ostatnio Jeremi złapał zaskakująco dobry kontakt.

- Coś się stało?

- Też. Będziesz?

- Jasne, daj mi parę minut.

- Czekam - mruknął Wojciech, zanim się rozłączył.

Jeremi dojadł omleta, włożył talerz do zlewu i znalazł w szafie sięgające kolan szorty z mnóstwem kieszeni. Do tego podkoszulek z napisem „Nigdy nie mam kaca” i był gotowy.

W pobliże nabrzeża podjechał jakiś kwadrans później, zostawił subaru na wylanym betonem olbrzymim placu przy porcie i pieszo ruszył w stronę deptaka. Wojciecha nigdzie jednak nie widział. Wyjął więc komórkę i wybrał jego numer.

- Gdzie jesteś? - zapytał.



- Wychył się przez falochron - powiedział Kiciński.

Jeremi podszedł do betonowego muru, przechylił się i zobaczył kolegę siedzącego na olbrzymich obmywanych przez wodę głazach. Przeskoczył więc falochron i wylądował na jednym z kamieni, po których dotarł do Wojciecha.

- Masz. - Kicius wyjął z plecaka piwo i skinął mu głową. - Dzięki, że dałeś się wyciągnąć.

- Co się dzieje? - Jeremi otworzył żywca i zapatrzył się na morze.

Dziś fale były niemal niewidoczne, u ich stóp woda prawie stała, z cichym pluskiem obmywając zanurzone w niej głazy, na których siedzieli. Mewy piszczały nad ich głowami, krążąc nad nabrzeżem. Jeremi wystawił twarz do słońca i upił kilka łyków piwa.

- Koleś, którego przymknęliśmy za współudział w zabójstwie Bugaja, właśnie zaczął gadać. Biegli potwierdzili jego wersję, to nie on dwa razy pociągnął za spust. Strzelał tamten drugi, ten gnój tylko się temu przyglądał - odezwał się Kiciński.

- I co powiedział?

- Że chodziło o motywy osobiste, jak zresztą przypuszczaliśmy. Zabójca był mężem malarki, z którą zadał się Bugaj.

- Zabił, bo Krzysztof posuwał mu żonę?

- Żonę, z którą był w separacji. Ale, jak się ponoć wyraził, chciał dać tej suce nauczkę - rzucił Wojciech przez zęby.

- Skurwysyn! Odebrać nastoletniemu dzieciakowi ojca, bo żona rucha się na boku?

- Sam widzisz...
- Jest szansa, że go dorwiecie?
- Prędzej czy później na pewno. Szuka go również Interpol, a oni mają znacznie większe środki i możliwości.
- Cholernie przykra sprawa - powiedział Jeremi.
- Zgadzam się - mruknął Kiciński i zapatrzył się w morze. - Kiedy dziś samotnie tu usiadłem, miałem wrażenie, że cofnął się czas. Na tych kamieniach pierwszy raz całowałem się z dziewczyną, tutaj się siedziało, kiedy człowiek olał szkołę, tu wypalało się pierwsze szlugi.
- Fajnie mieć takie miejsce. Ja mam kilka takich w Szczecinie. Łaziło się głównie po fortach, ale nie tylko.
- Tutaj to samo. Lasy, forty, ewentualnie nabrzeże. - Kicius dopił piwo i zerknął w stronę pobliskiego nabrzeża portowego, do którego podpływał akurat jeden z niewielkich rybackich kutrów. - Ktoś zabija foki, słyszałeś? Ostatnio znaleziono już cztery, a tutejszy weterynarz nie ma wątpliwości, że to robota człowieka.
- Ścierwo! - skrzywił się Jeremi.
- Ludzie to bestie, fakt. - Kiciński, nie chcąc śmiecić, schował do plecaka pustą butelkę i zerknął na Jeremiego. - Zaaklimatyzowałaś się już w naszej dziurze?
- Tak, chyba tak.
- Sorry, że początkowo traktowałem cię jak wroga. Widok kogoś obcego siedzącego za biurkiem Bugaja działał na mnie naprawdę fatalnie.
- Domyśliłem się. I nie mam ci za złe.
- Cieszę się. Dobra, będę się zbierać, bo obiecałem pomóc

Goście ogarnąć dom.

- Długo jesteście razem?

- Niebawem okrążyła dziesiąta rocznica.

- Ślubu?

- Konkubinat.

- Gratuluję. - Jeremi mrugnął do niego.

- A ty? Masz kogoś w Szczecinie? Ponoć od czasu do czasu tam jeździsz.

- Miałem. Rozstaliśmy się. Powiedziała, że szuka partnera i ojca dla swojego pierwszego dziecka, a nie pracoholika. Z tego, co zrozumiałem, miała też po uszy wynajętego mieszkania, w którym czuła się jak w poczekalni.

- Chłopie, serio? - Kiciuś parsknął śmiechem.

- No wiem... - Jeremi złośliwie się uśmiechnął, dopił piwo i wstał. - Dobra, też będę się zabierać.

- Do jutra. I dzięki. - Wojciech podał mu rękę i przeskakując z kamienia na kamień, ruszył w stronę metalowej drabinki, po której wszedł na falochron.

Jeremi jeszcze przez chwilę posiedział, obserwując pływające w pobliżu łabędzie. To, jak nurkowały głowami w dół i kuprami do góry, śmieszyło go od dziecka. Kiedy wstał i ruszył po śladach kumpla, rozdzwoniła się jego komórka.

- Cześć. Słuchaj, nie chcę przeszkadzać, ale robię dziś domówkę i pomyślałam, że zajrysz - usłyszał głos właścicielki mieszkania, Wiśniewskiej.

- Cześć, Monika. Wielkie dzięki, ale dziś nie dam rady - skłamał.

Tak naprawdę nie miał planów na wieczór, ale doszedł do wniosku, że jednak nie podoba mu się kierunek, w jakim wyraźnie zmierza ich znajomość. W wynajętym mieszkaniu chciał się czuć swobodnie, odpoczywać. Rezydująca piętro niżej Monika miała być tylko i wyłącznie kimś, komu wręcza w kopercie czynsz za kolejny miesiąc. Żadnych podchodów, zalotów, flirtów i komplikacji nie chciał. Owszem, była niebrzydka, ale bywała też mocno nachalna. A tego akurat nie znosił. Rzucił jej więc tekst o nawale pracy i pośpiesznie się rozłączył.

Godzinę później, po krótkim spacerze okolicznymi lasami, wsiadł do samochodu i pojechał do Szczecina. Skoro miał wolny dzień, postanowił dobrze go wykorzystać.

Auto zostawił w okolicach nowego mieszkania Anety, bo chociaż wielokrotnie obiecywał sobie, że będzie się od niej trzymał z daleka, nadal coś ciągnęło go na Szczerbcową. Spacer Wałami Chrobrego przypomniał mu stare czasy, sprawił, że zatęsknił za dawnymi przyjaciółmi. Przez dłuższą chwilę zachwycił się widokiem portu, w końcu ruszył w stronę jednej z ulubionych knajpek. Był prawie na miejscu, kiedy ją zobaczył. Aneta! Szła za rękę z jakimś wysokim kołesiem w ciemnej koszuli i jasnych dżinsach. Wyglądała na szczęśliwą. Tuż za nimi, obejmując swoją żonę, szedł Waldek, jej starszy brat. Jeremi przystanął i przywarł plecami do ściany jednej z kamienic, nie chcąc, żeby go zauważyli. Nie miał zamiaru ich zaczepiać, potrafił przecież, do cholery, nad sobą zapanować. Ale kiedy ona głośno się roześmiała, a chwilę później wspięła na palce i pocałowała tego typu

w usta, coś w nim pękło. Resztę pamiętał, jak przez mgłę. Furia, która dosłownie go zalała, sprawiła, że wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. Ruszył w ich stronę z zaciśniętymi w pięści rękoma. Pierwszy zauważył go Waldek, ale nie zdążył go zatrzymać. Jeremi odepchnął Anetę i złapał jej gogusia za kołnierz.

- Że niby on lepiej się nadaje na ojca dla twoich dzieci?! - warknął.

Aneta krzyknęła i usiłowała go odciągnąć, ale wyrwał się jej i walnął gościa w nos.

- Jeremi, przestań! Co ty odpierdalasz?! - wrzasnęła jego była, okładając go pięściami po plecach.

Drugiego ciosu nie zdążył wymierzyć, bo Waldkowi udało się go odciągnąć od zszokowanego chłopaka Anety, pchnąć na ścianę i lekko przydusić.

- Puszczaj! - wycharczał Jeremi, ale Waldek skutecznie go blokował. Widać kilka lat trenowania sztuk walki dało niezłe efekty.

- Uspokój się, człowieku. Co ci odjebało? Chcesz komuś zrobić krzywdę? Chcesz pójść siedzieć? Jesteś świetnym gliniarzem, a masz zamiar spierdolić sobie życie przez uliczną bójkę? Wiesz, jak niewiele trzeba, żeby w złości zrobić komuś poważną krzywdę? Pomyśl, jak to będzie wyglądać w twoich aktach.

- Jebać akta! - warknął Jeremi, usiłując wyswobodzić się z rąk niedoszłego szwagra.

Jednak Waldek wciąż mocno go trzymał.

- Puszczę cię, jeśli przyrzekniesz, że się stąd zabierzesz.

Słyszysz, co mówię?!

- Wal się! - warknął Jeremi, chociaż zawsze Waldka lubił, ale w końcu przestał się szarpać i wycedził, że okay, każdy idzie w swoją stronę.

Mijając Anetę, która szukała właśnie w torebce chusteczek, by wytrzeć krew z twarzy swojego gacha, posłał jej nienawistne spojrzenie. Zdzira! W pierwszej chwili chyba nawet łyknął te jej teksty o swoim pracoholizmie i tym, że nie nadaje się na męża i ojca. Ale widząc ją z innym, zrozumiał, że szukała jedynie pretekstu do rozstania.

- Spotykałaś się z nim, kiedy jeszcze byliśmy razem?! - warknął, przystając i odwracając się w ich stronę.

- Oszalałeś?! - krzyknęła Aneta. - To nasza druga randka!

- A, to tylko pogratulować - zakpił, kopnął leżący na ziemi kamień i z rękoma w kieszeniach ruszył w swoją stronę.

Do późnego wieczora kręcił się po mieście, odwiedzając stare kąty i ciesząc się wyjątkowym klimatem Szczecina. Wspomnienie Anety idącej za rękę z innym kolesiem paliło go w przetyku, jakby emocje objawiły się zgagą. A może po prostu znowu dokuczał mu żołądek? Dochodziła dwudziesta trzecia, kiedy zszedł do owianego złą sławą przejścia podziemnego przy alei Wyzwolenia i ruszył przed siebie zabazgranym graffiti korytarzem. Modernizacja tego akurat obiektu na niewiele się zdała - przejście, które zdążono już od nowa zdewastować, nadal sprawiało ponure i przygnębiające wrażenie. Nie o tym jednak myślał, mijając kolejne kolorowe obrazki. Myślał o Anecie. Szybko się pocieszyła, powtarzał sobie, zaciskając dłonie w pięści.

Chłopak, który nagle zbiegł ze schodów i trącił go ramieniem, nawet nie przeprosił. Po prostu go wyminął.

- Co jest, dupku?! - rzucił Jeremi, łapiąc gnojka za kołnierz wiatrówki, a po chwili pchnął go na zabazgraną graffiti ścianę i zacisnął palce na jego szyi. - Chodzić nie umiesz?! - warknął.

Ochłonął dopiero na widok rozszerzonych ze strachu oczu chłopaka i jego pucułowatej, niemal dziecięcej buźki. Gnojek nie miał jeszcze nawet piętnastu lat.

- Sorry - mruknął, zwalniając uścisk, i puścił nastolatka, który, śmiertelnie przerażony rzucił się do biegu. - Nie połam nóg, szczyłu! - rzucił za nim Jeremi, a chwilę później chrapliwie się roześmiał i opadł na stopień u podnóża schodów.

Co się ze mną dzieje, do kurwy nędzy?- zastanawiał się, samotnie siedząc w pustym podziemnym przejściu. Zostawiła mnie laska, bywa. Muszę kogoś zabić, żeby się otrząsnąć, pomyślał. Nagle przypomniała mu się głośna swego czasu sprawa gliniarza z Trójmiasta, który już po rozwodzie nakrył byłą żonę z innym i zatłukł kolesia na oczach pięcioletniej córki. Nie chcę być kimś takim, powiedział sobie Jeremi. Nigdy nie byłem.

Włokąc się w stronę samochodu, który zostawił w okolicach swojego dawnego osiedla, wysłał esemesa do Waldka:

*Dzięki, chłopie. I bez urazy. Nie wiem, co mi dziś odpierdoliło...*

Odpowiedź przyszła po kilku minutach:

*Bez urazy, stary. Ale nie odpierdalaj więcej podobnych akcji, bo moja siostra nie zasługuje na takie traktowanie. Do zobaczyska przy piwie!*

W aucie, kiedy już ruszył w stronę wyjazdu z miasta, obiecał sobie, że nigdy, przenigdy nie wróci na Szczerbcową ani nawet w jej pobliże. Tak, ciągle kochał Anetę. Mógł nawet zaryzykować teorię, że ma na jej punkcie jakąś dziwną obsesję, ale to nie znaczyło, że ma prawo ją nachodzić. Odeszła, dokonała wyboru, jej strata. On nie może się dłużej narzucać, powiedział sobie.

Dzień później kupił flaszkę, nad którą samotnie pracował po robocie, zarzygał łazienkę w wynajętym mieszkaniu i rozbił dwie szklanki, ale rano, wraz z narastającym kacem, ogarnęło go przemożne uczucie zamknięcia jakiegoś etapu. I chociaż trochę było mu żal wszystkich tych wspólnych chwil, wykasował z folderów zdjęcia, na których była Aneta, wyrzucił z pamięci telefonu jej numer i pozbył się z Facebooka znajomych, którzy blisko się z nią przyjaźnili. A później dopił resztkę wódki z dna butelki, zaparzył szatańsko mocną kawę i zadzwonił do brata. Życie toczyło się dalej. Z Anetą bądź bez niej.



Opracowanie graficzne okładki:  
*Emotion Media*

Redaktor prowadzący:  
*Grażyna Ordęga*

Opracowanie redakcyjne:  
*Hanna Kołodziej*

Korekta:  
*Małgorzata Narewska*

© 2019 by Katarzyna Misiólek

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa, 2019

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: iStock. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.  
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

[www.harpercollins.pl](http://www.harpercollins.pl)

ISBN 9788327642882

Konwersja do formatu EPUB:  
Legimi S.A.